

Haasler Robert A

Zbrodnie w imieniu Chrystusa

Zamiast wstępu

„...cokolwiek uczyniliście jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnie uczyniliście”
/Mat. 25-40/

Przedmowa do wydania polskiego

„Mówili o Chrystusie i wszystkich świętych, nakazując jednocześnie rzeź”, takie słowa jakże często powtarzano w marcu 2000 roku, w czasie, kiedy papież Jan Paweł II przygotował deklarację Kościoła katolickiego, w której prosił o wybaczenie wszystkich zbrodni i niegodziwości popełnionych przez ludzi Kościoła i w imieniu Kościoła. Zaiste ważne to było wydarzenie dokonane „pod naciskiem” wielu wyznań chrześcijańskich, reformatorskich sił w samym Kościele, a głównie środowisk żydowskich; papież wywodzący się z kraju tolerancyjnego musiał wbrew wielu najwybitniejszym hierarchom Kościoła znaleźć takie słowa, które oddawałyby prawdę o krwii opływającej historii, a jednocześnie nie obciążały winą współwyznawców. Jak zawsze w takich przypadkach, wśród słów podziwu dla odwagi papieża, padały głosy niezadowolenia, że przyznanie się do błędów historii było tylko połowiczne. Nie sposób sprostać oczekiwaniom wszystkich.

Z całą pewnością jednym z największych osiągnięć Roku Świętego – jubileuszu dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa – było papieskie pochylenie się nad błędami: zbrodniami wielkich swoich poprzedników i Kościoła w całości. Mina lata i dziesięciolecia nim cała prawda o okropnościach zbrodni zostanie ujawniona. Przede wszystkim musi być wyrażona zgoda samego Kościoła, jego hierarchów i przyzwolenie milionów wiernych na wskazanie najczarniejszych kart historii Kościoła. Kościół czeka ciężka próba. Od jej pokonania, od głębi przemyśleń zależy jego przyszłość. Bez prawdy o przeszłości nie da się, bowiem budować prawdziwych fundamentów wiary. Tylko wtedy Piotrowa opoka stanie się litą skałą. Jakże często jeszcze głośniejsze niż słowa papieża, biskupa Rzymu, pobrzmiwają w Kościele głosy „zwolenników” relatywizmu historycznego, takich jak choćby Vittorio Messori – autor cieszącej się ogromnym powodzeniem książki „Czarne karty Kościoła”.

Chyba już nigdy nie będziemy w stanie dokonać rzetelnego bilansu zbrodni popełnionych bądź to bezpośrednio na polecenie Kościoła, bądź też z jego inspiracji. Zadanie takie, wymagające dziesiątków lat gruntownych studiów historycznych, i tak skazane byłoby na niepowodzenie. Zawierucha dziejów, bowiem nie oszczędzała źródeł archiwalnych.

Z całą pewnością i bez żadnego uproszczenia można by stwierdzić, że Kościół, w tym szczególnie Kościół katolicki, stworzył najstraszniejszy w dziejach ludzkości mechanizm struktur władzy i właściwą temu doktrynę moralną, której metodą była zbrodnia. Zbrodnicze i antyludzkie systemy polityczne dziesiątego wieku, hitleryzm i stalinizm, całymi garściami czerpały z doświadczeń i tradycji Kościoła, dokonując eksterminacji całych narodów, a zwłaszcza wszystkich tych, których posądzano o nieposłuszeństwo i nieprawomyślność.

Getta, żółte gwiazdy, obozy eksterminacyjne, a nade wszystko myśl usprawiedliwiająca zbrodnię i uzasadniająca potrzebę zbrodni, nie są wynalazkiem dwudziestego stulecia. Wszystko to dobrze znane jest z dziejów Kościoła.

Jakże daleko odszedł Kościół od doświadczeń pierwszych wieków swego istnienia. Chrześcijanie, niepomni swej tragicznej historii, mając za nic nakazy Chrystusa o miłości bliźniego, miast niesienia dobrej nowiny, przez przeszło półtora tysiąca lat szerzyli śmierć i zniszczenie. Dziesiątki milionów ludzi zginęło, by Kościół mógł nieść słowa zbawienia.

Pogromy całych miast południowej Francji, tysiące stosów płonących od Portugalii po Polskę, noc świętego Bartłomieja, śmierć zakonu templariuszy, wojny husyckie, eksterminacja Indian, rzezie w Azji i w Ameryce, wreszcie kary wymierzane z całą surowością najwierniejszym nawet sługom Kościoła – oto formy i metody szerzenia dobrej nowiny. Rozdział specjalny tej książki poświęcimy najboleśniej i bodajże najkrwawszej ranie Kościoła – Żydom. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że sprawy, które przypominamy w tym tomie, były doświadczeniem jedynie Kościoła katolickiego. Nie były od niej wolne i inne kościoły chrześcijańskie, i te obrządków wschodnich, i te powstałe w wyniku Reformacji.

Kościół, kiedy jeszcze sam był zbyt słaby, wykorzystywał władzę świecką, aby ta realizowała dzieło zdobycia. Ale kiedy tron i ołtarz stanowili już jedno, wystarczyło słowo, aby Kościół przejął całkowicie na siebie wymierzanie „sprawiedliwości”. Masowe pogromy całych wsi i regionów, wojny religijne i krzyżowe, płonące stosy, lochy zapełnione więźniami – oto, co złożyło się na obraz dziejów, do tej pory jeszcze obiektywnie nieprzedstawiony.

Inkwizycja i Urząd Wielkiego Penitencjariusza Kościoła to tylko niektóre struktury stworzone przez Kościół do walki, ale z kim?...

Nie jest naszą ambicją przedstawienie w tej książce ani mechanizmów zbrodni, ani wszystkich jej przykładów. Jak się rzekło, takie dzieło nie jest możliwe do przygotowania ani też zasadne. Przedstawiamy Czytelnikom jedynie studia przypadków.

„Zbrodnie w imieniu Chrystusa” – które dziś oddajemy w ręce naszych stałych Czytelników – to książka będąca kolejnym tomem serii „Grzeszna historia Kościoła”. Niemal równolegle przedstawiamy dwa dalsze tomy: „Życie seksualne papieży” i jego rozwinięcie – „Życie seksualne w Kościele”.

Wiele kłopotów doświadczył polski wydawca „Grzesznej historii Kościoła” przy okazji dystrybucji poprzednich tomów. Poczynając od ataków słownych w setkach listów, po donosy do organów ścigania z żądaniem zaprzestania rozpowszechniania wcześniej wydanych tomów, a zwłaszcza wstrzymania edycji tomów przygotowanych. I niewiele brakowało, aby działania te odniosły skutek. W każdym razie temu właśnie „zawdzięczamy” znaczne opóźnienie w wydaniu nowych tomów serii. Za to, za wiele kłopotów z dostarczeniem książek do osób, które zamówiły, a szczególnie za działania podjęte przeciwko wydawcy na etapie przygotowania do druku książki „Kobiety Watykanu” – znacznie obniżające jej poziom edytorski – wszystkim serdecznie przepraszamy. Pozostajemy w przekonaniu, że czas pokaże, iż ani niniejsza książka, ani cała seria nie były wymierzone przeciwko Kościołowi, ani też nie miały na celu obrażania uczuć religijnych. Jednym ich celem była próba – może jeszcze nieudolna – dochodzenia prawdy. Ona, bowiem wyzwoli Was...

Marzec – kwiecień 2000

Fałszywi obrońcy

Przez kilka lat włoski dziennik „Vivaio” prezentował na swych łamach serie artykułów Vittorio Messoriego. W postaci książkowej, aż w trzech tomach, opublikowane

zostały przez Wydawnictwo Świętego Pawła w Mediolanie w 1995 roku, a następnie przetłumaczone na wiele języków europejskich i wydane w kilku krajach. W Polsce część pierwszą zbioru artykułów Messoriego opublikowało, w gigantycznym nakładzie, Wydawnictwo św. Jacka w Katowicach.

Zdawać by się mogło, że oto powstała kolejna książka odnosząca się do najtrudniejszych historycznych chwil Kościoła. „Czarne karty Kościoła” Vittorio Messoriego nie są książką obojętną. Tej książki nie można nie zauważyć. Sam autor należy, bowiem do czołowych publicystów Kościoła, silnie związanych z najwyższymi rangą jego przedstawicielami. Messori współpracował z samym papieżem przy książce „Przekroczyć próg nadziei”, był autorem „Raportu o stanie wiary”, a także, między innymi, „Opinii o Jezusie”. Przedmowy do jego książek pochodziły spod piór najważniejszych kardynałów.

Kardynał Giacomo Biffi, arcybiskup Bolonii, w przedmowie do „Czarnych kart Kościoła” chwali autora za jego „odważną służbę prawdzie i jego umiłowanie Kościoła”. Píše kardynał dalej: „W końcu trzeba sobie zdać sprawę z arbitralnych opinii, istotnych deformacji i ewidentnych kłamstw ciążyących na historii Kościoła. Jesteśmy niemal obłożeni przez złośliwość i kłamstwo; większość katolików albo nie chce, albo nie próbuje tego zmienić”.

Sam autor zresztą dziękuje Bogu, że nie zalicza się do tych – dziś licznych – „którzy są przekonani, że to właśnie im udzielono mocy odkrywania, na czym polega prawdziwe chrześcijaństwo i prawdziwy Kościół”. Zastanawia się nad tym, dlaczego dopiero od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku w wielu środowiskach akademickich zaczęto poszukiwać „prawdy” niesionej przez Ewangelię. Pyta, dlaczego Duch Święty miałby „przez tyle wieków trwać w letargu albo wręcz sadystycznie cieszyć się inspiracją do błędów i nadużyć tylu pokoleń wierzących”.

Właśnie w tych słowach nawet niezbyt uważny czytelnik artykułów i książek Messoriego znajdzie źródło niezwyklego spojrzenia na historię Kościoła.

Warto, aby każdy z Czytelników naszej „Grzesznej historii Kościoła” mógł poznać wywody Messoriego. Otwiera je esej „Poczucie winy”. Kościół, według świętego Augustyna, to ludzie reprezentujący różne stopnie świętości, a także grzesznicy. Cała książka pełna jest skomplikowanych wywodów myślowych, udowadniających, dlaczego wierzącemu eklezjologia nie pozwala zaakceptować *a priori* takiego wydarzenia, które – choć wydaje się prawdziwe i dobrze udokumentowane – ubliża dobremu imieniu chrześcijaństwa.

„Grzeszna historia Kościoła” wielokrotnie przypomina lub przedstawia wydarzenia z historii kościoła, które Vittorio Messori próbuje zbagatelizować posługując się radami sędziwego historyka Leo Moulina, profesora historii i socjologii na uniwersytecie w Brukseli. Moulin, wcześniej mason, potem świecki racjonalista, „którego agnostycyzm graniczy z ateizmem”, daje, Messeriemu taką oto radę:

„Posłuchajcie starego niedowiarka, który wie, co mówi: mistrzowska propaganda anty chrześcijańska zdołała wytworzyć u chrześcijan, zwłaszcza u katolików, złą świadomość, obciążoną niepokojem, jeśli już nie wstydem, z powodu własnej historii. Siłą stałego nacisku, od reformacji aż do naszych czasów, zdołała przekonać was, że jesteście odpowiedzialni za całe albo prawie całe, zło na świecie. Sparaliżowała was na etapie masochistycznej autokrytyki, aby zneutralizować krytykę tych, którzy zajęli wasze miejsce”.

I jeszcze jeden wyimek z książki, Messoriego, przytaczającego ponownie słowa, Moulina:

„Femiści, homoseksualiści, tercerumundyści (sympatycy Trzeciego Świata – przyp. RAH), pacyfiści, reprezentanci najróżniejszych mniejszości, kontestatorzy i niezadowoleni z jakichkolwiek powodów, naukowcy, humaniści, filozofowie, ekolodzy, obrońcy zwierząt i świeccy moralisci: >>Pozwoliliście, aby za wszystko, nawet za kłamstwa, bezdyskusyjnie obarczali was. Nie było w historii problemu, błędu lub cierpienia, którego nie przypisałiby

wam. A wy, niemal zawsze nieznający swojej przeszłości, zaczęliście w to wierzyć, a nawet wspomagać ich w tym działaniu. Tymczasem ja (agnostyk, ale także i historyk starający się być zawsze obiektywny) mówię wam, że macie przeciwstawiać się temu w imię prawdy. W rzeczywistości, bowiem większość zarzutów jest nieprawdziwa. A jeśli któryś ma nawet jakieś uzasadnienie, to oczywiście jest, że w rozliczeniu dwudziestu wieków chrześcijaństwa światła zdecydowanie górują nad ciemnościami. Dlaczego więc nie żądacie odpowiedzialności od tych, którzy żądają ją wyłącznie od was? Czyż rezultaty ich prac są lepsze od waszych? Z jakich ambon, skruszeni, słuchacie kazań? <<. Mówi też o średniowieczu, które studiował: >>Owe wstydlive kłamstwa o *ciemnych wiekach* czyżby były inspirowane wiarą płynącą z Ewangelii? Dlaczego więc to, co pozostało nam z tamtych czasów, odznacza się tak fascynującym pięknem i mądrością? Także w historii trzeba kierować się zasadą przyczyny i skutku <<”...

Ten przydługi cytat, który mieści w sobie i to, co boskie, i to, co ludzkie, jest dla nas niezwykle interesujący. I choć nie jest naszym celem omówienie pracy Messoriego, pragnęlibyśmy skierować uwagę naszych Czytelników na tę kontrowersyjną, ale przecież interesującą publikację.

Mnóżmy, więc wątpliwości, co do prezentowanej przez Messoriego oceny faktu wyniszczenia czterdziestu milionów Indian między XVI a XIX wiekiem i roli, jaką spełniły w tym dziele arcykatolicka Hiszpania i Portugalia oraz protestancka Anglia i Ameryka – przy czym autor, choć dopuszcza możliwość masakry Indian przez Hiszpanów w XVI wieku, nazywa ten fakt domniemanym. Wdzięczny jest Bogu, że Hiszpania i Portugalia nie przeszły na stronę kościołów reformowanych i nie stały się protestanckie, przejmując te same zasady moralne, co Ameryka Północna. Gdyby tak się stało, snuje śladem innych historyków przypuszczenie, olbrzymie ludobójstwo sprawiłoby, że wyginęłyby od Meksyku po Ziemię Ognistą wszystkie ludy tubylcze. I tu powołuje autor koronny argument li8czb. Oto w protestanckiej Ameryce Północnej w czasie od połowy XVIII i do końca XIX wieku wymordowano blisko trzydzieści milionów Indian, a więc wielokrotnie więcej niż przez czterysta lat konkwisty iberoportugalskiej na bezkresnych obszarach Ameryki Łacińskiej (wliczając w to nawet niewolników, zwłaszcza Afrykańczyków sprowadzonych do ciężkich prac na plantacjach).

Przykładem „cywilizowanej”, wręcz „kulturalnej” kolonizacji w stylu hiszpańsko – portugalskim ma być, według Messoriego, barbarzyński zwyczaj skalpowania. Zwyczaj ten znany był powszechnie na północy i południu obu Ameryk. Dzięki wprowadzonemu przez Hiszpan zakazowi skalpowania, zwyczaj ten w swej okrutnej formie przetrwał na obszarach Ameryki Północnej i był jednym z głównych narzędzi rzezi, stosowanych przez ludność osiedleńczą. Gotów jest Messori szukać usprawiedliwienia dla katolickich Hiszpanów, nie próbując nawet dopuścić myśli, że w Ameryce Północnej przynajmniej trzecia część białych osadników wywodziła się z europejskich krajów katolickich. Jedni i drudzy, katolicy i protestanci, stosowali wobec ludności tubylczej te same metody eksterminacji. I jedni, i drudzy byli chrześcijanami. Łączyła ich niemal ta sama Ewangelia.

Osobne eseje poświęca Messori niewolnictwu i masakrom Żydów, także w kontekście podejmowanych w Hiszpanii prób beatyfikacji arcykatolickiej królowej Izabeli Kastylijskiej. Do niektórych tylko spraw z tego zakresu powrócimy w specjalnym rozdziale.

Papieże mordercy

Wielu, bardzo wielu z namiestników Chrystusa na ziemi, mogło nawoływać do Boga: „Oddal ten kielich ode mnie; wszakże nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie” /Łuk 22,42/.

Przez ponad 1500 lat sprawowanie najwyższego urzędu w Kościele bywało ciężką próbą. Biskupi Rzymu godność tę przypłacali życiem. Wielu z nich jednak życie to odbierało, w tym także swoim braciom w kapłańskiej, biskupiej, kardynalskiej i papieskiej posłudze.

Kościół powszechny uznaje trzydziestu pięciu papieży za męczenników wiary, wynosząc ich na ołtarze jako świętych. Władcy Europy, cesarze, królowie, zwłaszcza w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, gotowali papieżom los tragiczny. Przyjaźń następców św. Piotra z dworami Francji, Niemiec i książąt Italii nierzadko kończyła się śmiercią.

Spośród dwustu sześćdziesięciu trzech papieży, uznanych za prawowitych, sześciu zostało zamordowanych, dwóch zginęło wskutek ran odniesionych w czasie zamieszek, jeden – w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Przynajmniej w dwudziestu dalszych przypadkach okoliczności śmierci wskazywały na ich nienaturalną przyczynę odejścia. Nie mniej niż piętnastu papieży zmarło bądź to na apopleksję, bądź to z powodu różnych epidemii i zaraz, które nawiedzały Rzym. W tym przypadku najczęstszą przyczyną zgonów była malaria i febra. Najprawdopodobniej otruto dziewięciu papieży: Urbana VI, Innocentego V, (którego Kościół uznał za błogosławionego), Stefana IX (X), Damazego II, Klemensa II (fakt otrucia tego papieża potwierdziły badania jego szczątków w 1942 roku), Sergiusza IV, Grzegorza V, Jana XIV, Hadriana III i antypapieża Bonifacego VII.

Więcej na ten temat piszemy w książce „Tajne sprawy papieży”.

W tej książce przypomnimy tylko tych biskupów Rzymu, którzy splamili swe ręce krwią swoich braci.

Najbardziej haniebnym tragicznym wydarzeniem w historii papiestwa był los, jaki spotkał papieża Formozusa (891-896), a raczej jego szczątki. Sprawę tę opisujemy w rozdziale „Trupi synod”. Papiescy mściciele i grabarze szczątków Formozusa nie byli jednak oryginalni w swym dziele. Trzysta sześćdziesiąt lat wcześniej o tron papieski rywalizowali Dioskur i Bonifacy.

Szósty wiek chrześcijaństwa przyniósł Europie kolejną schizmę, podział Kościoła..

Początek tego wieku to setki i tysiące trupów na ulicach Rzymu, ofiar „wojny papieży” – uznanego dziś za nielegalnego – Wawrzyńca oraz Symmachusa (obaj 498-514). Zamieszki w Rzymie, krwawe porachunki między stronnikami obu papieskich pretendentsów, przekupstwo wysokich dostojników dworu królewskiego, to tylko niektóre fragmenty obrazu tamtych czasów. Ostatecznie, aby rozstrzygnąć sukcesję, zwrócono się o arbitraż do ariańskiego (schizmatycznego) króla Ostrogotów, Teodoryka. Wśród wielu prób zażegnania konfliktu podjęto i tę – sąd nad Symmachem w Rimini przed królem Teodorykiem. Oprócz niszczącego Kościół sporu z Wawrzyńcem, zarzucano mu także rozwiązłe stosunki z kobietami oraz roztrwonienie majątku kościelnego. Szerzej temat drugiego zarzutu podejmujemy w książce „Kobiety Watykanu”.

To już szósty raz młody Kościół przeżywał trudne chwile wewnętrznego podziału. Szósty już raz groził mu rozpad. Tym razem osiłą konfliktu stał się spór między królestwem Ostrogotów ze stolicą w Rawennie a cesarstwem bizantyjskim. Cesarz, wsparty postawą patriarchy Konstantynopola, z całą mocą prześladował arian, grabił ich kościoły, zmuszał do wypierania się wiary. Wszyscy Ostrogoci wraz z królem Teodorykiem byli arianami. Papież w Rzymie, nawet będąc niechętny arianom, musiał liczyć się z królem rezydującym przecież tak blisko i dominującym militarnie nad Rzymem. Kruche pojednanie Kościołów Rzymskiego i Konstantynopolitańskiego, konkurujących o prymat w całym chrześcijaństwie, znowu było zagrożone. Dopiero przed paroma laty, za pontyfikatu papieża Hormizdasa (514-523), 28 marca 519 roku patriarcha Konstantynopola uroczyście przyjął i proklamował tzw. formułę Hormizdasa: „Uznaję Święty Kościół Boży, Kościół starego i nowego Rzymu, za jeden i ten sam, za siedzibę apostoła Piotra, a stolicę biskupią Bizancjum za jedną i tę samą. Wyznaję tę doktrynę, której strzeże papież, potępię zaś wszystko, co on potępi”.

Kiedy nowy papież, Jan I (523-526), przeniósł ze wschodu na cały Kościół zachodni kalendarz ustalony prawie sto lat wcześniej przez Cyryla Aleksandryjskiego dla wyznaczania daty Wielkanocy, cesarz triumfował. Wydał edykt konfiskujący świątynie arian i nakazujący im nawrócenie się na katolicyzm. Król Teodoryk musiał sprzeciwić się cesarskim restrykcjom. Wezwał do Rawenny papieża i wraz z biskupami i senatorami Rzymu wysłał go z misją do Konstantynopola. Mimo iż papież przyjmowany był w stolicy cesarskiej z największą godnością i wszelkimi honorami, wyznaczonych przez króla Teodoryka celów nie uzyskał. Cesarz zgadzał się na zwrot kościołów Ostrogotom wyłącznie pod warunkiem, że ci porzucą arianizm. Wzburzony Teodoryk wszystkich towarzyszących papieżowi posłów wtrącił do lochów, a samego biskupa Rzymu uwięził na królewskim dworze. Kiedy ten 12 maja 526 roku zmarł, Teodoryk postanowił narzucić Rzymowi swego, uległego jego woli, biskupa. Tylko dzięki roztropności rodzonej córki króla, księżniczki Amalawinty, której wcześniej papież Jan I zawdzięczał, że nie zginął w lochu, wybrano na nowego biskupa Rzymu diakona – Feliksa. Już jako papież Feliks IV (III), rządził Kościołem (526-530) mądrze i rozważnie. Wkrótce jednak zachorował i nim zmarł, zdążył wyznaczyć swojego następcę, archidiacona Bonifacego.

Rzymski kler, silny w swoich prawach, nie chciał zaakceptować papieskiego wyboru. Jeszcze w ostatnich chwilach życia Feliksa sam dokonał wyboru. Część poparła Bonifacego, część natomiast – diakona Dioskura z Aleksandrii. Bonifacy był zwolennikiem Ostrogotów, Dioskur – Bizancjum. Konflikt i kolejna schizma (już siódma) znów zagrażała jedności Kościoła.

Obu pretendentów wyświęcono jednego dnia, 22 września 530 roku, tj. w dniu śmierci Feliksa. Źródła podają, że Dioskur uzyskał poparcie większości duchowieństwa i wyświęcony został nieco szybciej niż Bonifacy. Kolejny już raz Rzym miał dwóch papieży. Konflikt był nieunikniony. Rozwiązała go jednak wkrótce Opatrzność. Po trzech tygodniach panowania zmarł Dioskur. Na arenie historii pozostał Bonifacy. Sprawa wydawałaby się załatwiona. Choć nie było bitwy, musiały pozostać trupy.

W zasadzie trudno jest jednoznacznie przedstawić powody dalszych występków Bonifacego. Zdecydował, że odbędzie się sąd nad zmarłym papieżem. Bonifacy zebrał sześćdziesięciu biskupów, by „osądzili” zwłoki Dioskura. Oczywiście wyrok mógł być tylko skazujący. Dioskur został ekskomunikowany, a biskupi – sędziowie, dokument5 z ekskomuniką musieli sygnować. Odrażający postępek Bonifacego II został powszechnie potępiony. Jeden z jego następców, papież Agapit I (535-536), wyrok anulował, a dokument ekskomunikacyjny kazał publicznie spalić. Kościół do dziś nie może się zdecydować na jednoznaczna ocenę pontyfikatu Dioskura i postępków Bonifacego. „Annuario Pontificio” – jedyny legalny i oficjalny wykaz papieży – do 1942 roku uznaje Dioskura za prawowitego biskupa, a od tego roku wymienia go w gronie antypapieży. Część historyków jednak „dopuszcza” uznanie go za prawowitego następcę św. Piotra.

Nie koniec było tragedii na papieskim tronie. Krótki, bo jedenastomiesięczny pontyfikat Agapita I, aż przeładowany był problemami. Król Ostrogotów Teodoryk już nie żył. Tron w Rawennie objął król Teodohad. To za jego sprawą, i na jego rozkaz, została uduszona wspomniana wcześniej księżniczka Amalawinta, zresztą kuzynka króla.

Mądrze i wielostronnie wykształcona Amalawinta zjednała sobie życzliwość senatu Rzymu, dostojników Kościoła i Bizancjum za rozwagę i działalność zdążającą do pojednania chrześcijan. Nic, więc dziwnego, że cesarz Justynian, wzburzony wieścią o jej śmierci, postanowił wysłać na Półwysep Apeniński specjalną ekspedycję, która miała ukarać zabójców Amalawinty. Na czele ekspedycji stanął, znany z pokonania Wandali w Afryce Północnej, wódz Belizariusz. Kiedy jego wojska szybkim i zwycięskim marszem zbliżyły się do granic królestwa Gotów, król Teodohad wysłał z misją do cesarza właśnie papieża Agapita I. Ten jednak, nic nie osiągając dla króla, zmarł w Konstantynopolu.

Tron papieski ponownie został osierocony, a na karty historii Kościoła wkraczają wówczas papież Sylweryusz i Wigiliusz – uznany oficjalnie przez Kościół jako papież – zabójca.

Gdy w Konstantynopolu zmarł Agapit, król Teodohad natychmiast narzucił klerowi swego faworyta, właśnie Sylweryusza. Królewski protektor wkrótce zginął, uduszony przez własnych żołnierzy. Goci musieli opuścić Stolicę Piotrową. Papież, do tej pory związany ze stronnictwem królewskim, przekonał senat, by poddać miasto bez oporu wodzowi cesarskiemu, Belzariuszowi. Następca Teodohada, król Witygusz, umocnił się tymczasem w Rawennie i na czele potężnej stuipięcdziesięctysięczonej armii wyruszył na Rzym. Tylko dzięki umocnieniom miasta, wykonanym na zlecenie bizantyjczyków, oblężeni Rzymianie mogli się bronić ponad rok. Choć papież już wcześniej pojednał się ze stronnictwem cesarskim, nic mu to nie pomogło. W Konstantynopolu u władzy pozostała jego zagorzała przeciwniczka, cesarzowa Teodora. Sylweryusz naraził się monarchii usuwając ze stanowiska patriarchy jej faworyta Antymosa, tego samego, którego wcześniej wyniósł do godności kościelnej papież Agapit. Protegowanym Teodory był także Wigiliusz, diakon rzymski, ten sam, którego wbrew prawu wyznaczył na swojego następcę w czasie synodu w roku 531 papież Bonifacy VI. Wtedy wskutek sprzeciwu kleru, Wigiliusz nie mógł objąć tronu. Ambicje pozostały. Od 533 roku przebywał w Konstantynopolu jego papieski apokryzjariusz na dworze cesarskim. Wtedy właśnie zbliżył się do stronnictwa cesarzowej Teodory. W zamian za obietnicę uzyskania godności papieskiej obiecał wcześniej przywrócenie monofizytyckiego patriarchy Antymosa i obalenie postanowień Soboru Chalcedońskiego (451). Wigiliusz, wspierający wówczas schizmatycki monofizytyzm, na polecenie Teodory wyruszył do Rzymu. Zabrał ze sobą szczątki papieża Agapita i rozkaz Teodory dla Belzariusza, dotyczący usunięcia papieża Sylweryusza. Nie pomogło Sylweryuszowi ukrycie się w Kościele Świętej Sabiny. Nie miał on zresztą szczęścia do kobiet. Nie dość, że cesarzowa była zawziętym jego wrogiem, to i żona Belzariusza, piękna Antonina, nie ukrywała niechęci do biskupa. Jawnie występowała przeciwko niemu i namawiała męża do bardziej zdecydowanych działań.

Belzariusz postanowił wezwać papieża do swego pałacu i wraz z żoną urządził nad nim sąd kapturowy. W role rozjemcy i papieskiego obrońcy wcielił się nie, kto inny, jak Wigiliusz. Wyrok był oczywisty. Papież wywleczony został do sąsiedniej komnaty, pozbawiony oznak władzy pontyfikalnej i odziany w prosty mnisi habit. Kler został poinformowany, że papież Sylweryusz przyznał się przed cesarskim wodzem do zdrady, za co został skazany na wygnanie. Tydzień później, mimo iż formalnie Sylweryusz nie zrzekł się władzy papieskiej, Wigiliusz przyjął sakrę biskupa Rzymu. Były ostatnie dni marca 537 roku. Sylweryusza zesłano do Licji (Syria), gdzie miał przebywać pod nadzorem biskupa Patary. Ten z kolei był przekonany o niewinności papieża. O szczegółach tego uwięzienia i wygnania poinformował cesarza Justyniana I. Na rozkaz cesarza miał się w Rzymie odbyć ponowny, tym razem prawdziwy sąd nad Sylweryuszem. Gdyby uznano go winnym, miał otrzymać jedno z odległych biskupstw, a gdyby zarzuty odrzucono, wrócić miał na papieski tron w Rzymie. Mimo zaleceń cesarza Justyniana, wygnanego papieża, zamiast do Rzymu, wywieziono za sprawą Wigiliusza na wyspę Ponza, gdzie go ponownie uwięziono. Za aprobatą i na rozkaz Wigiliusza robiono wszystko, aby zmusić Sylweryusza do zrzeczenia się godności. By zdusić jego opór, morzono go głodem. To w końcu pomogło, Sylweryusz abdykował i wkrótce zmarł.

Dziś Kościół uznaje Sylweryusza jako świętego, a Wigiliusza nazywa się pierwszym papieżem splamionym krwią innego namiestnika Chrystusa.

W książce „Kobiety Watykanu” cały rozdział poświęcono okresowi nazwanemu przez kronikarza Kościoła, Cezare Baroniusa, erą pornokracji papieży przeklętych. Za sprawą trzech rozwiązłych kobiet Teodory Starszej i jej córek, Teodory i Marozji, tron papieski

obsadzony był przez ich faworytów. Papieże zmieniali się wedle woli rzymskich kurtyzan. Niejeden ginął, aby zwolnić miejsce nowemu faworytowi. Niektórzy papieże własnoręcznie pomagali kurtyzanom w pozbywaniu się biskupich konkurentów.

Papieży przeklętych ery pornokracji z najbardziej odrażającym w dziejach Kościoła wydarzeniem, zwanym „trupim synodem” (o tym następny rozdział), łączył jeden następca Apostoła Piotra – papież Sergiusz III (904-911).

Rodzinę papieża Sergiusza już mieliśmy okazję poznać. Jego ojcem był, znany z formuły jednoczącej skłócone Kościoły Wschodu i Zachodu, papież Hormizdas. Pontyfikat ojca należy do najważniejszych i najszcześniejszych w dziejach Kościoła. Pontyfikat syna natomiast jednym z najtragiczniejszych. To on był inicjatorem „trupiego synodu”. Zawsze był ambitny. Zawsze dążył do objęcia najwyższych godności w Kościele. Cieszył się łaskami wpływowej Teodory Starszej, matki, i jej jeszcze bardziej rozwiązłej córki, Marozji. To właśnie za jej przyczyną papa Sergiusz miał jeszcze inny powód, by nazywać się ojcem. Owocem tej miłości był Jan XI, który po dwudziestu pięciu latach troskliwej opieki Marozji sam objął tron papieski.

Dopiero niedawno władze w Rzymie przejął ród hrabiów Tusculum, senior rodu, hrabia Teofilakt, sam siebie uczynił księciem i senatorem. Narzucił miastu swoją władzę sędziowską. Dzielnie sekundowała mu w tym żona Teodora, przejmując zresztą wkrótce sama pełnię władzy.

To właśnie jej faworytem był Sergiusz, zresztą krewniak. Od lat młodzieńczych robił karierę duchowną, był diakonem rzymskim, potem biskupem Caere, bliskim współpracownikiem i zwolennikiem papieża Stefana VI (VII). Jako papież panował, jak na owe czasy, bardzo długo – przeszło siedem lat. Prowadził niezbyt moralne, wręcz zbrodnicze życie, choć był bardzo lubiany przez lud rzymski. Mieszkańców stolicy hojnie obdzielał wszelkimi darami, odbudowywał pałace i kościoły, w tym bazylikę laterańską, zniszczoną przez trzęsienie ziemi w czasie procesu papieża Formozusa w 897 roku. Jako papież niczym godnym dla Kościoła się nie zapisał. Swoją urzędową ręką objął, mając na rękach krew antypapieża Krzysztofa (903-904). W styczniu 904 roku Sergiusz przebywał jeszcze na wygnaniu. O możliwości objęcia biskupstwa rzymskiego poinformowała go wówczas Teodora. Wystarczyło tylko usunąć w cień Krzysztofa. Wrócił do Rzymu na czele małej grupki wojsk. Krzysztof po krótkim procesie znalazł się w więzieniu, gdzie odwiedził go niespodziewanie Sergiusz i udusił własnymi rękami. Tron papieski był jego.

Antypapież Krzysztof, choć sam zginął tragicznie zamordowany przez następcę, postąpił podobnie ze swoim poprzednikiem, papieżem Leonem V (903). Krzysztof, zwany także Christophanesem, w przeciwieństwie do Leona był rzymianinem, zawsze przebywającym blisko władzy. Był wpływowym dworzaninem papieża Leona, jego współpracownikiem, a zarazem także zręcznym intrygantem. Był przy tym kardynałem – prezbiterem Kościoła świętego Damazego. Papież Leon, uwikłany w intrygi przez przebiegłego Krzysztofa, po trzech miesiącach pontyfikatu został z rozkazu swego dworzanina – kardynała uwięziony i zmuszony do zrzeczenia się godności. Skłonny do wszelkiej podłości, aby już „legalnie” objąć papieski tron, kazał zamordować papieża Leona, co stało się we wrześniu 903 roku. Sam zginął w podobny sposób po czterech miesiącach.

Jednym z największych okrutników zasiadających na papieskim tronie był Bonifacy VII, dziś uważany za antypapieża. Bonifacy sprawował swój urząd dwukrotnie. Raz na przełomie czerwca i lipca 974 roku i powtórnie, przez jedenaście miesięcy, od sierpnia 984 do lipca 985 roku. Za jego przyczyną i bezpośrednim udziałem śmierć poniosło dwóch papieży: Benedykt VII (973-974) i Jan XVI (983-984).

Diakon Frankon, Rzymianin, kardynał, był protegowanym Krescencjuszy. Dominujący w owym czasie w Rzymie ród wydał ze swego grona papieża Jana XIII, syna osławionej Teodory Młodszej. Brat papieża, książę Krescencjusz, sprawował z woli cesarza

Ottona nieograniczona władzę w Rzymie. Przeciwno nim, co rusz wybuchały w Rzymie zamieszki. Papież i cesarski namiestnik z rodu Krescencjusów – byli znienawidzeni. Nic, więc dziwnego, że po śmierci protegowanego Jana XIII nie udało im się wynieść na papieski tron swego następnego kandydata. Diakon Frankon musiał jeszcze czekać. Papieżem został Benedykt VI. Kiedy zmarł cesarz Otto I, a młody cesarz Otto II musiał pozostać w Niemczech pochłonięty sprawami własnej korony, Krescencjusze przejęli w Rzymie pełnię władzy. Benedykt VI został uwięziony w Zamku św. Anioła, a tron objął Frankon, jako Bonifacy VII. I to on wydał rozkaz uduszenia Benedykta VI w więzieniu. Niektóre źródła mówią wprawdzie, że zamęczono go tam głodem, ale także z polecenia Bonifacego, a jeszcze inni twierdzą, że Benedykta udusił własnoręcznie sam Bonifacy. Niedługo przyszło mordercy cieszyć się władzą. Po czterdziestu dniach panowania i po ograbieniu skarbcza watykańskiego Bonifacy zbiegł najpierw na tereny bizantyjskie w Italii, a później do Konstantynopola. Do Rzymu zdołał w tym czasie przybyć młody cesarz Otto II. Za jego sprawą papieżem obrano Benedykta VII. Zwołany synod ekskomunikował zbrodniczego Bonifacego.

Gdy dziesięć lat później niemal równocześnie umierają papież Benedykt VII i bardzo młody, bo dwudziestoosmioletni cesarz Otto II, papieżem wybrano Jana XVI. Tymczasem korzystając z okazji, z wygnania powrócił Bonifacy VII i ponownie sięgnął po władzę papieską. Wtrącił papieża Jana do więzienia w Zamku św. Anioła, gdzie kazał go otruć lub zamorzyć głodem. Ciało zmarłego polecił wywlec na plac i wystawić na widok publiczny, by było przestrogą dla wszystkich przeciwników okrutnego purpurata.

W końcu Bonifacy VII zginął p[podobnie jak sam postępował wobec swoich braci w biskupstwie. Prawdopodobnie został otruty. Jego ciało w okrutny sposób zbezczeszczył lud rzymski – pokłute lancami, straszliwie okaleczone wleczono po ulicach miasta, porzucając u stóp posągu Marka Aureliusza. Dopiero nazajutrz kilku skromnych duchownych pogrzebało je – bez najmniejszych oznak pochówku papieskiego.

Gdybyśmy chcieli scharakteryzować ogólnie ponad tysiącletnia historie Kościoła z okresu między V a XVI wiekiem, narzucałby się nieodparcie jej rys kryminalny. Niemal wszyscy papieże – z nielicznymi wyjątkami – obciążyli swe sumienie czynami i postępowaniem całkowicie sprzecznym nie tylko z nauką głoszoną przez Chrystusa, ale i z interesem samego Kościoła. Zbrodnia zaprzeczała miłości, ucho igielne nie odstraszało od luksusu, miłosierdzie – od pychy i siły władzy.

Przykłady można by mnożyć. Przywołajmy tylko niektóre. W latach 1378-1389 nawą Piotrową zarządzał Bartolomeo Prignano jako Urban VI – jeden z dwóch szaleńców, którym przyszło rządzić Kościołem.

Po siedemdziesięciu latach „niewoli awiniońskiej” papieże powracają do Rzymu. Spotyka ich olbrzymie rozczarowanie. Mała, zapyziała miejscina, brud, nędza, zniszczone kościoły i pałace. To nie mogło się podobać namiestnikom Chrystusa, przywykłym do zbytku i luksusu awiniońskich pałaców. Grzegorz XI wręcz marzył, aby z powrotem znaleźć się w niedawnej siedzibie. Śmierć jednak przeszkodziła mu w spełnieniu tych zamierzeń.

Rzymianie, choć w ciągu wieków wielokrotnie buntowali się przeciw kościelnym władcom, teraz cieszyli się z ich powrotu. Liczyli, że wraz z dworem papieskim powinny wrócić dobre, bogate czasy. Gwarancją był wybór Rzymianina lub Włocha na stolicę Piotrową. Dlatego też zwołane po zgonie Grzegorza XI konklawe kardynałów obradowało pod silną presją mieszkańców. Kiedy nie starczyło nocy, by dokonać wyboru, rankiem 8 kwietnia 1378 roku tłum zaczął dobijać się do bram. Chyba trochę ze strachu decyzję przyspieszono i kardynałowie wybrali papieżem arcybiskupa Bari, Bartłomieja Prignano.

Dokonany wybór godził rywalizujące ze sobą stronnictwa francuskie i włoskie. A że Prignano nie był kardynałem, musiał, więc do Rzymu dopiero przybyć. Tymczasem lud, błędnie poinformowany, uznał za papieża sędziwego starca, kardynała Tibaldeschi. Starym zwyczajem splądrowali jego dom – cały dobytek nie był mu już potrzebny. Kardynałowie w

zamieszaniu, w obawie przed rozszalałym tłumem nie dość, że przedstawili kardynała Tibaldeschi, zupełnie zapominając o wcześniejszym wyborze, to jeszcze obdarowali go papieską mitrą. Tymczasem w Rzymie znalazł się już „prawdziwy” papież. Widząc, co się dzieje, w obawie o życie musiał ratować się ucieczką i ukryciem w piwnicach watykańskich. Kardynałowie pochowali się w zakamarkach Zamku św. Anioła.

Gdy kardynał Tibaldeschi wyjaśnił rzymianom całe nieporozumienie, zamieszki wybuchły z nową siłą. W niebezpieczeństwie znaleźli się nie tylko kardynałowie, ale i sam arcybiskup Bari, którego pospólstwo chciało wręcz utopić w Tybrze. Dopiero dzięki zdecydowanej interwencji ówczesnych sił porządkowych udało się zapobiec większej masakrze.

Bartolomeo Prignano po dziesięciu dniach został ostatecznie zaakceptowany, wyświęcony i koronowany. Panował jako Urban VI. Równie jak dziwny był jego wybór, tak tragiczny okazał się pontyfikat. W ciągu dwunastu lat panowania dopuścił się wielu zbrodni. Od niego rozpoczęła się największa schizma w Kościele Zachodnim. Był brutalny, arogancki, ostro napominał kardynałów, traktując ich jak służących, a nie jak książąt Kościoła. Wpływy ich chciał zresztą ograniczyć w dobrej wierze. Raziły go, bowiem bogactwa purpuratów – stajnie po sto koni, dochody z licznych biskupstw, zamiłowanie do luksusu – a także demonstrowanie potęgi sprawowanej władzy. Nie tolerował tego i dawał książętom jasno do zrozumienia, że z tym skończy. Nienawiść do papieża zjednała niemal wszystkich kardynałów. Jednocześnie otoczenie coraz bardziej utwierdzało się w przekonaniu, że Urban popada w coraz większy obłąd. Narastająca choroba umysłowa nie była argumentem wyłącznie jego przeciwników. I zwolennicy uważali, że „taki papież” nie jest potrzebny Kościołowi.

Obrażeni kardynałowie, zwłaszcza francuscy, lżeni i poniżani przez Urbana VI schronili się do Anagni ogłaszając manifest, że wybór papieża należy uznać za nieważny, gdyż dokonany został w atmosferze strachu i pod przymusem, a więc bez spełnienia podstawowego warunku – wolności wyboru. Manifest skierowany został do całego świata chrześcijańskiego i zbuntowanym kardynałom zaczął zjednywać coraz większe grono sojuszników. Wreszcie trzynastu kardynałów we wrześniu 1378 zebrało się w Fundi i obrało nowym papieżem – Roberta z Genewy jako Klemensa VII.

I tak rozpoczęła się ponad półwieczna wielka schizma. Było dwóch papieży. Klemens VII ostatecznie zdecydował się powrócić do Awinionu, uzyskawszy wcześniej poparcie nawet kardynałów włoskich. Tymczasem Urban VI nie zrezygnował. Wrogowie twierdzili nawet, że obok obłądzenia padł w pijaństwo. Król Neapolu postanowił, więc poddać papieża pod opiekę rady regencyjnej. Kiedy wieści o tym wszystkim dotarły do Urbana, wściekłość przerodziła się w okropny plan rozprawy z przeciwnikami. Jedenastu kardynałów uwięzionych zostało w lochach, gdzie byli torturowani, dręczeni i gdzie mieli umrzeć z głodu. Ich ciała zżerane były przez szczury i robactwo. Sam papież przyglądał się temu z sąsiadującego z lochami tarasu. „Czytając” Biblię wsłuchiwał się w krzyki konających książąt Kościoła. Kaci wymyślali, co rusz nowe tortury.

Kiedy po latach król Neapolu zorganizował przeciw papieżowi ekspedycję zbrojną, Urban VI musiał uciekać. Otoczył się bandą najemników, jako jeńców zabrali kilku prałatów i kardynałów. Ci byli torturowani i ledwo wytrzymywali trudy podróży. Z papieskiego rozkazu biskup Akwili został zaszyty i porzucony u drogi. Kardynałowie – jeńcy zostali wymordowani. Świadkowie podają sprzeczne relacje. Jedni twierdzą, że zostali na polecenie Urbana zrzućeni do morza w zaszytych workach, inni, że zostali żywcem zakopani.

Wreszcie kres przyszedł i na samego papieża – szaleńca. Urban VI zmarł w październiku 1389 roku. Został prawdopodobnie otruty. Zdążył jeszcze przed śmiercią ogłosić bullę skracającą okresy dzielące lata święte z 50 do 33 lat „na pamiątkę ziemskiego Żywota

Pana Naszego”. Rok Święty został wyznaczony na 1390. Papież chciał tą inicjatywą przekupić lud. Sam grzeszny, Roku Świętego już nie doczekał.

Papież Urban VI rozpoczął okres wielkiej schizmy zachodniej. Papież Jan XXIII (1410-1418) kończył natomiast ten okres rozdarcia.

Jana XXIII, dziś uważanego za antypapieża, łączyło z poprzednikiem okrucieństwo i zbrodniczy tryb życia.

U schyłku wielkiej schizmy zachodniej o urząd papieski rywalizowało kilku pretendentów. Był rok 1409, Kościołem rządziło jednocześnie dwóch papieży. Zwołany do Pizy Sobór miał być szansą na naprawę Kościoła. Kardynałowie i biskupi oczekiwali, że obydwaj dotychczasowi zrezygnują ze swoich godności. Na ich miejsce wybrano, więc Aleksandra, mimo iż poprzednicy urzędów nie złożyli. Teraz Kościół miał nie dwóch, lecz trzech papieży. Aleksander V (1409-1410), Pietro di Candia, dziś uznawany jest za antypapieża. Choć spór o legalność jego wyboru nie został zakończony, jako papież „soborowy” godność swoją sprawował przez 11 miesięcy. Zmarł nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Od razu podejrzewano, że został otruty przez kardynała Baldassarre Cosę.

Baldassarre był wtedy kardynałem i legatem papieskim w Romanii i Bolonii. Celem jego misji było włączenie tego miasta do Państwa Kościelnego. Jako sprawny i przebiegły dyplomata z zadania swego wywiązał się w całej pełni. Przez pięć lat legacji zastąpił jednak w Bolonii z niezwykle rozwiązłego i hulaszczego trybu życia. Uwiódł tam wiele kobiet. Ale nie był to przecież najważniejszy zarzut z życia przyszłego papieża.

Kardynał Baldassarre nie pałał miłością do biskupów Rzymu, sprawujący urząd papieski. Nie bez racji posądza się go o udział w zamordowaniu dwóch z nich. Z całą pewnością przyczynił się do złożenia z urzędu papieża Grzegorza XII i antypapieża Benedykta III. Najbliższe związki łączyły go jednak z Aleksandrem V. To on nakłonił papieża do zamieszkania w Bolonii, gdzie ten wkrótce... zginął. Tron papieski stał się „wolny” dla niego. Ci sami kardynałowie, którzy w Pizie wybrali Aleksandra, teraz w Bolonii, czym prędzej wybrali Baldassarra, mimo iż znane im było jego burzliwe życie jako kardynała. Przybrał imię Jana XXIII. Za prawowitego następcę św. Piotra uznany został nawet przez Francję, Anglię oraz niektóre państwa włoskie i niemieckie.

Niezwykła to była kariera w Kościele. Od pirata – przez służbę wojskową, handel odpustami, lichwiarstwo – po tytuł kardynalski i tron świętego Piotra. Jan XXIII wobec swoich przeciwników stosował zdecydowaną politykę – wieszał i karał wszystkich zbuntowanych. Sam został usunięty z urzędu przez Sobór w Konstancji za symonię i morderstwa. Oskarżono go o skandaliczny tryb życia oraz osobiste zgładzenie stu dwudziestu osób. Lista zarzutów obejmowała aż siedemdziesiąt punktów. Mimo iż udało mu się w przebraniu uciec do Konstancji, został schwytany, osądzony i uwięziony. Chociaż skazano go na dożywocie, wykupił się za ogromną sumę trzydziestu tysięcy dukatów. Chyba ze wstydu, żaden z papieży przez blisko 450 lat nie przyjął imienia Jan. Żeby całkowicie zapomnieć o tym zbrodniczym i występny namiestniku Chrystusa, dobry papież Jan w 1958 roku nazwał się też XXIII – no, ale to zupełnie inna historia.

Legalny już papież, Marcin V, wybrany przez Sobór w Konstancji, wybaczył Janowi wszystkie występki i mianował go nawet ponownie kardynałem. Chyba na szczęście dla Kościoła Jan wkrótce zmarł.

Jan XXIII nie był jednak ostatnim papieżem, którego obciążały tak poważne przestępstwa. Niemal każdy z jego następców w ciągu najbliższych dwustu pięćdziesięciu lat mógłby zostać bohaterem podobnej opowieści. Tak było również z wieloma papieżami w wiekach poprzednich. Wspomnijmy chociażby Klemensa IV (1265-1268), na którym spoczywa odpowiedzialność za ścięcie młodego, czternastoletniego Konradyna, syna króla Sycylii, Manfreda, i wnuka Fryderyka II. Papież, choć sam w czasie swojego pontyfikatu nigdy nie rezydował w Rzymie, to realizując politykę profrancuska sprawił, że pięciu

kardynałów koronowało w Rzymie Karola Andegaweńskiego na władcę Sycylii. Kiedy prawowici sukcesorzy tej korony upomnieli się o swoje, wybuchła wojna. Manfred zginął pod Benewentem, a Konradyn przegrał pod Tagliazazzo. Schwytany, został skazany na śmierć przez ścięcie na neapolitańskim rynku. Papież nie tylko nie ocalił księcia przed śmiercią, ale nawet odmówił mu katolickiego pochówku – jako buntownikowi. Sprzeciwił się, bowiem woli władcy koronowanemu z woli papieża i za ten grzech musiał zginąć. Stąd tradycja całkowitą winę za śmierć młodego Konradyna przypisuje papieżowi. W 1545 roku Łukasz Cranach wykonał rycinę przedstawiającą Klemensa IV jako kata Konradyna. Rycina ta jest jednym z najczęściej publikowanych obrazów z historii Kościoła. A fakt, że po śmierci Klemensa IV aż przez trzy lata nie obrano następcy – też wiele tu mówi.

Wielkim okrutnikiem był papież Sykstus IV (1475-1484). Choć pochodził ze słynnego rodu della Rovere, to wywodził się z jego najbiedniejszej liguryjskiej linii. Od dziecka uczył się i przebywał u franciszkanów. Braciszkanie, przyjmując w swoje szeregi przyszłego kardynała, chcieli w ten sposób ulżyć rodzinie. Okazało się, że inwestycja była trafna. Za nim jako kandydatem na papieża opowiedzieli się kardynałowie: Orsini, Borgia i Gonzaga, obdarowani później intratnymi beneficjami. Zresztą rozdawnictwo dóbr kościelnych tak weszło w krew nowemu papieżowi, że skarbiec rychło zaczął świecić pustkami.

Sykstus IV dał początek całej liście papieży, których mniej interesowało namiestnictwo Chrystusowe, a bardziej dbałość i troska o dobra doczesne. Gromadzili bogactwa, rozdawali łupy, ich dwory bawiły się nierzadko nie zawsze obyczajnie i bez zachowania moralnego umiaru, wszczynali i prowadzili wojny, sami często zresztą stając na czele wojsk i nieźle władając mieczem.

Sykstus IV mawiał „wystarczy pióro i kropla atramentu, by zdobyć każdą kwotę, jakiej zapagnę”. To on pozwolił królom hiszpańskim: Izabeli Kastylijskiej i Ferdynandowi Aragońskiemu na wznowienie działań inkwizycji. Na urząd Wielkiego Inkwizytora powołał w 1483 roku dominikanina, Torquemadę. Wojowniczy papież, wybrał okrutnika. Torquemada sam siebie nazywał żarliwym obrońcą wiary. Urząd pełnił piętnaście lat. W tym czasie wydał dziewięćdziesiąt siedem tysięcy wyroków, a żywcem spalił ponad szesnaście tysięcy osób. Kiedy doszło do tego, że z woli inkwizytora regularnie ginęły w płomieniach trzy osoby dziennie, jego papieski protektor wywołał kolejną wojnę. A chodziło o obronę interesów jego bratanka i walkę z wrogim rodem Colonnów. Zmarł z gniewu i pasji, w jaką wpadł, gdy dowiedział się, że nie osiągnie w tej wojnie korzyści, jakich oczekiwał. Dzień śmierci papieża rzymianie uznali za „najpiękniejszy w ich życiu”.

Jego następcą został Innocenty VIII (1484-1492). Bujne i kochliwe życie tego papieża przedstawiliśmy już w poprzednich tomach: „Tajne sprawy papieży” i „Kobiety Watykanu”. Przypomnijmy, że jako młodzieniec miał wiele kochanek, uchodził, bowiem za bardzo przystojnego i fizycznie rozwiniętego, przy tym nie o kształt klatki piersiowej tu chodziło. Jako papież był już schorowany, najpierw z wycieńczenia w latach młodości. Żywił się wyłącznie mlekiem kobiet. To jemu przypisuje się odpowiedzialność za zabójstwo trójki dzieci, z których krwi przyrządzono Ojcu Świętemu miksturę dla odzyskania zdrowia. Dzieci zginęły, a papież chorował dalej. Śmierć krążyła po jego komnatach.

Ulubionym zajęciem pontifexa były „polowania na czarownice”. Już na początku panowania, w 1484 roku, ogłosił bullę „Summis desiderantes affectibus”. To na jej podstawie wszczęto wiele procesów czarownic. Zawzięci w ściganiu przeciwników wiary dominikanie wydali w Niemczech ze swego grona dwóch braciszków, Henryka Institora i Jakuba Sprengera. To oni opracowali komentarz do bulli papieskiej zatytułowany „Malleus Maleficarum” (Młot na czarownice). Był to rodzaj kodeksu karnego, ustalającego wykaz tortur, jakim miały być poddawane „zwolenniczki” paktu z diabłem. Ocenia się, że przez półtora wieku „młot” Innocentego VIII spadł na głowy blisko dwu milionów kobiet w krajach europejskich, głównie w Hiszpanii i w Niemczech.

Papież Klemens VII (1523-1534) wiernie realizujący, podobnie jak jego poprzednicy, budowę potęgi papieżstwa, dążył do osłabienia potęgi cesarza Karola. Zawarł w tym celu przymierze z Wenecją i Francją. Gdy wojska cesarskie pokonały przeciwników, bramy Rzymu stanęły otworem. 16 maja 1527 roku armia cesarska, złożona głównie z najemników hiszpańskich i luterańskich lancknechtów, wdarła się do miasta. Zaczęły się najtragiczniejsze w historii miasta osiem dni, znane pod nazwą „Sacco di Roma”. Cesarscy najemnicy, w przeważającej części protestanci, łupili ludność, plądrowali, gwałcili i mordowali. Zginęło ponad trzydzieści tysięcy osób. Ostatecznie miasto zostało doszczętnie spalone. Żołnierze twierdzili, że celem ich misji jest „wyczyszczenie stajni watykańskiego antychrysta”. Zniszczenia były tak wielkie, że przewyższyły nawet te sprzed 450 lat za pontyfikatu Grzegorza VII, kiedy wkroczyli doń Normanowie. Sam papież musiał chronić się przed najeźdźcami w Zamku św. Anioła. Po poddaniu się przez siedem miesięcy pozostawał więźniem najeźdźców, dopóki nie wpłacono odpowiedniego haraczu. Dla zapłacenia okupu przetapiano tiary, korony, kielichy mszalne. Papieskie dobra zostawiono u lichwiarzy. W taki sposób żądny sławy i władzy doczesnej papież doprowadził Rzym do największej tragedii i śmierci tysięcy mieszkańców.

Dwadzieścia lat po śmierci Klemensa, papieżem został Gian Pietro Carafa, wówczas już osiemdziesięcioletni starzec. Jako Paweł IV (1555-1559), zasiadał na tronie kolejny obłąkaniec. Znaczną część kariery duchownej poświęcił z początku prawdziwej reformie Kościoła. Wprawiony dyplomata, służył pomocą pięciu papieżom, kardynałem został w wieku sześćdziesięciu lat. Od 1550 roku pełnił funkcję jednego z sześciu inkwizytorów w Świętym Oficjum. Był drugą po papieżu osobistością w Kościele, pełniąc godność dziekana Świętego Kolegium Kardynalskiego.

Uchodził za człowieka o wyjątkowej surowości zarówno w obyczajach, jak i w charakterze. Był bezwzględny i okrutny. Odnowy Kościoła, według papieża, mogła dokonać tylko jedna instytucja – inkwizycja. Zwalczał i karał wszelkie objawy odchodzenia od wiary. Mawiał nawet, że „gdyby mój rodzony ojciec dopuścił się najdrobniejszej herezji, nie zawahałbym się ani przez chwilę i własnymi rękami wzniosłbym jego stos”. Był przy tym nienasyconym protektorem swojej rodziny. Nepotyzm za jego czasów osiągnął szczyty.

Papież zalecił, aby tortury stosowano nie tylko wobec oskarżonych, ale również wobec świadków. Kardynałowie także nie mogli czuć się bezpiecznie. Nawet ci najlojalniejsi bili podejrzani. Kardynał Marone, na przykład, z papieskiego rozkazu spędził część życia w lochach Zamku św. Anioła.

„Uwieńczeniem” pontyfikatu Pawła IV był rok 1559, w którym ogłosił on „Indeks ksiąg zakazanych”, a więc katalog wydawnictw, których Kościół zabronił czytać, gromadzić i rozpowszechniać jako szkodliwych dla czystości wiary. Na liście tej znalazły się, między innymi, niektóre księgi Biblii i dzieła wielu Ojców Kościoła.

Papież był z całą pewnością obłąkany. Kiedy 18 sierpnia 1559 roku obiegła Rzym wiadomość o śmierci Jego Świątobliwości, świat chrześcijański radował się i świętował. Tłum, wdzięczny Bogu za zabranie papieża, z radością roztrzaskał jego pomnik i podpalił gmachy Świętego Oficjum. Zażądał też wydania jego zwłok. Tylko ich ukrycie uchroniło ciało papieża przed profanacją.

Jeszcze okrutniejszy był pontyfikat żelaznego papieża, Sykstusa V (1585-1590). Był on następcą Grzegorza XIII, który na wieść o nocy świętego Bartłomieja, kiedy w Paryżu poległo sześć tysięcy hugenotów, kazał bić w dzwony i śpiewać „Te Deum”.

Sykstus V, Felice Peretti, zaczynał od pasania świń. Gdy miał dziewięć lat dostał się pod opiekę franciszkanów. Z zakonem tym związał się już do śmierci. Nim został papieżem, był nawet generałem ich zakonu. Dzień jego papieskiej koronacji, 1 maja 1585, „uczczono” powieszeniem na moście do Zamku św. Anioła czterech młodzieńców, których przyłapano na drobnych kradzieżach, lecz z bronią w ręku. Kara miała być ostrzeżeniem: z tym papieżem

nie będzie łatwo. Wzmocniona przez niego i wyposażona we wszelką władzę policja miała za zadanie wszczęcie bezwzględnej walki z bandytyzmem. Żelazny papież i jego ludzie nie znali litości. Egzekucje były codziennością. Niemal na każdym kroku można się było natknąć na sterczące na ostrzach włóczni głowy złoczyńców. Karą najwyższą objęto wiele przestępstw: grabież, kazirodztwo, sodomie, aborcję, sutenerstwo, cudzołóstwo.

Cały Rzym drżał ze strachu przed Ojcem Świętym. Biedny świniopas jako papież przyniósł Kościołowi ogromne bogactwa. Gdy umierał, w podziemiach Zamku św. Anioła zostawił prawie cztery miliony talarów w złocie. Ten ogromny majątek wkrótce roztrwonili jego następcy.

Katolicki historyk lord Acton, w liście do innej katolickiej historyczki, lady Blennerhasset, tak pisze: „papieże nie tylko byli mordercami na wielką skalę, lecz ponadto uczynili mord podstawą prawną Kościoła chrześcijańskiego oraz warunkiem zbawienia”.

Ich chrześcijańscy przeciwnicy, luteranie, nie pozwalali zapomnieć papieżom o okropnościach historii. Marcin Luter pisał: „dlaczegoż byśmy nie mieli zaatakować tych kardynałów, papieży i całej tej rzymskiej sodomy wszelką bronią, a potem myć ręce w ich krwi”.

Przez stulecia, krew była prawdziwym symbolem wiary. Wolter obliczył skrupulatnie, że w imię wiary 9 468 800 chrześcijan straciło życie za sprawą innych chrześcijan.

Trupi synod

Istnieją wydarzenia w historii Kościoła, do których nigdy by się on nie przyznał, gdyby nie źródła, potwierdzające ich prawdziwość. Na podstawie tych źródeł można byłoby dzisiaj, w czasach, gdy sycimy swoją wyobraźnię filmami o przemocy, gwałtach i okrucieństwie, nakręcić serial, który stałby się hitem wszech czasów. To, że do tej pory tak się nie stało, niech świadczy, że nie wszystko, co ludzkie zostało w nas pogrzebane.

W niniejszym rozdziale, opowiemy o wydarzeniach, które całemu stuleciu nadały miano „wieku papieży przeklętych”.

Wstępem do potworności, które zainicjowały „Noc papieżstwa”, było zabójstwo Jana VIII. Europa wówczas stawiała czoło najazdom Wikingów, Saracenów i Węgrów. Na Stolicy Piotrowej zasiadało kolejno czterdziestu ośmiu papieży, którzy byli jedynie marionetkami w rękach kilku potężnych rodów: Teofilaktów, Krescencjuszy i hrabiów Tusculum.

Pontyfikat Jana VIII był pełen dramatycznych wydarzeń – intryg w Rzymie, walk o tron cesarski i najazdów Saracenów. Papież czuł się zagrożony zdobycami bizantyjskimi w Italii. Odbierał to jako chęć ponownego zjednoczenia cesarstwa. Starał się zapobiec najazdom Saracenów, coraz bardziej zagrażających Rzymowi. Wspierał w tej sprawie cesarza Ludwika II, a po jego śmierci sam stanął na czele przygotowań obronnych. Otoczył murami bazylikę św. Pawła. Wystawił flotę wojenną, która zagarnęła osiemnaście okrętów arabskich i uwolniła sześciuset niewolników chrześcijańskich. Zabiegał o utworzenie ligi państw środkowej i południowej Italii przeciwko Saracenom.

Inicjatywa ta nie znalazła jednak zrozumienia wśród italskich książąt. Jan VIII dał się wciągnąć w wir intryg i rywalizacji rodowej, toczącej się pomiędzy tymi książętami. Kazał na przykład ściąć dwudziestu neapolitańskich jeńców za to, że diuk Neapolu nie zgodził się przystąpić do przymierza władców południowej Italii przeciw Saracenom.

Chcąc ocalić Rzym i zapobiec najazdom Saracenów, nie mogąc jednocześnie liczyć na niczyją pomoc, Jan VIII zdecydował się płacić Saracenom haniebny roczny haracz.

Jan VIII wpadł w pułapkę, którą zastawiła na niego własna rodzina. Podano mu kielich zatrutego wina. Trucizna działała jednak zbyt wolno, więc roztrzaskano mu głowę obuchem.

Po śmierci Jana VIII biskupem Rzymu obwołano Marynusa I (882-884). Naruszono w ten sposób jedno z surowo przestrzeganych praw: nie mógł, bowiem zostać papieżem ktoś, kto stał już na czele innej diecezji. Marynus I był do tej pory biskupem Cere w Etrurii. Zrehabilitował biskupa Porto, Formozusa, usuniętego z diecezji jeszcze decyzją Jana VIII. Formozus, ponownie obejmując biskupstwo Porto, otrzymał także przywilej konsekrowania papieży. Formozus wyświęcił dwóch z nich: Hadriana III i Stefana V. Fakt ten przywrócił mu wysoką pozycję w Kościele Rzymskim, dzięki czemu sam później, uzyskując poparcie cesarza, został wybrany na papieski urząd w 891 roku.

Tymczasem następcą Marynusa I został Hadrian III (884-885), który wsławił się w swoich krótkich rządach tym, że kazał oślepić skazańca, zaś jego żonę wychłostać i poprowadzić obnażoną ulicami miasta.

Papieżem po Hadrianie III ustanowiono Stefana V (885-891). Stało się to ku niezadowoleniu cesarza Karola, którego nie poproszono o zgodę. Stefan V został skarbiec splądrowany. Nie chcąc zawieść kleru, zakonów i ubogich, którzy zgodnie z obyczajem byli obdarowywani przez nowo wybranego, sięgnął do osobistych zasobów. Zmarł w 891 roku.

Wówczas Rzym nadzieje swoje złożył w biskupie Porto, wspomnianym wcześniej kardynale Formozusie (891-896). Wsławił się on już na swoim dotychczasowym urzędzie dziełem chrystianizacji Słowian oraz poselstwami we Francji i w Niemczech. Formozus został wybrany na papieża dzięki poparciu cesarza Gwidona III. W zamian musiał się zgodzić na koronację jego syna, Lamberta ze Spoleto, na współ cesarza (892). By pozbyć się dokuczliwej opieki cesarza, w 893 roku wezwał króla Arnulfa do wyprawy na Rzym. Miasto zostało zajęte w 896 roku, w czasie drugiej wyprawy do Italii. Formozus koronował wówczas Arnulfa na cesarza, co Spoletanie uznali za zdradę.

Formozus zmarł 4 kwietnia 896 roku, być może w wyniku otrucia. Rzym pogrążył się w chaosie. Handlowano tytułami kościelnymi, baronowie walczyli o władzę przywłaszczając sobie tytuły senatorów czy konsulów. Papieżami zostawali złoczyńcy, kierowani chciwymi kurtyzanami.

Następcą Formozusa lud rzymski wybrał Bonifacego VI, kapłana wielokrotnie już ekskomunikowanego. Zmarł po piętnastu dniach sprawowania władzy. Synod odbyty w Rawennie (900) nakazał wykreślić go z listy papieży. Mimo to jest on wymieniany w „Liber pontificalis” i uznawany za prawowitego papieża. Bonifacy VI został pochowany w bazylice św. Piotra.

Jego następcą został Stefan VI, człowiek podobnego pokroju. Panował dłużej (896-897), miał, zatem więcej czasu, by dać się poznać od swej najbardziej psychopatycznej strony. Stefan VI był synem kapłana Jana, a zanim uzyskał tron papieski, był biskupem Anagni. Biskupstwo to powierzył mu zresztą nikt inny jak Formozus. Było to sprzeczne z ówczesnymi przepisami kościelnymi, zabraniającymi przechodzenia z jednego biskupstwa na drugie. Stefan VI poparł cesarza Arnulfa z Koryntii, ale gdy ten opuścił Rzym z powodu choroby i zachwiała się jego pozycja w mieście, przeszedł na stronę cesarza Lamberta ze Spoleto. Lambert wykorzystał uległego mu papieża do pośmiertnej rozprawy z Formozusem. Nastął czas zemsty.

Stefan VI zwołał w 897 roku na polecenie Lamberta ze Spoleto, synod rzymski, zwany „trupim”.

Oskarżonym był papież Formozus. Ponieważ oskarżony papież od dziewięciu miesięcy nie żył, odgrzebano jego zwłoki, ubrano w szaty pontyfikalne, posadzono na tronie i sadzono przez trzy dni. Uznano go winnym przekroczenia praw kościelnych. Formozus,

bowiem, podobnie jak papież Marynus I, i sam sądzący go Stefan VI, zamienił swoje biskupstwo na Rzym, a ponadto był ekskomunikowany przez Jana VIII.

Pontyfikat Formozusa uznano za nielegalny, a udzielone przez niego święcenia i przywileje za nieważne. Trupowi Formozusa odrąbano trzy palce prawej ręki, którymi namaścił na cesarza króla Arnulfa, zdarto z niego szaty pontyfikalne i wrzucono do zbiorowej mogiły z biedakami.

To jednak jeszcze nie wystarczyło Stefanowi VI. Po kilku dniach ponownie odkopano szczątki Formozusa, poćwiartowano je, wleczono ulicami miasta, aż wreszcie wrzucono do Tybru.

„Trupi synod” podzielił Italię na zwalczające się partie – przeciwników i zwolenników Lamberta. Haniebny postępek Stefana VI wzburzył lud rzymski, a szczególnie tych, którzy dostąpili łask Formozusa. W Rzymie wybuchły przeciwko papieżowi zamieszki. Po miesięcznych walkach, kapłani wyświęceni niegdyś przez Formozusa, zdołali dopaść Stefana – psychopate, który unieważnił ich święcenia, uwięzić go i udusić pewnego sierpniowego dnia 897 roku.

Kolejnym papieżem został Romanus (897), brat niedawnego papieża, Marynusa I. Na polecenie Romanusa szczątki Formozusa wyłowiono z Tybru i pochowano na brzegu rzeki. Romanus sprawował władzę niespełna cztery miesiące. Potem osadzono go ponoć w jakimś klasztorze. Po nim nastął czas jeszcze krótszego, bo zaledwie dwudziestodniowego pontyfikatu Teodora II.

Teodor na „trupim synodzie” otwarcie stanął po stronie oskarżonego papieża. Szczątki Formozusa raz jeszcze ekshumowano i tym razem na polecenie papieża pochowano z wszelkimi honorami w Bazylice św. Piotra. Tym samym Teodor przywrócił wszystkie unieważnione przez „trupim synod” postanowienia. Ale taką postawą papież naraził się stronnictwu Spoletan. Przygotowano, więc na Teodora II zamach, w wyniku, którego zginął on w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach.

Spoletanie oddali papieństwo Sergiuszowi, hrabiemu na Tusculum, który funkcję utrzymał przez parę godzin i schronienia musiał szukać u markiza Adelberta z Tuscji. Pojawić się miał ponownie po sześciu latach, tym razem jako Sergiusz III (904-911).

W tych okolicznościach papieżem został Jan IX (898-900), opat klasztoru benedyktyńców, rodem z Tivoli. Do obwołania go papieżem doprowadził, zamieszkujący w Rawennie i wielce wpływowy w Italii, Lambert ze Spoleto. W dowód wdzięczności Jan IX koronował swego protektora na cesarza. Nie cieszył się on jednak długo swoim stanowiskiem. Podczas polowania spadł z konia i zmarł.

Los w dalszym ciągu nie szczędził Formozusa. Za pontyfikatu Jana IX spalono akta „trupiego synodu”. Na synodach potwierdzono zakaz przechodzenia z jednego biskupstwa na drugie. Uznano zarządzenie cesarza Lotara I, dotyczące elekcji papieża, choć nie miało ono żadnego praktycznego znaczenia. Postanowiono, że w wyborze papieża wezmą udział biskupi i duchowieństwo za zgodą senatu rzymskiego i ludu. Konsekracja zaś miała się odbywać w obecności posłów cesarskich. Te zarządzenia nie uchroniły Państwa Kościelnego przed rozruchami i rozbojami. Jan IX prosił cesarza, by mu pomógł w walce z przestępcami, ale Lambert nie zdążył, bo – jak pisaliśmy – zginął na polowaniu. Tak, więc Jan IX nie przeprowadził wszystkich zamierzonych reform. Zmarł w 900 roku i został pochowany w bazylice św. Piotra.

Jego następcą został Benedykt IV (900-903), syn mieszczanina Mammolusa, wyświęcony na kapłana jeszcze przez papieża Formozusa, którego kontrowersyjna postać wciąż budziła emocje. Dnia 30 sierpnia 900 roku zwołał synod na Lateranie, który uprawomocnił konsekrację i jego wyświęcenie przez Formozusa. Benedykt IV, wychwalany przez kronikarzy za miłosierdzie i hojność okazywaną sierotom i ubogim, pozostał jednak bezsilny wobec korupcji panoszącej się w Państwie Kościelnym. Zmarł w 903 roku,

pochowano go w bazylice św. Piotra. Po jego śmierci urząd biskupa Rzymu stał się obiektem zaciętej walki stronnictw politycznych.

Leon V panował niespełna trzy miesiące. Historycy twierdzą, że nie był rzymskim kapłanem, gdy został wyniesiony na urząd papieski. Uwikłał się w intrygi knute jeszcze przez Krzysztofa, dworzanina papieskiego, a także kardynała – prezbitera kościoła św. Damara. W efekcie Krzysztof wtrącił Leona V do więzienia, zmusił go do zrzeczenia się godności. W więzieniu Leon V zmarł albo został zamordowany.

W 904 roku urząd po nim objął Krzysztof – antypapież. Wkrótce jednak spotkał go podobny los, jaki sam zgotował poprzednikowi. Sergiusz, hrabia Tusculum, uwięził go i kazał zamordować. Sergiusz III (904-911) dał początek tej erze w dziejach papiestwa, którą określano mianem „pornokracji” – panowania kurtyzan.

Uśmiercenie swego poprzednika nie było dla Sergiusza wystarczającym przykładem rozliczenia z przeszłością, czy też wyrazem umocnienia swojej pozycji. W dziesięć lat po „trupim synodzie”, którego był głównym pomysłodawcą, raz jeszcze kazał wydobyć szczątki nieszczęsnego papieża Formozusa. Poleciał mu odciąć głowę, dwa pozostałe palce prawej ręki oraz ponownie unieważnił wszystkie nadane przez niego święcenia. Pozbawił także urzędów dostojników kościelnych, którzy dostali beneficja od potępionego papieża. Kości papieża Formozusa kazał wrzucić do Tybru. Po kilku dniach rybak znalazł w sieci szczątki pozbawione głowy. Sympatycy Formozusa w tajemnicy pogrzebali je znowu w krypcie bazyliki św. Piotra.

Sergiusz III miał nadzieję, że uwolnił się od prześladowających go wspomnień i mógł teraz zająć się innymi – wcale nie mniej występnyymi – poczynaniami. Spełniał przede wszystkim żądania nieobyčajnej Teodory, zwanej Starszą. Teodora była żoną Teofilaksa, stojącego na czele stronnictwa szlacheckiego. Mieli oni dwie córki: Marozję i Teodorę, zwaną Młodszą. Teodora Starsza i jej córki zadomowiły się w pałacu Laterańskim. Marozja, obdarzona urodą, mając piętnaście lat, postanowiła podbić serce Ojca Świętego, czego zresztą dokonała ze skutkiem nader widocznym. Wówczas była już żoną Alberyka ze Spoleto, co nie miało dla niej większego znaczenia. Urodziła papieżowi syna, którego także nazwała Sergiuszem. Czuwała nad nim dwadzieścia pięć lat, a później zadbała o to, by został papieżem, Janem XI. Marozja niewątpliwie była matką, Jana XI, babką Jana XII i ciotką Jana XIII, syna Teodory Młodszej.

Sergiusz III, mimo swego nieobyčajnego trybu życia, był lubiany przez lud rzymski. Odbudował bazylikę św. Jana na Lateranie, zniszczoną przez trzęsienie ziemi w czasie procesu papieża Formozusa w 897 roku. To dzieło przyczyniło się jednak w znacznie mniejszej mierze do przywrócenia rangi Kościoła niż klasztor, którego mury zaczęły wyrastać w 910 roku w burgundzkiej dolinie, w Cluny. Sergiusz III nie podejrzewał, że tam, w Cluny, zrodzi się owoc reformy, dzięki której będzie można zapomnieć o „przeklętym wieku papieży” i o „trupim synodzie”.

Zbrodnia pod sztandarem Chrystusa

Jedną z najważniejszych zbrodni Kościoła były wyprawy krzyżowe. Nie były to zbrojne najazdy, jak inne. Krucjaty odbywały się w imię Chrystusa. I dziś – z perspektywy wieków – wiemy, że dawały fałszywe świadectwo tej nauce. I jeśli cos zepsuło reputację chrześcijaństwu, na pewno były to wyprawy krzyżowe.

Zdaje sobie z tego sprawę Jan Paweł II, gdy próbuje za krucjaty przeproszać, ale jeden głos – nawet, jeśli należy do najwyższego w Kościele autorytetu – niewiele czyni. Niedawno w rodzinnym kraju papieża Wojtyły, w Poznaniu – kolebce polskiego chrześcijaństwa – odbyły

się uroczystości dziewięćsetlecia wyzwolenia Grobu Bożego w Jerozolimie. Świętowano radośnie, pod sztandarem Kościoła. Odprawiono mszę za przyszłość Europy, wygłoszono referaty, zaśpiewały Poznańskie Słowiki. Jakby nie było dziesiątek tysięcy ofiar krucjat – tej zbiorowej psychozy nienawiści, którą świadomie i cynicznie wywołał Kościół. Jakby zapomniano o prochach chłopów znad Renu czy baronów z zamków nad Sekwaną, których ciała grzebano na drodze do Jerozolimy. Jakby nie pamiętano o jerozolimskich kupcach, nauczycielach, szewcach i żebrakach, kobietach i dzieciach, których krzyżowcy, pod sztandarem Chrystusa wymordowali w zdobytym mieście. Jakby chciano znów ożywić średniowieczną obsesję odzyskania Ziemi Świętej.

Ta zaś trwała dwieście lat i zakończyła się klęską. Wyrządziła wiele zła, które do dziś obciąża stosunki między chrześcijanami, żydami i muzułmanami. Efektem wypraw krzyżowych było umocnienie barier oddzielających chrześcijaństwo od islamu. Krucjaty zatrwały ich wzajemne relacje. Chrześcijanie przyszli do muzułmanów i żydów z ogniem i mieczem, z rasizmem i nienawiścią, z poczuciem kulturowej wyższości i ekonomiczną dominacją, z kolonializmem i wyzyskiem. I nie można zapomnieć, że to hierarchia kościelna apelowała do chrześcijańskich rycerzy i wojowników, by poniechali waśni między sobą i udali się na rubieżę chrześcijaństwa, aby stanąć do walki z niewiernymi. Warto też przypomnieć, że to papieństwo przejęło kierownictwo świętych wojen, samo często inicjowało kampanie zbrojne i wyznaczało ich wodza, a papież rościł sobie prawo do władzy zwierzchniej nad zdobytymi obszarami.

Trudno zapomnieć, że wyprawy krzyżowe były pielgrzymką zbrojną. Ogniem i mieczem torowały drogę wierze w Chrystusa, a więc tego, który głosił pokój Boży. Rodzącemu się właśnie feudalnemu rycerstwu Kościół wyznaczył wzniosły cel – przy czym przelewanie krwi nie było grzechem a wojna zapewniała żywot wieczny.

Cóż może być bardziej cynicznego?

Może to, że wyprawy krzyżowe dały szansę złoczyńcom – bo uczestnicząc w nich mogli uniknąć kary za zbrodnie. Może to, że niedyscyplinowanym księżom pomogły zrzucić jarzmo, zbuntowanym mnichom umożliwiły ucieczkę z klasztorów, a upadłym kobietom dały jeszcze większą swobodę w niemoralnym prowadzeniu się.

Krucjaty wyrządziły wiele szkód także w samym łonie Kościoła. Fatalne postępowanie przedstawicieli Kościoła rzymskiego wywołało konsternację i wzburzenie obserwującego go bacznie Kościoła greckiego, co w efekcie sprawiło, że ponowne zjednoczenie chrześcijańskiego świata stało się praktycznie niemożliwe. Schizma wschodnia stała się nieodwracalna.

Jak do tego doszło?

Musimy się cofnąć aż do VII wieku, kiedy to niewierni po raz pierwszy od czasów Chrystusa pojawili się w Ziemi Świętej. W roku 614 wódz perski Szarbaraz, wkroczył do Palestyny, plądrując wsie i pałac chrześcijańskie kościoły. 15 maja tegoż roku, przy pomocy Żydów zamieszkałych w obrębie murów obronnych Jerozolimy, Persowie wdarli się do miasta. Trzeba oddać sprawiedliwość i powiedzieć, że doszło wówczas do wydarzeń mrozących krew w żyłach. Wśród płonących kościołów i domostw wymordowano wszystkich chrześcijan, część z nich zginęła z rąk żołdactwa perskiego, a jeszcze więcej zabili sami Żydzi. Jak podaje brytyjski historyk Steven Runciman, śmierć poniosło ponoć sześćdziesiąt tysięcy ludzi, a trzydzieści pięć tysięcy sprzedano w niewolę. Mieszkańcy zdołali wprawdzie ukryć najświętsze relikwie miasta, Krzyż Święty i narzędzia męki, ale Persowie je odnaleźli i wysłali w darze chrześcijańskiej królowej Persji, nestoriance Mariam, dołączając do darów patriarchę jerozolimskiego.

Upadek Jerozolimy był dla chrześcijaństwa strasliwym wstrząsem. Żydom nigdy nie zapomniano ani nie wybaczone roli, jaką wówczas odegrali. Zobaczmy później, jak ten fakt

wykorzystano w Europie, kiedy to w trakcie przygotowań do pierwszej krucjaty, urządzano im kilka pokazowych pogromów.

Persowie odnieśli sukces przez zaskoczenie i zdradę. Walka z nimi nabrała charakteru wojny świętej. Pod koniec 622 roku Herakliusz, młody arystokrata pochodzenia ormiańskiego, syn namiestnika prowincji afrykańskiej, podjął działania ofensywne przeciwko najeźdźcom. Zanim je rozpoczął, oddał je uroczyście współ z całą armią w służbie Bogu i wyruszył w pole w aureoli chrześcijańskiego rycerza, który ma stoczyć walkę z mocami piekielnymi. Odniósł sukces. Pobił Persów pod Niniwą w grudniu 627 roku. W 629 roku odzyskał Krzyż Święty i we wspaniałej procesji wniósł go z powrotem do Jerozolimy.

Pięć wieków później, dzięki Wilhelmowi z Tyru, który swoją historię wypraw krzyżowych rozpoczął od opisu wojny z Persją, Herakliusz uzyskał miano pierwszego krzyżowca.

W 637 roku Jerozolima, znów przy pomocy Żydów, wpadła w ręce niewiernych i do 700 roku cała Afryka rzymska znalazła się pod panowaniem Arabów. Jedenaście lat później Arabowie zajęli także Hiszpanię. W 717 roku ich imperium rozciągało się od Pirenejów po Indie środkowe, a wojownicy muzułmańscy nieustannie podejmowali próby skruszenia murów Konstantynopola.

W X wieku Bizantyjczycy wszczęli działania ofensywne, dzięki którym jeszcze raz cesarstwo wschodnio chrześcijańskie uzyskało mocarstwową pozycję na Bliskim Wschodzie. I wówczas to pojawia się ponownie hasło wojny świętej, organizowanej w imię oswożenia chrześcijan wschodnich. A że prowadzono ją odtąd permanentnie, tak, iż stała się elementem życia codziennego, lecz oczekiwanych efektów nie przynosiła – Bizancjum coraz częściej zaczęło zabiegać o pomoc zarówno u cesarza niemieckiego, jak i u papieża. Rzym widząc polityczną korzyść, jaką była szansa połączenia się – oczywiście pod władzą papieża – Kościoła prawosławnego i katolickiego, ostatecznie rozłączonych w 1054 roku, nie pozostał głuchy na te wezwania. Stolica Piotrowa dobrze wiedziała, że otwierają się możliwości podniesienia autorytetu władzy papieskiej, ściślejszego powiązania rycerstwa z ideologia Kościoła, perspektywy podporządkowania papieżowi Kościoła Wschodniego, a nawet rozciągnięcia władzy nad całym światem muzułmańskim, nawróconym oczywiście na chrześcijaństwo. I szansy tej nie chciano przegapić.

Trzeba było tylko znaleźć i zastosować odpowiednią formę propagandy dla tak rozległych celów politycznych. Zagrać do walki z niewiernymi. W oczach bizantyjskiej opinii publicznej śmierć w obronie Cesarstwa Wschodniego w bitwie z niewiernymi Arabami nie była bardziej chwalebna od śmierci w walce z chrześcijańskimi Bułgarami. Wielki kanonista Wschodu, święty Bazyli, chociaż przyznawał, że żołnierz musi słuchać rozkazów, twierdził też, iż każdy, kto podczas wojny zabił drugiego człowieka, winien na znak pokuty przez trzy lata powstrzymać się od przyjmowania komunii. Zadanie śmierci komukolwiek, nawet wrogowi, było grzechem. Dopiero cesarz Jan i jego znakomity żołnierz, Nicefor Fokas, ogłosili, że walkę z niewiernymi toczy się dla chwały chrześcijaństwa, a że jej celem jest ratunek miejsc świętych i zniszczenie islamu, zatem wojna taka nie może być uznana za źródło grzechu.

Arabowie nie pozostali w tyle. W 974 roku rozruchy w Bagdadzie zmusiły kalifa do ogłoszenia świętej wojny – dżihad. Walczący za wiarę – mudżahid, ginący z bronią w ręku, uważany był za męczennika (szahid) i szedł prosto do nieba. W zasadzie przedtem pojęcia wojny świętej i nawracania na islam miały zastosowanie wobec pogan, a nie odnosiły się do wyznawców religii objawionych („ludzi księgi”, jak chrześcijanie i żydzi). W samym Koranie znajdują się zalecenia przeciwne nawracaniu na islam siłą, zalecając łagodność i perswazję. I do tej pory „ludzie księgi”, żydzi i chrześcijanie, byli traktowani specjalnie. Mogli zachować swoją wiarę i chociaż należeli do klasy niższej niż muzułmanie, to jednak znajdowali się pod

specjalna opieka, jako „protegowani” (dhimmi). I właśnie, w 974 roku, takiemu pojmowaniu zaleceń Koranu położono kres.

Z drugiej strony Kościół katolicki przypominał sobie świętego Augustyna, który dopuszczał podejmowanie wojny z nakazu Boga. Augustyn, bowiem, chcąc zapanować nad nowo powstałymi po najazdach barbarzyńskich społecznościami rycerskimi postanowił spełnić ich oczekiwania i znaleźć uzasadnienie dla powszechnie przyjętego w owych czasach sposobu spędzania czasu – a więc wojaczki. Cóż, więc prostszego od pomysłu skierowania wojowniczej energii rycerstwa na ścieżki, które prowadzą do celów korzystnych dla interesów Kościoła? I tak święta wojna, to znaczy wojna prowadzona w interesie Kościoła, stała się dopuszczalna, a nawet pożądana.

Jako pierwszy, papież Leon IV (847-855) w połowie dziewiątego wieku ogłosił, że każdy, kto ginie w obronie Kościoła, otrzyma nagrodę w niebie. W jakiś czas potem papież Jan VIII (872-882) poległych w świętej wojnie zrównał z męczennikami: jeżeli zginęli z bronią w ręku, grzechy były im odpuszczone, pod jednym wszakże warunkiem, że poległy żołnierz winien mieć czyste serce. Papież Mikołaj I (858-867) ustanowił, że ludziom, którzy orzeczeniem Kościoła zostali potępieni za grzechy, wolno nosić broń wyłącznie w celu walki z niewiernymi.

Kiedy w 1063 roku król Aragonii, Ramiro I, został przez muzułmanina zamordowany w Grados, papież Aleksander II (1061-1085) ogłosił odpust dla wszystkich, którzy wezmą udział w walce za Krzyż w Hiszpanii. I osobiście zajął się werbowaniem do armii, która miała w Hiszpanii stoczyć z Arabami pierwszą świętą wojnę Kościoła zachodniego.

Do udziału w kolejnej ekspedycji wezwał władców chrześcijańskich papież Grzegorz VII (1073-1085). A przypominając światu, że królestwo hiszpańskie należy do stolicy św. Piotra, nadał rycerzom chrześcijańskim prawo obejmowania w posiadanie ziem zdobytych na niewiernych.

Jednak wszystkich pobił swą propagandą papież Urban II (1088-1099). W 1095 roku zwołał do Clermont synod, na którym 27 listopada wystąpił z doniosłym oświadczeniem. Rozpoczął od tego, że należy przyjść z pomocą braciom – chrześcijanom zamieszkałym na Wschodzie, ponieważ Turcy posuwają się coraz bardziej w głąb ziem chrześcijańskich. Wskazał na fanatyzm Turków Seldżuckich, którzy nie dopuszczają chrześcijańskich pielgrzymek do Palestyny, a opisując cierpienia pątników, podniósł też specjalną świętość Jerozolimy. W końcu zwrócił się z apelem, by chrześcijaństwo zachodnie wyruszyło na ratunek Wschodu. Zagwarantował przy tym, że jak ktoś polegnie w walce, otrzyma rozgrzeszenie i odpuszczone zostaną mu wszystkie grzechy.

Gdyby użyć współczesnego języka, można by powiedzieć, że papież Urban II znakomicie przygotował swą kampanie propagandową. Był świetnym, porywającym mówcą, nic, więc dziwnego, że odzew na jego apel był natychmiastowy.

Jeszcze nie skończył przemawiać, jak rozległy się pierwsze okrzyki: „Deus le volt!” (Bóg tak chce!). Natomiast, gdy tylko wymówił ostatnie słowa, powstał, Adamer, biskup Le Puy, i uklękawszy przed tronem, zwrócił się do papieża z prośbą o zezwolenie na udział w wyprawie. Setki ludzi poszło za jego przykładem. Entuzjazm przeszedł oczekiwania Urbana. Ogłosił, że wszyscy winni być gotowi do opuszczenia swoich domostw w dniu Wniebowzięcia (15 sierpnia) następnego roku, po zebraniu plonów z pól. Armie gromadzić się mają w Konstantynopolu.

Papież Urban nasilił kampanie propagandową. W jego imieniu akcję agitacyjną prowadził wędrowny mnich, Piotr Pustelnik. To za jego przyczyną przez całe lato 1096 płynął na Wschód chaotyczny, lecz nieustający strumień pielgrzymów, pozbawionych z początku i przywódców, i organizacji. On sam poprowadził z Kolonii dwadzieścia tysięcy ludzi, nie myśląc o tym, jak taka armie wyżywić. Nic dziwnego, że już na Węgrzech – katolickich przecież – w grodzie Zemuń, doszło do ząartej bitwy. Poległy w niej cztery tysiące Węgrów,

w ręce napastników dostały się znaczne zapasy żywności. Dzielni ludowi krzyżowcy Piotra Pustelnika w strachu przed zemstą króla węgierskiego z najwyższym pośpiechem przeprawili się przez Sawę. Aby zbudować tratwy, zrabowali całe drewno, jakie tylko udało się uzyskać z domów mieszkalnych. Armia Pustelnika zanim ujrzała jakiegokolwiek niewiernego, zdążyła doszczętnie najpierw splądrować, a potem puścić z dymem Belgrad.

Kiedy dotarła do Konstantynopola, grabieże wśród wschodnio chrześcijańskich braci stały się czymś powszechnym. I gdyby tylko chodziło o żywność, można byłoby to zrozumieć – człowiek głodny jest nieobliczalny. Jednak ludzie Piotra Pustelnika włamywali się do pałaców i willi na przedmieściach nie tylko dla zdobycia jedzenia. Grabili wszystko, co wpadło im w ręce, kradli nawet blachę ołowianą, którą kryte były kościoły. Przewodził im Walter bez Mienia – którego miano mówiło samo za siebie. Jego oddziały napadały na wsie i łupiły miejscową ludność, która składała się przecież wyłącznie z chrześcijan greckich.

Postępowanie krzyżowców było szokujące – nie tylko z dzisiejszego punktu widzenia, ale także w oczach współczesnych. A jednak w ślad za ludźmi Piotra Pustelnika szli następni i pustoszyli kraje, przez które wiodła ich trasa – Czechy, Węgry, Bułgaria i Bizancjum. Ich przejście znaczyły stosy trupów, ale rzadko mówiło się: wojna, częściej zaś: *iter hierosolymitanum* (szlak jerozolimski) lub *via Sancti Sepulcri* (droga Grobu Świętego).

Kiedy ludzie Piotra Pustelnika tak dzielnie poczynali sobie wśród braci wschodnich chrześcijan, Gotfryd z Bouillon, książę Dolnej Lotaryngii ogłosił krucjatę przeciw Żydom. To lud, który skazał Chrystusa na mękę – mówił. Żydzi są gorsi niż muzułmanie, bo gdy ci prześladowają wyznawców Chrystusa, to Żydzi prześladowali samego Chrystusa – dowodził. Gotfryd z Bouillon zanim, więc wyruszył do Palestyny, ślubował pomścić się krwawo za śmierć Chrystusa na Żydach. I nic, że gminy żydowskie z Moguncji i Kolonii ofiarowały mu po pięćset sztuk srebra – i tak spuścił ich członkom niezłe lanie, a rezultatem jego czynów i słów, którymi porwał innych, była śmierć około ośmiu tysięcy mieszkających na zachodzie Europy Żydów. W ślady Gotfryda z Bouillon poszedł m.in. hrabia Emich z Leisingen. Ma on na swych rękach krew dwunastu członków gminy żydowskiej w Spirze, którzy odmówili przejścia na chrześcijaństwo, a na sumieniu śmierć młodej Żydówki, która popełniła samobójstwo w obronie swego dziewictwa. Wymordował też około pięćuset Żydów w Wormacji, około tysiąca w Moguncji. W Kolonii spalił synagogę. W Trewirze wzbudził w Żydach taki popłoch, że uciekając, potonęli w nurtach Mozeli. Z kolei hrabia Volkamar wyprawił rzeź Żydom mieszkającym w Pradze, a Gotszalk, uczeń Piotra Pustelnika, wślawił się rzezią w Ratzbonie.

Tenże Gotszalk, gdy sformował już armie, ta przechodząc przez Węgry, bez opamiętania grabiła wsie, kradła wino, zboże, owoce i woły. A kiedy chłopci węgierscy stawili opór tym gwałtom, krzyżowcy wbili na pal kilkunastoletniego chłopca. Król węgierski, Koloman, sam wymierzył sprawiedliwość, skoro nie mógł się jej doczekać od rycerzy Chrystusa. Zmasakrował oddziały Gotszalka, tak, że nie został nikt przy życiu.

Pierwszej dużej krucjacie (1096-1099) przewodzili rycerze: baron Godfryd z Bouillon, hrabia Tuluzy Rajmund z St. Gilles oraz brat króla Francji, Hugo z Vermandois. Ich armie liczyły od sześćdziesięciu do stu tysięcy ludzi. Jednakże nic nie wskazywało, że Bóg sprzyja zamiarom krzyżowców i że to, co robią, jest mu naprawdę miłe. W oblężeniu Antiochii na przełomie roku 1097 i 1098, w obozie armii Boemunda zapanował straszny głód, a po bitwie, jaką stoczyli z obrońcami Antiochii, nastąpiło trzęsienie ziemi. Przez następne tygodnie padały znów nieustanne ulewne deszcze, zimno też coraz bardziej dawało się we znaki. Nikt już nie miał wątpliwości, że Bóg daje w ten sposób wyraz swej dezaprobacie dla postępowania wojowników, ponieważ zgrzeszyli pychą, zbytkiem i grabieżami. Biskup Ademar z Le Puy, namiestnik papieża, zarządził nawet trzy dni postu, ale w obliczu widma śmierci głodowej post ten nic nie znaczył. Co siódmy człowiek w obozie umierał z głodu. Rozpoczęła się też dezercja, uciekł m.in. sam Piotr Pustelnik. Wówczas Ademar zwrócił się z

apelem do zachodu o posiłki. Występował w imieniu patriarchy Jerozolimy – przypuszczalnie za jego zgodą. Język tego orędzia – jak pisze Steven Runciman – jest znamieny, ponieważ rzuca światło na politykę kościelną Ademara. Patriarcha zwraca się do wiernych na Zachodzie jako przywódca biskupów Wschodu, zarówno greckich jak i rzymskich. Używa tytułu „apostolski” i przyznaje sobie prawo do obłożenia klątwą każdego chrześcijanina, który złamie śluby krucjatowe.

W końcu, 3 czerwca 1098 roku, krzyżowcy zdobywają jednak Antiochię. Turcy giną w straszliwej rzezi, a obok nich wyrzyna się też wielu chrześcijan, którzy mieszkali w Antiochii. Nikt nie pyta, jaka wiarę wyznają mieszkańcy grodu.

Podobnie będzie w Jerozolimie, pod mury, której 7 czerwca 1099 roku podchodzi pierwsza krucjata. W oblężeniu Jerozolimy uczestniczyło tysiąc dwustu rycerzy i dwanaście tysięcy piechurów. Zaś w mieście, w którym znajdował się Grób Boży, żyło więcej chrześcijan niż muzułmanów. I to również oni stali się bezbronnymi ofiarami zwycięzców szturm z 13 na 14 lipca. Krzyżowcy, pijani zwycięstwem odniesionym po tylu udrękach, rozbiegli się po ulicach i wdzierając się do domów i meczetów zabijali każdego, kto wpadł im w ręce, nie wyłączając kobiet i dzieci. Kiedy Rajmund z Aguilers wszedł do meczetu Al-Aksa, musiał się przedzierać przez stosy trupów i brodzić we krwi, która sięgała mu do kolan. „Nie można było bez przerażenia patrzeć na tę masę zabitych, na te członki odrąbane, walające się wkoło, na te strugi krwi zalewające ziemię...” – pisał Wilhelm z Tyru. Rzeź trwała trzy dni. Krew spływająca w wąskich uliczkach sięgnęła, jak mówiono, aż do kolan, a w mieście nie ostał się żywy ani jeden muzułmanin, ani jedna muzułmanka kobieta i dziecko. Nie było też w Jerozolimie Żydów, bo schronili się wszyscy w jednej synagodze i w niej zostali spaleni żywcem.

Masakra w Jerozolimie odbiła się szerokim echem w całym świecie. Nikt nie wiedział, ilu ludzi zginęło. Nawet wśród wielu chrześcijan rzeź ta wywołała zgrozę, tym bardziej, że ten krwawy dowód jednego fanatyzmu religijnego zagrażał odrodzeniem fanatyzmu drugiej strony.

Rzeczywisty sprawca tej rzezi, papież Urban II, zmarł w Rzymie, 29 lipca 1099 roku, w dwa tygodnie po wkroczeniu wojowników do Świętego Miasta. Nie zdążył dowiedzieć się o tym „triumfie” Kościoła. Chrześcijańska Europa wiadomość o zdobyciu Jerozolimy przyjęła z entuzjazmem i radością. Wszyscy ówczesni kronikarze przerywali opisywanie miejscowych wydarzeń, aby odnotować ów dowód wspaniałej łaski Bożej. Uczestnikom pierwszej z siedmiu wielkich wypraw krzyżowych udało się bowiem zdobyć Jerozolimę, dokonać likwidacji jej mieszkańców i ustanowić w Palestynie królestwo łacińskie, którego zwierzchnikiem został papież..

We wrześniu 1100 roku ruszyła z Italii na Wschód krucjata Lombardczyków. Na jej czele stanął arcybiskup Mediolanu, Anzelm z Buis. Uczestniczyło w niej niewielu rycerzy, za to głównie pospólstwo, które zwerbowało w najuboższych dzielnicach miast lombardzkich. Brało też udział liczne duchowieństwo, mnóstwo kobiet i dzieci. Razem około dwanaście tysięcy według Alberta z Akwizgranu. Połączyli się z krucjatą francuska pod wodzą Stefana z Blois. Padła Hajfa. Znów większość muzułmanów i Żydów zginęła od mieczy krzyżowców.

W 1001 roku rozpoczęło się oblężenie Cezarei. Miasto zostało wzięte szturmem przez krzyżowców 17 maja. Zwycięskim rycerzom dowódcy pozwolili plądrować bez żadnych ograniczeń, doszło wszakże do aktów tak przerażających, że oburzyły one nawet wodzów wyprawy. Najstraszniejszej masakry dokonano w Wielkim Meczecie, dawnej synagodze Heroda Agrypy. W świątyni tej schroniło się wielu mieszkańców, którzy błagali o litość. Wycięto ich w pień, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, na posadzce utworzyło się jezioro krwi. W całym mieście uratowała się tylko garstka dziewcząt i dzieci, a także główny sędzia oraz dowódca garnizonu, których pierwszy król Jerozolimy Baldwin I, następca „obrońcy Grobu Bożego” Gotfryda de Bouillon, ocalił, licząc na otrzymanie dobrego okupu.

Okrucieństwo było wyrachowane. Baldwin chciał pokazać, że dotrzymuje słowa tym, którzy dochodzą z nim do porozumienia. W przeciwnym razie nikt nie może spodziewać się ani liczyć na najmniejszy gest litości.

Baldwin I ukrócił też zapędy patriarchy Jerozolimy Daimberta, który był zaciekłym wrogiem i dążył, by z kościoła Świętego Grobu, klasztorów i innych instytucji religijnych w Jerozolimie usunięto wszystkich chrześcijan autochtonicznych, nie tylko heretyków – jak Ormian, jakobinów i nestorianów – ale także członków Kościołów ortodoksyjnych, greckiego i gruzińskiego. Sprawujący w imieniu papieża władzę zwierzchnią nad Królestwem Jerozolimy patriarcha obraził też wschodnie poczucie obyczajowości wprowadzając kobiety do posług przy Świętym Grobie. Gdy za karę za te bezecne postęпки zdarzyło się, że w Wielką Sobotę 1001 roku w kościele Świętego Grobu zgasły jak zawsze wszystkie lampy i święty ogień nie zstąpił z niebios, aby je ponownie zapalić, póki nie zaproszono wypędzonych sekt do wspólnych modłów o przebaczenie dla Franków – Baldwin znak ów zrozumiał i wyciągnął wnioski. Zażądał od patriarchy Daimberta naprawienia krzywd wypędzonych chrześcijańskiej ludności autochtonicznej oraz rozkazał zwrócić grekom zabrane im klucze do bazyliki Świętego Grobu.

Drugą spośród wielkich siedmiu wypraw krzyżowych sprowokował upadek Edessy 1144 roku. Gdy Edessa padła król Jerozolimy wezwał na pomoc papieża. I 1 grudnia 1145 roku, Eugeniusz III (1145-1153) ogłosił bullę adresowaną do króla Francji Ludwika VII oraz wszystkich baronów i wiernych w jego królestwie, wzywając ich do ratowania chrześcijaństwa wschodniego, gwarantując w zamian bezpieczeństwo dóbr doczesnych oraz zupełne odpuszczenie grzechów. Szczególnym orędownikiem tej krucjaty został opat z Clairvaux, Bernard, późniejszy święty. Podobnie jak kiedyś papież Urban II, tak i on użył całego swego niepospolitego talentu oratorskiego, by przekonać uczestników zjazdu w Vezelay w marcu 1146 roku o konieczności wyprawy do Ziemi Świętej. I podobnie jak w Clermont przed ponad stu pięćdziesięciu laty, wszyscy słuchacze ulegli przemożnej sile słów agitatora. Ludzie zaczęli zewsząd wołać: „Krzyże, dajcie nam krzyże!”. Rychło zabrakło tkaniny, którą przygotowano na szycie krzyży mających zdobić szaty krzyżowców. Święty Bernard oddał, więc do pocięcia swój płaszcz.

Na czele drugiej wyprawy krzyżowej (1147-1149) stanęli wspólnie król Francji, Ludwik VII, i król Niemiec, Konrad III. Jak pisze brytyjski historyk, Norman Davies, krucjata ta wskórała niewiele poza tym, że flota angielska, przypadkiem, odebrała Maurom Lizbonę. Była to klęska, która okazała się punktem zwrotnym w dziejach Outremer. Podobnie jak upadek Edessy zakończył pierwszy etap odradzania się islamu, tak żalony finał wielkiej wyprawy, która miała przywrócić supremację Franków, potwierdził wzrost jego siły.

W 1187 roku Jerozolimę zdobywa sułtan Saladyn. Sułtan ów, o którym wizjoner Joachim da Fiore mówił, że podobnie jak Herod, Mahomet i Antychryst, uosabiał jedna z siedmiu głów bestii Apokalipsy – w rzeczywistości był nad podziw szlachetnym wojownikiem, którego cnót próżno by szukać wśród tych, którzy mienili się rycerzami Chrystusa.

Kiedy z broniącej się jeszcze przed jego oddziałami Jerozolimy przyszedł do Saladyna dowódca garnizonu, Balian, sułtan oświadczył mu, że poprzysiągł zdobyć Jerozolimę mieczem i że tylko bezwarunkowa kapitulacja może zwolnić go z tej przysięgi. Przypomniał Balianowi masakrę, jakiej dopuścili się chrześcijanie w tym mieście w 1099 roku. Dlaczego miałby postąpić inaczej? Balian ostrzegł wówczas, Saladyna, że jeżeli nie zgodzi się na honorowe warunki kapitulacji, doprowadzi do rozpaczliwej obrony obrócając całe miasto w perzynę, nie wyłączając świętych zabytków islamu, i wymordują wszystkich uwięzionych jeńców muzułmańskich. Saladyn znany był z wspaniałomyślności, zwłaszcza, gdy uznawano jego władzę. Zależało mu też na tym, by Jerozolima możliwie jak najmniej ucierpiała. Zgodził się, więc na ustalenie warunków kapitulacji. I tu raz jeszcze okazał się

wspaniałomyślny. Zamiast proponowanych z początku stawek: mężczyzna za dziesięć dinarów, kobieta za pięć, a dziecko za jednego dinara – wierząc, że w mieście przebywa około dwudziestu tysięcy chrześcijan, z czego większość to ludzie ubodzy, których nie stać na zapłacenie takiego okupu – zgodził się za kwotę stu tysięcy dinarów uwolnić wszystkich. Jednak Balian wiedział, że nie zdoła zebrać i takiej kwoty. Uzgodniono, więc, że za trzydzieści tysięcy dinarów zostanie uwolnionych siedem tysięcy mieszkańców. Na rozkaz, Baliana garnizon złożył broń i w piątek, 2 października, Saladyn wkroczył do Jerozolimy. Był to 27 dzień miesiąca Radżaba, rocznica dnia, kiedy prorok odwiedził we śnie Jerozolimę i został stamtąd przeniesiony do nieba.

Arabscy zwycięzcy zachowywali się przyzwoicie i po ludzku. O ile przed osiemdziesięciu laty Frankowie brodzili we krwi swych ofiar, muzułmanie nie plądrowali ani nikomu nie uczynili krzywdy.

Za to ci, co mienili się wyznawcami Chrystusa, który głosił błogosławieństwo ubogim, okazali teraz swe prawdziwe oblicze. Wprawdzie Balian opróżnił całkowicie skarbiec królewski, ale niełatwo przyszło mu skłonić szpitalników i templariuszy do wyrzeczenia się zgromadzonych przez nich bogactw, zaś zachowanie się patriarchy Jerozolimy i jego kapituły zasługuje na specjalną uwagę.

Patriarcha ów wywołał wręcz prawdziwe zgorszenie u Arabów. Wprawdzie zapłacił za siebie dziesięć dinarów, ale opuścił miasto, uginając się pod ciężarem złota, ze sznurem wozów wyładowanych dywanami i zastawą stołową. Jak pisze Steven Runciman, dzięki resztkom donacji cesarza Henryka II uzyskała wolność siedem tysięcy ludzi, ale gdyby zakony rycerskie i Kościoły okazały się mniej skąpe, można byłoby oszczędzić niewoli jeszcze wielu tysiącom.

Papież Urban III (1185-1187) na wieść o tym 20 października 1187 umiera ze zgrzyoty. Następca jego, Grzegorz VIII (1187), natychmiast wysłał do wszystkich wiernych list okólny, w którym w tonie wielkiej powagi przedstawił historie utraty Ziemi Świętej i Świętego Krzyża. Przypomniawszy, że już upadek Edessy przed czterdziestu laty powinien być stanowić dla chrześcijan sygnał ostrzegawczy. W obecnej sytuacji trzeba się, więc zdobyć na najwyższe poświęcenia. Wszystkim krzyżowcom obiecał odpust zupełny. Zarządził też przestrzeganie ścisłego postu w każdy piątek przez następne pięć lat i powstrzymanie się od spożywania mięsa w środy i soboty. Krewni papieża i kardynałów mieli obowiązek przestrzegania postu także w poniedziałki. Zmarł w grudniu tego samego roku.

Trzecia wyprawa (1189-1192), do której papież nawoływał, zorganizowana została przez cesarza Fryderyka Barbarosę, króla Francji, Filipa Augusta, i króla Anglii, Ryszarda Lwie Serce, i miała na celu odbicie Jerozolimy. Niestety, zamierzonego celu nie udało się osiągnąć.

Czwarta krucjata (1202-1204) natomiast potoczyła się odmiennym, niż to zamierzono torem. Jak pisze Norman Davies, krzyżowcom udało się wprawdzie zdobyć Konstantynopol, dokonać masakry jego mieszkańców i ustanowić cesarstwo łacińskie w Bizancjum, nie było to wszakże ich planowanym celem.

Zdaniem brytyjskiego historyka, ów podwójny podbój Konstantynopola w latach 1203-1204 jest doskonałą ilustracją wątpliwych cnót krzyżowców. Armia czwartej krucjaty, która się zebrała w Wenecji, szybko padła ofiarą wspólnych planów starzejącego się doży Enrico Dandoli i ożenionego z Ireną Bizantyjską króla Niemiec, Filipa Szwabskiego. Doża dostrzegł w Lewancie szansę na wzbogacenie republiki weneckiej; król zaś – na ponowne osadzenie na tronie Bizancjum swojego przebywającego na wygnaniu siostrzeńca. Krzyżowcy w zamian za wynajęcie im floty, musieli się, więc zgodzić na podział łupów z Wenecjanami oraz na udzielenie poparcia planom restauracji Aleksego IV. Dodatkową gwarancją zapłaty za wynajem okrętów miało być też zdobycie w Dalmacji węgierskiego portu Zara.

W lipcu 1203 roku krzyżowcy bez przeszkód przepłynęli Dardanele i przypuścili szturm na mury miasta. Jednakże rewolucja pałacowa, podczas której Aleksy IV został uduszony, sprzątnęła im zwycięstwo sprzed nosa i w kwietniu musieli zacząć wszystko od początku. Tym razem miasto Konstantyna zostało gruntownie splądrowane, kościoły złupione, mieszkańcy wyrżnięci, ikony potrzaskane.

Barbarzyństwo krzyżowców wobec Bizantyjczyków przeszło – jak pisze Steven Runciman - wszelkie wyobrażenia. Od dziewięciu stuleci to wielkie miasto było stolicą cywilizacji chrześcijańskiej. Przetrwało w nim mnóstwo pomników starożytnej sztuki greckiej, wszędzie też spotykało się arcydzieła znakomitych rzemieślników bizantyjskich. Wenecjanie znali się na wartości tych dzieł, więc korzystali z każdej możliwości grabieży bezcennych skarbów, które wywozili do siebie, by zdobić nimi tamtejsze pałace i świątynie.

Natomiast Francuzów i Flamandów ogarnął szal niszczenia. Rozpasany motłoch rozbiegł się po ulicach, rabując wszystko, co błyszczało, a niszcząc to, czego nie można było zabrać. Zatrzymywano się zaś tylko po to, by mordować, gwałcić lub włamywać się do piwnic z winem. Nie oszczędzono ani klasztorów, ani kościołów, ani bibliotek. W kościele Bożej Mądrości pijani żołnierze zdierali jedwabne zasłony, rozbili w proch srebrny ikonostas, deptali po świętych księgach i ikonach. W klasztorach gwałcono zakonnice. Ów rozlew krwi i grabież trwały trzy dni, aż w końcu piękne miasto obrócono w kompletną ruinę. Nawet Saraceni okazaliby więcej miłosierdzia – wołał z rozpaczą historyk Nicetas – i miał rację. Odtąd w pamięci chrześcijan wschodnich utrwaliło się barbarzyństwo łacinników. Nigdy też im go nie wybaczyli. Schizma w oczach wschodnich chrześcijan była już zupełna, nieodwracalna i ostateczna.

Cóż? Rycerzy Chrystusa oślepiła chciwość. Zgodnie z podpisanym traktatem: trzy ósme zdobyczy dostało się krzyżowcom, trzy ósme Wenecjanom, a jedną czwartą zachowano dla przyszłego cesarza, którym został Baldwin IX, hrabia Flandrii i Hainaut. Legat papieski, Piotr z Saint-Marcel, wydał dekret zwalniający wszystkich, którzy składali śluby krzyżowe, od dalszej drogi do Ziemi Świętej. Tak to krucjata przeistoczyła się w wyprawę, której jedynym celem stało się zdobycie ziem chrześcijańskich.

W ocenie historyków, czwarta krucjata była największą w dziejach zbrodnią przeciwko ludzkości. Doprowadziła do zniszczenia lub rozproszenia bezcennych skarbów przeszłości, gromadzonych w Bizancjum z tak wielkim pietyzmem, i zadała tym samym śmiertelny cios kulturze i cywilizacji. Efektem tej krucjaty stała się też narastająca odtąd stała wrogość między wschodnim a zachodnim chrześcijaństwem. Dokonane – w imię Chrystusa – zniszczenia kultury bizantyjskiej stało się największą tragedią średniowiecza.

Czwarta krucjata okazała się też olbrzymim błędem politycznym, gdyż zniszczyła system obronny chrześcijaństwa. Cesarstwo Bizantyjskie, bowiem stało na straży Europy i chroniło ją od ataków niewiernych ze Wschodu i barbarzyńców z północy. Broniło nie tylko swoim orężem, ale i wychowywało swoją kulturą. Teraz zostało tak osłabione, że już nigdy nie wyleczy się z ran, które zadali mu bracia w wierze. W następstwie tej krucjaty również droga lądowa z Europy do Syrii stała się bardzo niebezpieczna, a podróż morzem – trudniejsza.

Tymczasem wiarołomnych krzyżowców, w kwietniu 1205 roku, w bitwie pod Adrianopolem roznieśli w perzynę Bułgarzy.

Krucjata piąta (1218-1221), szósta (1248-1254) i siódma (1270) zakończyły się w Egipcie i Tunisie, gdzie w wyniku zarazy zmarł król Francji Ludwik Święty. Efektem ekspedycji morskich krzyżowców były dewastacje śródziemnomorskich portów. Co prawda 17 marca 1229 roku cesarz niemiecki Fryderyk II Hohenstauf wjechał do Jerozolimy i miasto, o które próżno wojował Ryszard Lwie Serce, znów wróciło w chrześcijańskie ręce. Ale Fryderyk nie zdobył go mieczem. Wynegocjował je od potomka Saladyna, kalifa Al.-Kammila z Kairu, z którym od lat prowadził przyjacielską korespondencję na temat logiki

Arystotelesa i nieśmiertelności duszy. Zresztą rychło, bo w 1244 roku, Jerozolima zostanie ponownie zajęta przez Turków i Królestwo Jerozolimy stolicę swą będzie zmuszone przenieść do Akki, która ostatecznie padnie w 1291 roku jako ostatni bastion chrześcijaństwa w Ziemi Świętej.

By dopełnić obrazu zbrodni, jaka wyrządziły krucjaty światu, trzeba jeszcze powiedzieć o udziale w nich zastępów biedoty. Dla szarych ludzi Jerozolima była uosobieniem wizji Odkupienia, miastem, do którego wzywał ich Chrystus. Nic, więc dziwnego, że w maju 1212 roku zjawił się w Saint-Denis, gdzie król francuski Filip odprawiał sądy, pewien pastuszek w wieku około dwunastu lat, imieniem Stefan, pochodzący z miasteczka Cloyes w Orleanii. Chłopiec przyniósł do króla list, który – jak powiedział – wręczył mu osobiście Jezus Chrystus. Jezus objawił mu się, gdy pasł owce, i rozkazał pójść i głosić krucjatę. Król Filip potraktował chłopca chłodno. Ten jednak uznał się za przywódcę natchnionego przez Boga i uwierzył, że naprawi błędy starszych.

Zaczął wygłaszać kazania przy wejściu do opactwa Saind-Denis, zapowiadając, że wyruszy na ratunek chrześcijaństwa na czele gromady dzieci. Morza będą przed nimi wysychać i tak jak uczynił to niegdyś Mojżesz przez Morze Czerwone, przeprawią się przez nie do Ziemi Świętej. W jego wizje uwierzyło około trzydziestu tysięcy dzieci, wszyscy poniżej dwunastu lat. Nie powstrzymało ich zapędu nawet to, że wbrew zapowiedziom Stefana morze w Marsylii nie chciało się rozstać. Wyruszyli, więc do Palestyny statkami.

Dzieci w Niemczech także nie chciały być gorsze. Tu znalazł się przywódca imieniem Mikołaj, który przed relikwiarzem Trzech Króli w Kolonii zaczął nawoływać do krucjaty. Dwadzieścia tysięcy dzieci odpowiedziało na jego apel. Tylko jedna trzecia dotarła bezpiecznie pod jego wodzą do Genui, potem do Pizy – ale i tutaj nigdzie morze nie chciało się rozstać. Garstka dwoma statkami odplynęła do Palestyny, reszta dotarła do Rzymu, do papieża Innocentego III (1198-1216), który na szczęście kazał im wracać do domu, mówiąc, że dopiero, kiedy dorosną, dopełnią ślubów i pójdą walczyć za Krzyż.

Druuga kompania niemieckich dzieci powędrowała do Ankony, potem do Brindisi. Niewielkiej ich liczbie udało się dostać na statek do Palestyny. Podobnie jak mali Francuzi pod wodzą Stefana, także mali Niemcy pod wodzą Mikołaja, gdy znaleźli się na morzu, padli ofiarą piratów lub przez właścicieli okrętów zostali sprzedani w niewolę.

Koszty krucjat w kategoriach straconego życia i zmarnowanego wysiłku były nieobliczalne. Ich wydźwięk – moralnie wątpliwy, straty – niepowetowane. I ponad dwieście lat chybionych w celu wypraw krzyżowych nie nauczyło rycerzy Chrystusa nawet ani krzty humanitaryzmu. Dali temu dowód w Aleksandrii w 1365 roku. Doszło tam do rzezi, którą – jak pisze Steven Runciman – można przyrównać tylko do masakry w Jerozolimie w 1099 roku czy w Konstantynopolu w 1204 roku. Ani w Antiochii, ani w Akce muzułmanie nie dopuszczali się do tak wielkich aktów okrucieństwa. Tu nie szczędzono nikogo. Nie mniejsze piekło niż muzułmanie przeszli aleksandryjscy chrześcijanie i żydzi. Splądrowano również warsztaty i magazyny należące do kupców europejskich. Krzyżowcy grabili meczety i grobowce, rabując lub niszcząc wszystkie ich ozdoby, nie pomijając również kościołów. I tylko pewna bogata, ułomna Koptyjka zdołała uratować część drogocennych przedmiotów należących do jej gminy, oddając w zamian cały swój majątek. Wdzierano się do domostw, a mieszkańców, którzy nie oddali natychmiast swego mienia, zabijano na miejscu całymi rodzinami. Około pięciu tysięcy jeńców – zarówno chrześcijan, jak i żydów, i muzułmanów – przeznaczono na sprzedaż w niewolę. W mieście panował odór ludzkich trupów i zwierzęcego ściernia. Masakra w Aleksandrii raz jeszcze okazała prawdziwy finał wypraw krzyżowych, które stawiały sobie za cel odzyskanie Ziemi Świętej.

Historycy w ocenie krucjat i popełnionych w imię Chrystusa zbrodni są zgodni. Życie i trud milionów ludzi, których pochowano na Wschodzie można było z większym pożytkiem wykorzystać do naprawy ich rodzinnego kraju – mówił Gibbon. „Prawdę mówiąc, jedynym

owocem, jaki chrześcijanom na trwałe przyniosły wyprawy krzyżowe, była morela” – pisał Jacques Le Goff. Wszystkie wyprawy krzyżowe znaczyły swój szlak okropnościami, które trudno sobie wyobrazić nawet tym, którzy przeżyli masakry i mordy XX stulecia.

Celem organizowanych krucjat było ocalenie chrześcijaństwa przed muzułmanami. Czyż nie jest ironią losu, że kiedy nastąpił koniec wypraw krzyżowych, całe chrześcijaństwo wschodnie znalazło się pod panowaniem muzułmańskim? BY zobrazować efekt i głupotę polityczną tych wypraw, dość powiedzieć, że w chwili, kiedy papież Urban II wygłaszał swoje wielkie kazanie w Clermont, Turcy zbliżali się do Bosforu, natomiast, kiedy papież Pius II (1458-1464) wzywał do ostatniej krucjaty, Turcy przekraczali już Dunaj.

Z perspektywy historycznej uznać trzeba, że krucjaty zakończyły się fiaskiem. A przecież nie było w Europie kraju, który by nie wysłał swoich żołnierzy do walki za wiarę na Wschodzie.

Krucjaty początkowo wzmocniły autorytet i władzę papieżstwa. Kiedy – jak pisze Steven Runciman – starożytne patriarchaty w Antiochii, Jerozolimie i Konstantynopolu dostawały się kolejno pod zwierzchnictwo Rzymu, wydawało się, że roszczenia papieża do sprawowania najwyższej władzy w chrześcijaństwie stawały się w pełni uzasadnione. Gdyby papież poprzestali na korzyściach natury kościelnej, mieliby wszelkie powody do winszowania sobie sukcesu. Jednakże Europa nie dojrzała jeszcze do rozdziału strefy kościelnej od świeckiej, a w sferze świeckiej papież przeliczyli się ze swoimi siłami. Krucjata budziła szacunek, gdy była skierowana przeciw niewiernym. Po krucjacie czwartej, wymierzonej – wprawdzie nie z kazalnicy – przeciwko chrześcijanom wschodnim, zorganizowano następną przeciwko heretykom w południowej Francji i przychylnym im nobilom, po niej zaś ogłoszono kolejną przeciw Hohnestaufom, aż w końcu krucjatą nazywano każdą wojnę wypowiedzianą wrogom polityki Stolicy Apostolskiej, która dla realizacji swych świeckich ambicji posługiwała się całym arsenałem odpustów i nagród z innego świata. Triumf papieża, zarówno nad cesarzami Wschodu jak i Zachodu, doprowadził papieżstwo do upokarzającej wojny sycylijskiej i niewoli awiniońskiej. Święta wojna zamieniła się w tragifarsę.

Historycy nie mają wątpliwości, że papieżom bardziej zależało na podporządkowaniu opornych greków własnej jurysdykcji kościelnej, niż na oswobodzeniu Jerozolimy. I dlatego właśnie krucjaty przeistoczyły się w ruch, którego celem było narzucenie supremacji Kościoła rzymskiego, a nie obrona chrześcijaństwa.

Czas krucjat wykazał, jak można było skalać najwyższe ideały okrucieństwem i chciwością, a ludzka energię i wytrwałość zniweczyć ślepa, ciasną obłudą. Święta wojna prowadzona w imię Boga, okazała się pasmem nietolerancji, zakończyła zaś ruiną krajów Bliskiego Wschodu i Bizancjum. Upadły kwitnące miasta, żyzne dotąd pola i winnice obrócone zostały w pustynię. I pustynia ta w wielu miejscach pozostała do dziś.

Czy za to wystarczy słowo: „Przepraszamy”?

Tak zwani heretycy

Od początku istnienia, a ściślej od czasu pierwszych synodów, Kościół rzymski przypisywał sobie prawo osądzania i potępienia tego, co uważał za herezję lub schizmy. Herezją zwykło się przy tym nazywać poglądy grupy chrześcijan, które odstępowały od ortodoksji ustalonej przez zwierzchność kościelną. Natomiast schizma (z greckiego) oznaczała rozłam. Dla Kościoła rzymskokatolickiego schizma było każde wyznanie chrześcijańskie, które odrzucało zwierzchnictwo Rzymu. Sam fakt odrzucenia supremacji

rzymskiej uznaje się za heretycki, jako sprzeczny z doktryną katolicką. I choć między schizmą a herezją istnieje różnica, jednak w oglądzie z zewnątrz i tak zwanej praktyce życia pojęcia te trudno wyodrębnić czy od siebie rozdzielić. Każda, bowiem doktryna odstępująca choćby częściowo od oficjalnej uznawana była za herezję. Dzisiaj wprawdzie nikt już nie staje przed sądem św. Inkwizycji, tym niemniej wyznawcy innych konfesji nadal uważani są za „zbląkane owieczki”.

U progu trzeciego tysiąclecia chrześcijanie nie chcą się już w imię Chrystusa wzajemnie zabijać, wojny religijne – przynajmniej na zachodzie – nie cieszą się popularnością, tendencja do jednoczenia się wszystkich chrześcijan przybrała szlachetną nazwę ekumenizmu. Nie znaczy to jednak, by na drodze „zbląkanych owieczek” nie pojawiały się kłody.

Założeniem tego rozdziału, podobnie jak i poprzednich, nie jest prowokacja czy obraza Czytelników ani chęć osłabienia ich wiary. Nie naruszamy też fundamentów Kościoła. Obalamy tylko pewne mity w imię prawdy, którą chcemy przedstawić lub przypomnieć. Bowiem tak w przeszłości, jak i dzisiaj, znajdziemy świętych i zbrodniarzy, ludzi mądrych i groźnych szaleńców, którzy w imię prawdy, nazywanej miłością lub ideą, realizowali tylko swoje indywidualne, często wręcz paranoiczne cele, żądając od ludzi ofiar i poświęcenia. Posługiwano się przy tym od lat podobnymi a nawet jednakowymi metodami. Nie ma, więc racji bytu pogląd, że systemy państwowe, stworzone do eksterminacji narodów, są wymysłem współczesności.

Można było pokusić się o tezę, że czy to w latach hitleryzmu, stalinizmu, czy w czasie eksterminacji Indian posługiwano się tymi samymi metodami, jak na przykład w okresie działalności inkwizycji. Zwalczano wszystkich, którzy ośmielali się mieć inne zdanie lub wątpić w oficjalnie głoszoną i obowiązującą ideę.

Męczeństwo było i jest w Kościele rzymskokatolickim aktem wiary. Kościół przez całe wieki żądał od swych wiernych ofiar. One miały być dowodem prawdziwej wiary, bez względu na formę i postać, jaka przybierały.

Tropiąc herezję, odkrywamy mechanizmy działań, poznajemy ich pokrętną logikę, być może w rozumieniu Kościoła błuźnymi, ale przyczyniamy się też do tego, by oddzielić ziarno od plew, by w doktrynie Kościoła odnaleźć to, co jest autentycznym dobrem i prawdziwą pobożnością. Czasy się wprawdzie zmieniły, ale Kościół katolicki nadal pozostał wierny swojej doktrynie i dogmatom, nie wycofał się dotąd z żadnego ze swoich wcześniejszych wyroków i potępień dotyczących herezji. Można heretyka starać się zrozumieć, nawet wybaczyć mu, ale nie znaczy to, że herezja mogłaby być akceptowana. Na tym polega ciągłość tradycji Kościoła rzymskiego – niczego nie odwołano, choć zmieniono ton wypowiedzi. Można byłoby się z tym zgodzić czy przyjąć w pokorze, jako przeszłość historyczną, jako okres „błędów i wypaczeń”, gdyby nie pamięć o płonących stosach i zeznaniach wymuszanych przez trybunał św. Inkwizycji.

Dzisiaj brak jakiegokolwiek uzasadnienia, by poglądy heretyków uważać za zbrodnie, karać ich za nie torturami i śmiercią. A jednak w średniowieczu Kościół rzymskokatolicki opanował istny szal nienawiści do heretyków. Wypowiedziano im krwawą wojnę, podczas której zginęły ich tysiące. To tylko jeden z przypadków w historii, gdy żarliwa i ślepa wiara występując w obronie cnoty i prawdy, ginęła w mordach i krwi. Kościół stawał się coraz bardziej bogaty i chciwy, mnisi i dostojnicy kościelni lubieżni i okrutni, a nadto także skorumpowani. Coraz trudniej było znaleźć wśród duchownych ludzi przestrzegających głoszonych przez Kościół zasad miłosierdzia, ubóstwa, czystości. Papieże dążyli do niepodzielnego panowania nad światem chrześcijańskim. I tylko kwestią czasu stało się, kiedy ich racje zaczęto poddawać w wątpliwość.

Przyjrzyjmy się niektórym faktom.

Mani (Manes) urodził się około 215 roku w Mezopotamii. Jego uczniowie twierdzili, że był Persem pochodzącym z królewskiego rodu. Był uczonym – astrologiem i matematykiem, a także lekarzem i malarzem. Niektórzy historycy twierdzą, że był początkowo kapłanem chrześcijańskim, broniącym swojej religii przeciwko żydom i magom. Potem zaczął głosić własną doktrynę, za co został wykluczony ze wspólnoty chrześcijańskiej. Podróżował po Azji Centralnej, Indiach i Chinach. W końcu wrócił do Persji i żył na dworze króla Szapura I. Kiedy władca zagroził mu śmiercią, prorok zbiegł. Wrócił do Persji, gdy na tron wstąpił jego protektor Hormizdos I. Gdy ten jednak zmarł i na tron wstąpił król Bakram I, Mani został uwięziony i skazany na śmierć. W 277 roku został ukrzyżowany, obdarty ze skóry, a potem rozplątany na dwie symboliczne części. Ówczesni chrześcijańscy historycy podają, że Mani został uwięziony, ponieważ nie zdołał wyleczyć syna Szapura I.

Manicheizm całkowicie odrzucał Stary Testament, jako niegodny Boga, a z Nowego Testamentu przyjmował tylko to, co zgadzało się z jego doktryną. Manichejczycy odrzucali Dzieje Apostolskie, Drugi List św. Jana, a także jego Apokalipsę. Doktryna manichejska była dualistyczna. Zgodnie z nią rządami nad światem podzieliły się dwie równorzędne i obdarzone równą siłą pierwiastki: Zła (Ciemność) i Dobra (Jasność). Jeden jest duchowy, drugi – materialny. Ciemność chciała wciągnąć Jasność, czyli wartości duchowe miałyby być wchłonięte przez materię. Niebiańskim królestwem Jasności włada dobry Bóg – Ojciec. W jego sąsiedztwie znajduje się królestwo Ciemności, którego panem jest Książę Ciemności. Bogu Zła podlegają demony. Ten wrogi Świat Zła nie został stworzony przez dobrego Boga. Swą złą substancję uzyskał sam z siebie i trwa w wiecznej opozycji do Królestwa Światłości. Stworzenie ziemskiego świata jest rezultatem bezustannej walki obu tych królestw.

Manichejczycy wierzyli, że człowiek posiada dwie dusze: „pneumatyczną” i hyliczną. Jedna jest przeciwieństwem drugiej, a do pojednania dochodzą tworząc trzecią duszę psychiczną. Dotyczy to zwykłych ludzi. Chrystus uniknął dualizmu duch – materia. Jezus był jednym z „wysłańców”, którzy poprzedzili Manesa. Zadaniem owych „wysłańców” było przyjscie z pomocą duszom w uwolnieniu się z więzów materii.

Manicheizm był wyznaniem prześladowanym od samego początku, jego wyznawców poddawano torturom, pozbawiano majątków. Oficjalnie zostali wypędzeni z Cesarstwa Rzymskiego między rokiem 285 a 499. Śmiercią męczeńską zginęło około stu tysięcy manichejczyków. Spadkobiercami doktryny stali się bogomiłowie i katarowie.

Bogomiłowie byli heretykami bałkańskimi wywodzącymi się z terenów dzisiejszej Bułgarii. Pojawili się w początkach X wieku i z czasem rozszerzyli swoje wpływy. Za panowania cesarza Aleksego I Komnena doszło do prześladowań. Wtedy zginął na stosie jeden z ich przywódców – Bazyli. Bogomiłowie nie uznawali Starego Testamentu ani sakramentu eucharystii i ofiary składanej podczas mszy. Twierdzili, że jedyną prawdziwą eucharystią jest niedzielne kazanie, stanowiące całą ich modlitwę. Nie wierzyli w fizyczne zmartwychwstanie ciał, a jedynie w zmartwychwstanie duchowe. Byli przeciwni małżeństwu i prokreacji.

Katarowie wywodzą się z nurtu manicheizmu. Ruch ten przez całe pierwsze tysiąclecie wzbudzał nienawiść i wręcz przerażenie Kościoła. Nie szczędzono tych uczuć jego wyznawcom, którzy pojawili się w początkach XI wieku nazywając się katarami, czyli czystymi. Władze kościelne zaczęły ich tępić już sto lat później, a zdziesiątkowani zostali w 1244 roku. Kataryzm nie był doktryną sekretną. Głoszono ją otwarcie, a nauczania podejmował się każdy „wierzący”, który dostąpił tytułu „doskonałego”. Później ze względu na bezpieczeństwo i strach przed inkwizycją naukę szerzono bardziej dyskretnie. Dzieła katarów rozpowszechniono w Langwedocji, a także w innych regionach, gdzie sekta czuła się silna. Bezpośrednich śladów doktryny ocalało niewiele, jako że księgi katarskie były palone przez inkwizytorów. Szczątki wiedzy o ruchu czerpiemy z akt procesów inkwizycyjnych oraz ocalałych dwóch ksiąg oddanych do dyspozycji ówczesnych sędziów.

Nauka katarów opierała się na manichejskiej teorii dwóch pierwiastków: Dobra i Zła, Światła i Ciemności, Ducha i Materii. Katarowie odrzucali ideę czyścica. Zbawienie i odkupienie według nich dokonywało się poprzez metempsychozę (wędrówkę dusz). Odrzucali także wieczne piekło, ponieważ wieczny jest tylko Bóg. Nie uznawali Starego Testamentu, ponieważ ich zdaniem relacjonował on czyny Szatana, będącego demiurgiem i władcą tego świata. Jezus był dla nich najwyższym postawionym z „dzieci Bożych”. Bóg go wybrał i uczynił swoim Synem, aby zstąpił na ziemię i głosił chwałę Ojca.

Kościół katarów składał się z dwóch klas: z „doskonałych” albo „czystych” i z „wierzących”. „Doskonali stanowili elitę, oni też pełnili funkcje liturgiczne. Najważniejszym rytuałem był sakrament inicjacji. Następował po długim okresie przygotowawczym, po którym „wierzący” stawali się „doskonałym”, jego upadła dusza odzyskiwała stan łaski, a on sam odtąd czekał już tylko na śmierć, aby zająć miejsce w Królestwie Światłości.

Katarowie praktykowali endurę. Po inicjacji rezygnowali z niedoskonałego i złego świata ziemskiego, pragnąc wyzwolenia przez śmierć. Aby ją przyspieszyć, wyrzekali się pożywienia, pijąc tylko niewielkie ilości wody, aż do wyzwolenia cielesnego. Katarowie wiedli wzorowe życie, przez co tym bardziej odróżniali się od wierzących katolików. Nie byli złodziejami, pijakami ani rozpustnikami, jak wielu ówczesnych duchownych i mnichów. Nie składali przysięg, nie jedli mięsa, aby ich dusza podczas wędrówki nie znalazła się w ciele zwierzęcia. Stosunki seksualne utrzymywali tylko „wierzący”, „doskonałym” były one zabronione, ponieważ prokreacja przedłużała gatunek, a więc i czas uwięzienia w materialnym ciele.

Rozrastająca się w Europie w XI wieku sekta katarów znalazła wielu zwolenników we francuskim mieście Albi. Jej członkowie stali się znani pod nazwą albigensów. Wierzyli oni, że świat materialny jest w całości zły. Dusza ludzka jest jednak dobra i dostąpi zjednoczenia z Bogiem. Skromność i ubóstwo uważano za cnoty, natomiast bogactwo i wojny – za zło. Odrzucali sakramenty, dogmat o zmartwychwstaniu i Trójcy Świętej oraz organizację kościelną. Nie akceptowali pompacyjnych obrzędów rzymskokatolickiego Kościoła i kwestionowali jego prawo do religijnych rządów. Nauka ich została potępiona na synodzie w Tours w roku 1163 i na trzecim soborze laterańskim w 1179 roku.

W roku 1147 kaznodzieja Bernard de Clairvaux, odbywając podróż wizytacyjną po południowej Francji, znalazł kościoły świecące pustkami. W oczach Rzymu szerząca się w Europie nowa religia rozprzestrzeniała się gwałtownie jak zaraza. Konsternacja Kościoła była tym większa, że Albi w Langwedocji było miastem zamożnym i gdyby jego mieszkańcy odwrócili się od Rzymu odbiłoby się to na papieskiej szkatule.

W 1207 roku zamordowany został Pierre de Castlenau, legat papieża Innocentego III. Rzym podał do publicznej wiadomości, że podejrzany o zbrodnie jest Raymond, hrabia Tuluzy, rządzący w sercu regionu opanowanego przez albigensów. Było to równoznaczne z wezwaniem chrześcijańskiego rycerstwa do walki z odszczepieńcami. Nadzieja łupów, jakie można było zdobyć, stanowiła dodatkową zachętę.

W 1209 roku papież Innocenty III skierował przeciwko nim krucjatę pod wodzą Simona de Montfort. Doszło do masakry w Béziers. Fałszywie oskarżony Reymond chcąc ocalić swój lud, sam oddał się w ręce zwolenników Rzymu. Torturowano go i stracono bez sądu, co wywołało gniew króla Francji. Krucjatę wstrzymano. Chciwi rycerze i fanatyczni mnisi nie dali za wygraną. W wyniku ich interwencji u papieża w 1214 roku ogłoszono następną wyprawę i rzezie kontynuowano. Heretyków wieszano, kobiety i dzieci kamienowano i wrzucano do studni. Przeor z Citeaux, Arnold Amalric, zapytany przez wodzów krucjaty, jak odróżnić heretyka od katolika powiedział: „Zabijajcie wszystkich, Bóg swoich rozpozna”. W Bézies zginęło ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Krwawe prześladowania tylko wzmocniły wiarę i poczucie wspólnoty heretyków.

Tragedia w Béziers stanowiła preludium, wojna zakończyła się, bowiem dopiero w 1244 roku. W 1222 roku, w kilka lat po śmierci Innocentego III, Amalric z Montfort, syn Simona, zaofiarował władcy Francji podboje swego ojca. Francja włączyła wtedy Ludwik Święty. Jego matka, Blanka Kastylijska, była fanatyczną katoliczką o zdolnościach politycznych. Nakłoniła, więc syna, by skończył z rewoltą na południu. Krucjata stanowiła pretekst do zademonstrowania siły królewskiej. Walki zaczęły się od nowa. Szalała też inkwizycja powierzona dominikanom. Heretycy schronili się za murami fortecy Montsegur, którą obległy wojska katolickie. Ci heretycy, którzy nie chcieli się oddać w ręce prześladowców, dobrowolnie – ze śpiewem na ustach – wstąpili na stos. Było to właściwie zbiorowe samobójstwo obrońców miasta. W ten sposób praktycznie zakończyła się wojna z albigensami.

Waldensi – to heretycy z XII wieku, których kalwini uważają za swoich prekursorów. Sektę waldensów założył około 1170 roku bogaty kupiec z Lyonu, Piotr Valdo (Waldens). Nagła śmierć przyjaciela była dla niego takim wstrząsem, że postanowił rozdać majątek biednym i wrócić do prostego życia Jezusa i apostołów. Waldens znalazł zwolenników i naśladowców, których nazwano „waldensami” – „ubogimi z Lyonu”. Dopóki waldensi żyli tylko w ubóstwie, nie uważano ich za heretyków. Bez biskupiego pozwolenia zaczęli jednak głosić Ewangelię. Biskupi zabronili im kaznodziejstwa, a w 1184 roku papież, Lucjusz III, potwierdził wyrok biskupów lionskich i ekskomunikował Waldensa. Zostali również wyklęci jako heretycy przez Innocentego III na soborze laterańskim w 1215 roku.

Waldensi nie pogodzili się z decyzją papieża. Wystąpili z Kościoła uznając, że służbę bożą mogą sprawować tylko żyjący w pobożności. Ich zdaniem duchowieństwo nie miało takich praw, odkąd weszło w posiadanie dóbr doczesnych. Waldensi odłączyli się od Rzymu, ponieważ w swej działalności opierali się wyłącznie na Biblii, odrzucając nauki papieża.

Waldensi odrzucali ortodoksyjną naukę o sakramentach i wszelki kult. Zabraniali składania przysięg, uczestniczenia w wojnach, posiadania ziemi. Rozrastanie się sekty wzbudzało coraz większy sprzeciw duchowieństwa. Aby więc swobodnie głosić swoją wiarę i żyć wedle swoich reguł, mnóstwo waldensów schroniło się w dolinach Delfinatu i Piemontu. Być może pozwolono im żyć spokojnie, gdyby nie postanowili wspomóc albigensów.

Część wyznawców wywędrowała na teren dzisiejszej Szwajcarii. W 1487 roku zorganizowano przeciwko nim wyprawę, która nie pokonała ich całkowicie, ale zadała poważne straty. W dobie reformacji waldensi nabrali przekonania, że dzięki niej przetrwają. Zawarli przymierze z kalwinami. Nie skończyły się jednak prześladowania. W 1545 roku spalono dwie wsie zamieszkałe przez waldensów, a ludność, także kobiety i dzieci, zdziesiątkowano. W XVII wieku wysłano przeciwko nim wojska francuskie. Wówczas wywołało to sprzeciw monarchii protestanckich. Do dzisiaj w Piemoncie, Sabaudii i kantonach szwajcarskich istnieją zgromadzenia waldensów przyłączone do Kościoła reformowanego.

Dziwny i okrutny los spotkał także templariuszy. Tym dziwniejszy, że aż do XIV wieku powszechnie uważani byli za bohaterów. Zakon rycerski templariuszy powstał w 1119 roku, powołał go pobożny rycerz, Hugues de Payns, w celu walki z muzułmanami, choć głównym ich celem stało się zapewnienie bezpieczeństwa pielgrzymom na szlaku wiodącym do Jerozolimy. W uznaniu dla bohaterstwa rycerzy, król Jerozolimy, Baldwin II, oddał im skrzydło swego pałacu, znajdujące się w bliskim sąsiedztwie świątyni Salomona (łac. *templum*). Od tego miejsca wywodziła się nazwa zakonu – templariusze.

Rycerze składali śluby zakonne osobistego ubóstwa. Zaniechali związków z kobietami. Najbardziej cenili odwagę i szlachetność. Pieczętowali się znakiem dwóch rycerzy na koniach, co miało symbolizować wyrzeczenie się dóbr doczesnych. W roku 1126 Hugues de Payns przybył do Europy, ponieważ i tutaj toczyła się walka o przetrwanie chrześcijańskiego świata. Zakon rozkwitł w Europie. Od 1128 roku rycerze nosili białe płaszcze, do czego

prawo przyznał im papież, Honoriusz II. Czerwony krzyż, znak templariuszy, znalazł się na nich w 1146 roku. Dobra sława zakonu, któremu patronował św. Bernard de Clairvaux, rozeszła się w Europie już w XII wieku.

Czasy krucjat przeminęły. Templariusze zawsze gotowi byli walczyć z niewiernymi na Wschodzie. Skoro jednak główny cel ich działalności przestał istnieć, zakon wszedł w nową rolę. Dzięki licznym nadaniom i operacjom finansowym zgromadzili templariusze wielkie bogactwa w Palestynie i Europie, co zapewniło im ogromne wpływy polityczne i przywileje. Szybko to dostrzeżono zgodnie z zasadą, że bogactwo zawsze wzbudza zawiść. Na początku XIV wieku król Francji, Filip IV Piękny, zapragnął zagarnąć majątek rycerzy. Inkwizycja stała się jego bronią. Oskarżył templariuszy o herezję. Pierwotny cel zakonu poszedł w zapomnienie. Oskarżenia Filipa IV, nieprawdziwe w każdym calu, wzięły górę. Filip IV stwierdził, że templariusze opluwają krucyfiks, oddają cześć diabelskiemu bożkowi, Bafohometowi, utrzymują związki homoseksualne.

W 1307 roku Filip IV skonfiskował dobra zakonu. Potem rozpoczął się proces oskarżycielski połączony z torturami, zakończony wyrokiem skazującym na śmierć przez spalenie na stosie. Około czterdziestu żołnierzy zginęło podczas tortur w Paryżu. Żaden z nich nie oskarżył współbraci. W 1313 roku papież, Klemens V, ogłosił bullę potępiającą zakon. Oznaczało to koniec templariuszy. Ostatni mistrz zakonu, Jacques de Molay, został spalony na stosie.

Reformację w Europie poprzedził ferment ideowy, który znalazł wyraz także w wystąpieniu Johna Wiklifa (Wycliffe) i w husytyzmie.

John Wiklif (ok. 1320-1384) pochodził z hrabstwa Yorkshire. Był rektorem Balliol College i proboszczem w Lutterwirth. Odmówienie mu biskupstwa, co potwierdził także papież Urban V, odczuł jako niesprawiedliwość. Wzbudziło w nim to niechęć do władzy kościelnej. Podjął kampanię, ujawniając nadużycia kleru. Został wezwany przed sąd biskupi w katedrze św. Pawła w Londynie. Dzięki poparciu hrabiego Lancaster, który podzielał jego poglądy, został uniewinniony. W 1378 roku Wiklif atakował obowiązkową spowiedź, odpusty i całą hierarchię Kościoła. Papież i duchowieństwo wystąpili przeciwko niemu ponownie. Jego teorie doprowadziły do sprzymierzenia się panujących przeciwko poddanym, a w konsekwencji do wojny władzy świeckiej i duchownej, przeciwko ludowi i Wiklifowi. Wiklif ośmielił się nawet wystąpić przeciwko papieżowi. Gdy na tron wstąpił Ryszard II, władza hrabiego Lancaster zmalała. Dlatego też w 1382 roku arcybiskup Canterbury, Wiliam Courtenay, popierany przez papieża Urbana V, doprowadził do potępienia doktryny Wiklifa przez synod w Londynie. Wiklif został zesłany na probostwo w Lutterwirth, gdzie zmarł. W 1415 roku Sobór Konstancjański podjął decyzję, by zwłoki Wiklifa ekshumować i spalić. Stało się to w roku 1428.

Do głosu zaczęli w tym czasie dochodzić także husyci. Byli oni zwolennikami i uczniami Jana Husa i Hieronima z Pragi. Po męczeńskiej śmierci obu przywódców husytami nazywano nie tylko autentycznych zwolenników, ale też wiele sekt, które w XV wieku walczyły pod wspólnym sztandarem.

Jan Hus (1369-1415), sam będąc duchownym, dostrzegł zepsucie i rozwiążłość duchowieństwa katolickiego. Zapoznał się z pismami Wiklifa i też zapragnął reformy. Nie podpisał się pod potępieniem przez uniwersytet praski czterdziestu pięciu też Wiklifa. Publiczne oskarżenia Kościoła przysporzyły mu tłumów słuchaczy. Jego najbliższym współpracownikiem był Hieronim z Pragi, świecki teolog.

Według doktryny Husa głowa Kościoła jest Jezus Chrystus. Należą do niego wyłącznie sprawiedliwi i przeznaczeni do zbawienia. Nie można ich z Kościoła wykluczyć, ekskomunika nie ma mocy. Kościół istnieje dzięki wiernym. Istniałby nawet wtedy, gdyby nie było papieża i biskupów. Duchowieństwo nie ma, więc żadnej mocy, gdyż ona należy wyłącznie do Chrystusa. Zadaniem duchowieństwa powinno być tylko ubieganie się o

przebaczenie dla grzesznika. W życiu i wierze należy się kierować wyłącznie naukami Pisma Świętego. Każdemu kaznodziei chrześcijańskiemu wolno głosić Ewangelię bez ograniczenia diecezji.

Tezy Husa wymierzały cios władzy papieskiej i biskupiej. Husa ekskomunikowano. To tylko zwiększyło jego popularność. Władze duchowne przekonały Husa, że powinien stanąć przed soborem (1414-1418) w Konstancji. Hus nie podejrzewając podstępu, zdecydował się przybyć. Był pewien, że tam właśnie będzie mógł obronić swoje tezy. Nie pomógł mu nawet glejt od cesarza Zygmunta. Uwięziono go z żądaniem, by wyrzekł się swoich poglądów. Decyzja soboru z 1414 roku Husa potępiono, pozbawiono świeceń kapłańskich i wydano wymiarowi sprawiedliwości. Zginął na stosie w 1415 roku.

Podobnie zakończył życie Hieronim z Pragi. Na krótko odstąpił od nauk mistrza, potem jednak decyzje odwołał i spłonął na stosie razem z Husem. Prochy obydwu wrzucono do Renu. To wydarzenie stało się początkiem krwawej wojny domowej, która ogarnęła Czechy, Morawy i część Polski. Oddziały husytów, zebrane pod wodzą Jana Žižki, utworzyły armię. Walczące z nią wojska cesarza Zygmunta ponosiły porażki. Po śmierci Žižki, w 1424 roku wojny husyckie trwały nadal. Przeciwko husytom zorganizowano trzy krucjaty. Husyci odnosili zwycięstwa. Wówczas papież i cesarz Zygmunt Luksemburski zaproponowali husytom układy. Dowódców zaproszono na sobór w Bazylei. Do porozumienia jednak nie doszło i walki rozgorzały na nowo. W 1434 roku wojska cesarskie rozbiły oddziały husytów. Oblicza się, że wojny husyckie zabrały ponad czterdzieści tysięcy ofiar.

We Francji, w XV wieku, jeszcze nie uporano się z waldensami, a już duchowieństwo zwróciło swoją uwagę na „koło biblistów z Meaux”. W 1521 roku Sorbona potępiła doktrynę Lutra. W 1523 roku mnich Jean Vallière oskarżony został o luteranizm i spalony na stosie. Ten sam los spotkał Jeana Leclerc z Meaux w 1526 roku. Pod wpływem tych prześladowań zaczęły pojawiać się we Francji ruchy reformacyjne. Powodem szybkiej ekspansji kalwinizmu we Francji były nadużycia Kościoła rzymskiego i duchowieństwa a także sztywno stanowisko Sorbony w kwestiach doktrynalnych.

W 1555 roku potajemnie założono w Paryżu pierwszy zbór kalwiński. Potem odbył się synod krajowy (1559), kolokwium w Poissy (1561) i reformacja we Francji stała się faktem. Innowercom zabroniono zgromadzeń, praktykowania kultu wedle własnych reguł, dostępu do cmentarzy i większości przywilejów, jakimi cieszyli się katolicy.

Nazwa protestantów francuskich, których nazywano hugenotami powstała około 1560 roku. W roku 1562 wybuchła we Francji wojna religijna, która trwała trzydzieści pięć lat.

Najważniejszym wydarzeniem tej wojny była rzeź hugenotów, zwana Nocą Świętego Bartłomieja. Rzeź miała miejsce w Paryżu z 23 na 24 sierpnia 1572 roku. Dokonano jej w czasie pobytu tam szlachty hugenockiej przybyłej na ślub ich przywódcy Henryka z Navarry (Henryka IV) z Małgorzatą de Valois. Rzeź inspirowana była przez Katarzynę Medycejską i stronnictwo katolickie z Gwizjuszami na czele, za wiedzą Karola IX. Zginęło wówczas wiele tysięcy hugenotów, między innymi jeden z głównych przywódców, Gaspard de Coligny.

Zakończenie wojen przypada na rok 1598. Henryk IV wydał wtedy edykt nantejski, na mocy, którego hugenoci mieli zagwarantowaną swobodę uprawiania kultu w wyznaczonych miejscach.

Walki na tle religijnym wybuchły znowu za panowania Ludwika XIII. Kardynał Richelieu postanowił odebrać przywilej innowercom i zdobył sobie do tego poparcie króla. Hugenoci w 1629 roku stracili swoje twierdze, musieli zrezygnować z przyznanych im gwarancji militarnych. Ich swobody religijne też mocno okrojono. Odsuwano ich od ważnych urzędów, bo Ludwik XIV wszędzie widział hugenockie spiski. W 1685 roku król odwołał edykt nantejski. Przeciwko uciekającym hugenotom organizowano represje. Doprowadziło to do krwawego powstania ludowego, nazwanego wojną kamizardów.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym fakcie.

Wśród nieprawomyślnych wyznawców Kościoła znalazł się także Galileusz. Został uznany za heretyka, ponieważ hołdował prawdzie niezgodnej z wiedzą Kościoła. Rzym zaś odmawiał uznania dla odkryć naukowych, jeżeli nie wynikały one z Biblii lub nie zyskały aprobaty papieża. Nieomyślność papieża była przecież zasadniczym elementem religii katolickiej.

Otóż Galileusz ogłosił, że to Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie na odwrót. Teorię tę wprawdzie zaprezentował wcześniej Mikołaj Kopernik, ale odkrycie swoje zdradził jedynie najbliższemu, a pełny tekst dzieła „De revolutionibus orbium coelestium” opublikowano dopiero na rok przed jego śmiercią, w 1543 roku. Galileusz w 1614 roku napisał list, w którym wyłożył swoją teorię. Jego kopia została przesłana św. Inkwizycji. Uznano jednak, że teoria ma niewiele związków z Kościołem, więc nie wniesiono przeciw uczonemu oskarżenia. Gdy jednak Galileusz udał się do Rzymu, wówczas papież, Paweł V, postanowił ponownie przedstawić teorię tej inkwizycji. Galileuszowi wytoczono proces. Teorie kopernikańską uznano za niedorzeczną, bo sprzeczną z Pismem Świętym i odstąpiono od oskarżenia Galileusza o herezję. Wydano jednak orzeczenie, by zaprzestał nauczania i obrony teorii kopernikańskiej. Gdy Galileusz zażądał od Rzymu certyfikatu, w którym byłoby wyraźnie napisane, czego mu zabrania, Watykan prośbie odmówił.

W 1632 roku Galileusz opublikował „Dialog o dwóch najważniejszych układach świata – prolemeuszowym i kopernikowym”. Wyraźnie kpił w nim z poglądów Kościoła. Wówczas ponownie postawiono go przed trybunałem. Galileusz był już wtedy starym człowiekiem i w obawie przed torturami poglądy swe odwołał. Skazano go na dożywotni areszt domowy.

Jeszcze jedno śledztwo wszczął Jan Paweł II. I dopiero w 1992 roku komisja watykańska zdecydowanie oczyściła Galileusza z zarzutu herezji.

Narzędzia zbrodni

Każdy okres historii miał swoje metody kar i tortur. Nawet wówczas, gdy chrześcijaństwo rozpowszechniło się na świecie, nie ustał rozlew krwi. Oprawcy czynili swoją powinność w imieniu księcia, papieża lub rządu. Życie ludzkie było tanie, a ludzkie cierpienie nie miało żadnej wartości.

Kiedy Kościół rzymskokatolicki został ogarnięty szaleńcstwem nienawiści do heretyków, wypowiedziano im krwawą wojnę, w której zginęły ich tysiące. W obronie cnoty i wiary zapłonęły stosy. Kościół wykorzystał wszystkie znane sobie od lat metody, by na heretykach wymusić przyznanie się do winy. Przez lata walki z heretykami metody te usprawnił i wzbogacił.

Już w X i XI wieku za sprawą Rzymu podejmowano akcję przeciwko heretykom. Papież Innocenty III uznał, że Kościołowi zagraża herezja realnie, dlatego też nadszedł czas, by podjąć działania, które doprowadzą do jej zniszczenia. W latach 1204 – 1213 papież wydał cztery dekretalia, upoważniające biskupów do podejmowania kroków przeciw herezji, zanim jeszcze sama się rozprzestrzeni. Powołano specjalnych urzędników, zwanych inkwizytorami, którzy mieli prawo wstrzymania i prowadzenia śledztw. Następca Innocentego, Grzegorz IX, usprawnił działalność inkwizycji. W 1224 roku zatwierdził wyroki śmierci na heretyków w Lombardii, demonstrując w ten sposób nie tylko swoje nieprzejednane stanowisko, ale i wskazując na formę walki z herezją w całej Europie. Papież Grzegorz IX był przekonany, że każdy, kto odwrócił się od Kościoła katolickiego, powinien umrzeć.

Jako że biskupi początkowo nie wykazywali nadmiernej gorliwości w walce z heretykami, zadanie to powierzono pełnym zapału w tym względzie dominikanom i

franciszkanom. Wykonywanie tortur początkowo zlecano ludziom świeckim, ale w roku 1256 papież wydał bullę zezwalającą na stosowanie ich przez duchownych, co miało być bardziej skuteczne. Dzięki inkwizycji Kościół realizował tylko własne cele. Zadaniem inkwizytorów było uzyskanie od heretyków przyznania się do winy. Dobór metody zależał tylko od oprawców. Kościół posiadał pełne uprawnienia śledcze i podejrzanych nie przekazywał już władzom świeckim. Od momentu posądzenia o herezję nie mieli oni żadnych praw obywatelskich. Majątki ich były natychmiast konfiskowane, pomnażając tym samym bogactwo Kościoła. Zyskiwali na tym także inkwizytorzy. Nic, więc dziwnego, że biskupi, początkowo odnoszący się z rezerwą do walki z heretykami, dołączyli z czasem do inkwizytorów w zamian za konkretne materialne zyski.

Władze kościelne przekazywały heretyka w ręce urzędników państwowych dopiero wówczas, gdy ten przyznał się do winy. Urzędnikom państwowym pozostawiali wymierzenie kary. Duchowni nie chcieli być posądzeni, o to, że ich ręce są splamione krwią. Dbali o swoją reputację w oczach ludu.

Inkwizytorzy wędrowali po Europie od miasta do miasta. Złoty krzyż był ich nieodłącznym atrybutem. Po przybyciu do miasta spotykali się z biskupem, duchownymi i ludem. Ich zadaniem było oczyścić z heretyków miasto i przyległe tereny. Inkwizytorzy sami wyznaczali przysięgłych do swych niezależnych sądów. Dobierano ich, w zestawie od dwudziestu do pięćdziesięciu osób, spośród tak zwanych porządnych ludzi. Byli wśród nich księża, były także osoby świeckie. Najważniejszym warunkiem i zarazem kryterium doboru była odraza do heretyków. Do stwierdzenia winy potrzebne były zeznania dwóch świadków. Zawsze znaleźli się usłudźni donosiciele. Zadenuncjować heretyka mógł każdy, nawet kryminalista. Zeznania takiego świadka stanowiły pełnowartościowy dowód w procesie. Drugiego świadka nietrudno było znaleźć. Zawsze można było go przekupić – albo też zmusić torturami – by potwierdził zeznania pierwszego.

Oskarżony teoretycznie nie pozostawał bez szans. Zamykano go najpierw w jego własnym domu i poddawano intensywnemu przesłuchaniu. Jeżeli nadal odmawiał odstąpienia od herezji, doprowadzono go przed inkwizycję. Obrońcę zapewniała mu tylko władza papieska. Każdy inny prawnik, który podjąłby się obrony, oskarżany był o taką samą zbrodnię.

Inkwizytorzy byli zaślepieni nienawiścią i żądzą zysku. Upajali się swoją władzą. W ich fanatyzmie nie było miejsca na sprawiedliwość. Jedynym ich celem było zmuszanie ofiar do przyznania się do winy. Cel uświęcał środki. Nie przyznanie się do herezji oznaczało, że oskarżony nie chce się wyrzec swojej wiary.

A oto niektóre rodzaje i narzędzia tortur – odtworzone na podstawie starych sztychów, bądź opisów w literaturze.

Stelaż tortur – przywiązywano doń ofiarę za przeguby rąk i kostki nóg. Specjalne walce powodowały rozciąganie ciała w przeciwnych kierunkach, aż do zerwania ścięgien i popękania kości.

„Żelazna dziewczica” z Norymbergii – to pudło podobne do trumny z rozkładanymi drzwiami. Po ich zewnętrznej stronie znajdowały się ostre kolce. Człowiek zamknięty wewnątrz kłuty był nimi po całym ciele, co powodowało zranienie wnętrzości, wyklucie oczu oraz ogólne wykrwawienie. Torturom w „żelaznej dziewczicy” poddawano kobiety posadzone o czary, ale z urządzenia tego z upodobaniem korzystano również w torturowaniu heretyków.

Przyrząd do miażdżenia kciuka – narzędzie, którym kciuk miażdżono tak sprawnie jak orzech.

Strappado – urządzenie pozwalało ofiarę powiesić za przeguby rąk, a przywiązane do kostek nóg ciężary powodowały wyrywanie kończyn ze stawów.

Do parzenia wapnem skóry i przypalania genitaliów nie trzeba było specjalnych urządzeń.

Próba ognia – polegała na przeniesieniu rozgrzanej do czerwoności żelaznej sztaby, ważącej od połowy do półtora kilograma, na odległość około trzech metrów.

Inny rodzaj próby polegał na **przejściu** oskarżonego **po rozżarzonych** do czerwoności **węglach**. Po kilku dniach dokonywano oględzin stóp i orzekano o winie. Oskarżony, który po oparzeniach miał otwarte rany, uznawany był za winnego.

Stosowano także **rozgrzane kleszcze**. Wierzono, że człowiek niewinny odporny jest na działanie ognia, ponieważ Bóg zapewnia niewinnym ochronę.

Próba wody – polegała na wlewaniu do gardła takiej ilości wody, by w ofiary wywołać uczucie, że się ona topi.

Więzienia – dostawali się do nich ci, którzy na torturach przyznali się do winy i obłożeni zostali grzywną a nie mogli jej spłacić. Więziono w cuchnących celach – niekiedy w izolatkach. W celach zbiorowych przykuwano skazańców do ściany łańcuchami – jednego obok drugiego.

Koło – było popularne we Francji i w Niemczech. Łamanie kołem było śmiercią w mękach i przypominało ukrzyżowanie. Heretyka doprowadzono na szafot, tam zdzierano z niego odzież, następnie przywiązywano do koła leżącego na szafocie, rozciągając go pomiędzy szprychami a piastą. Kat przystępował do tłuczenia żelaznym drągiem tak, aby kolejno łamać kości ofiary. Sprawny kat potrafił tego dokonać, nie naruszając skóry. Następnie koło ustawiano pionowo, by zgromadzony tłum mógł lepiej obserwować agonie skazańca. Gdy ofiara od zadanych ciosów nie zmarła, kat kończył jej mękę kilkoma uderzeniami w klatkę piersiową. Niekiedy katusze potęgowano, tocząc koło przez płomienie lub ostre kolce.

Płonące stosy – przeznaczone były dla wyjątkowo zatwardziały heretyków, którzy przeszli już inne tortury, a nie doprowadziły one do śmierci ofiary. Zwyczajowo najczęściej były stosowane wobec kobiet uznanych za czarownice.

Mazzatello – to kara śmierci wykonywana przy użyciu drewnianego młota (zwanego mazzą) i noża. Duchowny doprowadzał skazanego na szafot ustawiony w publicznym miejscu. Skazańca, obróconego twarzą do widzów, zachodził kat z tyłu i uderzał z całej siły mazzą. Gdy ofiara padła ze zmiażdżoną czaszką, kat nożem podcinał jej gardło. W ten sposób wykonywano karę śmierci w państwie papieskim.

Garota była tym samym, co powieszenie. Kaci jednak tak manipulowali sznurem, by ofierze zadać jak najwięcej cierpień.

O herezje oskarżano także zmarłych. Wykopywano pogrzebane już ciała, obwożono je po mieście i palono na stosach. Inkwizytor Bernard Gui w okresie pełnienia swojej funkcji uznał za heretyków osiemdziesięciu ośmiu zmarłych i ciała ich nakazał spalić na stosie. Z jego rozkazu w płomieniach poniosło też śmierć pięciuset czterdziestu ośmiu żyjących.

Heretycy po odbytych torturach prowadzeni byli przed oblicze władz, które wyznaczały im karę ostateczną. Inkwizytorzy prosili wówczas władze o łaskę dla winnych, ale nie ulaskawiono nikogo. Niepisana umowa stanowiła, że miejski lub królewski sąd, który nie wymierzy heretykowi kary śmierci, zostanie natychmiast obłożony klątwą. Majątki ofiar naturalnie konfiskowano.

Według inkwizytorów świata zagrażali nie tylko heretycy, ale także i czarownice. Inkwizycja wynajdowała ich niezliczone rzesze. Papież Innocenty VIII był przerażony „epidemią” czarownic w Europie. Najwięcej spalono ich w Niemczech. W dwudziestu dwóch miasteczkach w pobliżu Trieru, w Nadrenii, w ciągu sześciu lat spłonęło trzysta sześćdziesiąt osiem kobiet. Większość kobiet spalono na stosie, jednak, co bardziej wyrafinowani kaci wynajdowali coraz to nowe sposoby tortur i pozbawiania życia.

I tak czarownice poddawano próbom: łez, wody, szpilek, ognia i wagi. Były to ordalia, czyli sądy boże.

Próba wody nie dawała kobiecie posadzonej o czary żadnej szansy ujęcia z życiem. Gdy pławiona z kamieniem u szyi tonęła – oznaczało to jej niewinność. Gdy unosiła się na powierzchni, czemu sprzyjały ówczesne ubiory – oznaczało to jej związek z czarną magią, ponieważ ciało nie chciało się zanurzyć w wodzie, która była chrzczona.

Inna metoda śledcza polegała na goleniu całego ciała i poszukiwaniu znamienia szatana – miejsca nieczułego na ból. W znalezione znamię wkłuwano szpilkę głęboko, aż do kości. Posiadanie znamienia świadczyło niechybnie o kontakcie z diabłem.

Próba łez miała udowodnić, że czarownica jest nieczuła na ból, nie umie płakać nawet podczas wymyślnych tortur. Inkwizytorzy twierdzili przy tym, że czarownice nie ronią łez, dlatego, ponieważ służą one grzesznikom do zmywania grzechów. Jednak, gdy nawet ofiara zalewała się łzami, nie świadczyło to jeszcze o jej niewinności. Inkwizytorzy, bowiem dokonywali oceny i orzekali, które z łez były prawdziwe, a które udawane.

Próba wagi miała natomiast wykazać, że czarownice są lekkie jak piórko. Zamiast odważnika kładziono na szalę Biblię. Jeżeli czarownica okazywała się cięższa, podejrzenie było słuszne. Tylko, gdy szale równoważyły, poddawana próbie uznawana była za oczyszczoną z zarzutów. To się oczywiście nie zdarzało.

Próba ognia nakazywała przejście przez szpaler ognia. Kiedy kobieta zapłakała bądź zapaliła się lub mniej miała znamienia, przypisywano to jej czarom, przypisywano to jej czarom szatańskim. Każdy wynik był zły.

Posadzone o czary kobiety zamykano w ciasnej beczce pełnej święconej wody. Używano też tzw. krzesła czarownic, zwanego też tronem dziewiczym. Było to krzesło wyposażone w kolce drewniane lub metalowe oraz metalowe uchwyty na ręce, nogi, głowę – od spodu podgrzewane. Dodatkowo kobietę chłostano, szczypano i przypalano.

Stosowano także inne narzędzie tortur, tak zwaną gruszkę. W zależności od kategorii przestępstwa wkładano ją bądź to do gardła, odbytu albo do pochwy, po czym uwalniano sprężynę lub śrubę, która rozwierała to urządzenie. Posądenia o stosunki z szatanem karano otwarciem gruszki w pochwie. Mało, która kobieta miała szansę to przeżyć. Dla torturowania rzekomych czarownic używano także łoża sprawiedliwości, czyli ławy najeżonej kolcami.

Dla ułatwienia doboru technik przeprowadzania przesłuchań został opracowany poradnik zatytułowany „Malleus maleficarum” (Młot na czarownice). Autorem dzieła był dominikanin, Jakub Sprengera, niezwykle doświadczony inkwizytor, popierany ze wszystkich stron przez swój groźny i silny zakon. Sprenger stworzył książkę najbardziej kompletną i kompetentną. Po dawnych księgach pokutnych czy podręcznikach tropienia grzechu przeznaczonych dla spowiedników, opracowano directoria uczące tropić herezję i czarodziejstwo, uznane za największe grzechy. „Młot na czarownice” służył Sprengerowi podczas jego misji w Niemczech. Pozostał także źródłem wiedzy i światłem trybunałów inkwizycji. Już na samym początku swego podręcznika dla sędziów Sprenger uznaje najmniejszą wątpliwość za herezję. Sędzia w ten sposób miał związane ręce. Czuł, że nie wolno mu się potknąć i że nie może mieć żadnej pokusy wątpliwości lub miłosierdzia. Gdyby taka się pojawiła, musiałby zacząć od skazania na stos i spalenie samego siebie.

Tortury pod krucyfiksem

Jezus zakazuje wszelkiego zabijania. Początkowo, gdy chrześcijanie byli ofiarami prześladowań, nikt z nich nie ważył się tego kwestionować. Kiedy chrześcijaństwo stało się religią uznaną oficjalnie, pogląd ten zaczął się zmieniać. Szczególnie, gdy dotyczył on tak zwanej wolności sumienia. Jeszcze w IV wieku *doctor Ecclesiae* Jan Chryzostom uważał zabicie kacerza za zbrodnię, której sprawca nie mógłby zmazać pokutą, za to już od XII wieku śmierć na stosie, jako kara za herezję, była na porządku dziennym. Zadawano ją w imieniu Jezusa.

Zacząło się niewinnie. W 325 roku sobór nicejski ogłosił, że „każda herezja powinna być objęta ekskomuniką”. W 553 roku sobór konstantynopolitański II zarządził: „Heretyk, nawet, jeśli nie został formalnie przez kogokolwiek potępiony, w rzeczywistości sam, przez fakt swojej herezji, odcina się od prawdziwego życia”. W 787 roku II sobór nicejski obłożył ekskomuniką także tych, którzy przechowują i ukrywają heretyckie książki. Tak krok po kroku zaostrzała się soborowa dyscyplina, choć jeszcze dość długo nie zdradzała żadnych pokus odwoływania się do środków, jakie oferowało jej cesarskie prawodawstwo. Jednak dziś wiemy, że wyważony ton dyscypliny soborowej i należące dziś do klasyki chrześcijaństwa teksty, wzywające państwo do tolerancji religijnej, a Kościół do zachowania właściwego dystansu względem państwa, skreślone piórem Ojców Kościoła w pierwszych stuleciach, nie przeżyły się w nadchodzące wieki średnie.

W czasach Karolingów inkwizycja przystąpiła do tworzenia sądów biskupich, które miały orzekać w sprawach o szkodzące Kościołowi przestępstwa osób świeckich. Synod odbyty w 1184 roku w Weronie zażądał od biskupów ścigania kacerzy, natomiast czwarty sobór laterański w 1215 roku zobowiązał władze świeckie do karania heretyków.

W XIII wieku śmierć zadana heretykom *ad maiorem Dei gloriam* uzyskała błogosławieństwo Kościoła ustami Tomasza z Akwinu, który w roku 1323 został kanonizowany. Ów *doctor angelicus* w XVI wieku decyzją Piusa V otrzymał tytuł doktora Kościoła, a u schyłku XIX wieku stał się z woli Leona XIII główną postacią w dziejach nauk kościelnych i patronem wyższych uczelni katolickich. W swym dziele „Summa teologia” formującym podstawowe elementy tomizmu, głównego kierunku w filozofii chrześcijańskiej, książce, która uchodziła za powstałą z inspiracji Ducha Świętego i która podczas soboru trydenckiego spoczywała na ołtarzu obok Biblii, Tomasz napisał: „Co się tyczy kacerzy, ci dopuścili się takiego grzechu, który usprawiedliwia to, iż nie tylko zostają wyklęci przez Kościół, ale także poprzez karę śmierci zostają usunięci z tego świata. O wiele większą, jest, bowiem zbrodnia zafałszowania wiary, którą żyje ludzka dusza, niż sfałszowanie pieniędzy, służących życiu doczesnemu. Skoro, zatem fałszerzy pieniędzy albo innych złoczyńców zgodnie z prawem natychmiast spotyka śmierć z wyroku władców świeckich, tym bardziej uprawnione jest usuwanie ze wspólnoty kościelnej kacerzy, ledwo zostanie im dowiedzione kacerstwo, a oprócz tego słuszne są egzekucje tychże”.

Wolter obliczył, że w imię wiary 9 468 800 chrześcijan straciło życie za sprawą innych chrześcijan. Większość z nich to ofiary inkwizycji.

Inquisitio – to po łacinie poszukiwanie, badanie, śledzenie. Takie miano nosiła średniowieczna instytucja kościelna, która miała na celu wykrywanie i karanie heretyków, schizmatyków i innych osób uprawiających zabobonne praktyki. Dla wielu ludzi inkwizycja to synteza wszelkiego zła w Kościele, symbol nietolerancji w ogóle, antyteza wolności.

Nie jest rzeczą łatwą wydać obiektywny osąd historyczny o inkwizycji. Nie ulega wątpliwości, że była ona – najłagodniej mówiąc – rażącym wyrazem braku tolerancji wobec ludzi wyznających poglądy odmienne od katolickich – tak chcieliby ją dziś widzieć teologowie Kościoła. Największym wrogiem inkwizycji była wolność, wolna myśl, wolna nauka, wolne sumienie. Inkwizytor chciał Kościoła totalitarnego, w którym wolność miała

być zastąpiona posłuszeństwem i ślepy, nawet na przekór sumieniu, podporządkowaniem się.

Teologowie katoliccy odpowiedzialność za inkwizycję zrzucają wyłącznie na średniowieczną hierarchię kościelną, która w tej materii, weszła we współpracę ze średniowiecznymi władzami politycznymi i włączyła do kościelnego prawa elementy przymusu i represji, tak przecież obce duchowi Ewangelii. To ludzie Kościoła są winni, a nie Kościół – mówią i dziś, kiedy Jan Paweł II u progu trzeciego tysiąclecia chce przeprosić świat za zbrodnie w imieniu Kościoła. Cóż, można i tak. Kościół katolicki jest niezrównanym mistrzem hipokryzji.

Z dziewięciu papieży zasiadających w Watykanie w latach 1555-1591 ośmiu było poprzednio inkwizytorami. Wiedząc, że gorliwa działalność inkwizytorska toruje drogę do najwyższych godności i dochodów kościelnych, biskupi i inkwizytorzy prześcigali się w akcji palenia książek, w prześladowaniach uczonych i w posyłaniu na stopy wszystkich tych, którzy ośmielili się myśleć i czuć inaczej, niż głosiła to oficjalna doktryna katolicka.

Jedno jest pewne. Wbrew temu, co się oficjalnie głosi, wszystkie podstawy ideowe średniowiecznej inkwizycji pozostały w Kościele rzymskokatolickim nadal żywe i aktualne po dziś dzień. Nie płoną dziś stopy, ani nikogo nie poddaje się fizycznym torturom, ale nadal istnieje średniowieczny trybunał inkwizycyjny – niegdyś zwany *Congregatio Sanctae Inquisitionis Haereticae Pravitatis*, dziś natomiast krócej: *Congregatio Sancti Officii* – i tak, jak kiedyś, zgromadzeniu temu przewodzi papież.

Początki inkwizycji sięgają czasów późnego cesarstwa rzymskiego, kiedy to w IV wieku chrześcijaństwo stało się religią oficjalnie obowiązującą w imperium rzymskim, a cesarze zobowiązali wszystkich poddanych im chrześcijan do wyznawania ortodoksyjnej nauki chrześcijańskiej. Odtąd herezja stanowiła przestępstwo nie tylko religijne, ale i polityczne – bo jej wyznawcy byli winni obrazy majestatu cesarskiego, w związku, z czym cesarze rzymscy wyznaczali heretykom surowe kary: od grzywny pieniężnej i konfiskaty dóbr, aż po wygnanie i śmierć.

W średniowieczu w myśl tej tradycji heretyków uznawano za wrogów Kościoła i państwa, papieństwo zaś stało się tyranem świata wyposażonym w najstraszliwsze narzędzie nacisku – inkwizycję. Nic, więc dziwnego, że cesarze i królowie świata chrześcijańskiego bezwzględnie poddawali się zarządzeniom rzymskich biskupów. Ci zaś gorliwie tropili wszystko, co mogło być uznane za heretyckie, co było choćby tylko śladem sprzeciwu wobec doktryn i dekretów Watykanu. Wystarczyło, że usłyszano o najmniejszej wątpliwości lub kwestionowaniu dogmatów papieskich, by pozbawić życia bogatego lub biednego, wysoko lub nisko urodzonego. Nie ma wątpliwości, że inkwizycja była instytucją szatańską, bo tylko szatan ma władzę nad umysłami złych ludzi. Miliony ciał męczenników skazanych przez inkwizycję wołały i nadal wołają do Boga o pomstę. To Fiodor Dostojewski odważył się pierwszy użyć słowa inkwizycja jako słowa – klucza, słowa – syntezy, służącego do opisanie wszystkiego, co w Kościele urządzone jest nie na sposób Chrystusowy, lecz ludzki lub, co gorsza, diabelski właśnie.

Szczycimy się dziś, że europejskie ma korzenie w rzymskim prawie. W Rzymie w czasach demokracji, w ramach postępowania karnego, zwanego *legis actio*, równe prawa miały obydwie zaangażowane w sporze strony. Wyniki swych ustaleń przedstawiały sędziemu przez zawodowych oratorów. Do arbitra i tylko do niego należał wyrok.

W cesarstwie rzymskim, w którym władzę przejęli cesarze, także i cesarz mógł wyznaczyć urzędnika, który p[odejmował dochodzenie przeciw komuś z własnej inicjatywy, bez oskarżyciela, w oparciu na przykład o czyjeś informacje. Tenże urzędnik sam zbierał dowody oskarżenia, *inquisitio*, i sam – bez wyznaczenia sędziego – wydawał wyrok. Ten rodzaj procedury nazywał się *cognitio extraordinaria*.

W przeprowadzaniu *inquisitio* stosowano (w ściśle określonych przypadkach) także tortury, do III wieku n e tylko wobec niewolników, wobec ludzi wolnych – jedynie w przypadku oskarżenia o zdradę.

Do tej tradycji nawiąże tak zwany dekret weroński „Ad abolendam”, wydany przez papieża Lucjusza III (1181-1185) w 1184 roku w czasie spotkania z cesarzem Fryderykiem I Barbarosą. Dekret ten nazywany jest przez niektórych „kartą fundacyjną inkwizycji”. Odtąd za herezję przewidywano nie tylko ekskomunikę, ale i kary kryminalne. Dekret ten precyzował procedury, jakie należało zastosować w stosunku do heretyków. Do władzy duchownej należało ustalenie winy, czyli przeprowadzenie dochodzenia – *inquisitio*. Zadanie to spadło przede wszystkim na biskupów, którzy zostali zobowiązani do dwukrotnego w ciągu roku wizytowania podległych sobie parafii, co, do których istniało podejrzenie, że przebywają w nich j heretycy. Biskupi lub wyznaczeni przez nich komisarze powinni przeprowadzić śledztwo, wychodząc od zeznań kilku zaprzysiężonych świadków. Po przeprowadzeniu dochodzenia osoby obciążone winą przekazywane sądom świeckim, przy czym jeżeli wśród delikwentów byli duchowni, pozbawiano ich najpierw święceń. Z kolei zadaniem sądów było ustalenie odpowiedniej kary, zgodnie z obowiązującymi lokalnymi zwyczajami prawnymi. Tak, więc wymiar i egzekucja kary należały do „ramienia świeckiego”. Władcom, którzy ociągali by się ze współpracą w zwalczaniu herezji, dekret groził ekskomuniką, nałożeniem interdyktu na ich posiadłości oraz zwolnienie poddanych z przysięgi posłuszeństwa. Przejście Kościoła – przynajmniej na poziomie prawodawstwa – od przekonywania do przymusu i karania heretyków stało się faktem.

W ciągu niecałych czterdziestu lat (1179-1215) dopracowano szczegółowo procedury tak zwanej inkwizycji biskupiej (wizytacje, świadkowie synodalni, dochodzenie inicjowane w oparciu o złą reputację – *mala fama*, przekazywanie winnych sądom świeckim dla wymierzenia kary kryminalnej) i rozszerzono do granic ostateczności krąg oskarżonych, zacierając różnice między faktycznymi wyznawcami herezji, a ich obrońcami, protektorami czy choćby rozmówcami i słuchaczami, a także tymi, którzy w walce z herezją okazali się mało aktywni, obojętni, niedbali czy wreszcie byli po prostu inni.

W 1199 roku Innocenty III (1198-1216) wydał dekret „Vergentis in senium”, w którym po raz pierwszy w historii postawił (w duchu praw cesarzy rzymskich) znak równości między herezją a zdradą i zbrodnią obrazu majestatu. Ta najwyższa kwalifikacja kryminalna herezji otwierała drzwi dla zastosowania przeciw niej wszelkich najsurowszych środków, przede wszystkim tortur w prowadzeniu dochodzenia i kary śmierci. Stosowanie tortur usankcjonował ostatecznie w 1252 roku papież Innocenty IX, a karę śmierci zalegalizowano najpierw w Hiszpanii (w 1194), potem kolejno we Włoszech, w Niemczech (1124) i we Francji, aż wreszcie w Anglii (1401).

Inkwizycja średniowieczna, w ścisłym tego słowa znaczeniu, była dziełem soboru laterańskiego IV, który w 1215 roku określił dokładnie zasady funkcjonowania sądów inkwizycyjnych i podporządkował je władzy papieża.

Czternaście lat później, w 1229 roku, w Tuluzie synod nałożył na biskupów obowiązek, aby w każdej parafii wyznaczyli grupy ludzi świeckich, którzy mieliby ścigać heretyków. Synod nakazał, by będący schronieniem heretyka dom został zburzony, zaś jego właściciel pozbawiony został majątku i poddany karze cielesnej. Jeśliby kacerz okazał skruchę, wówczas miał nosić na swoim odzieniu dwa krzyże, a ponadto bez zgody papieża nie wolno mu było piastować żadnego urzędu ani też dokonywać jakichkolwiek aktów prawnych. Sobór nakazał też, by wszyscy wierni przysięgli biskupom, że z zapalem będą prześladować kacerzy i tę przysięgę mieli powtarzać, co dwa lata. Tenże sobór wsławił się jeszcze jednym postanowieniem. Głosił: „Osoby świeckie nie mogą posiadać ksiąg Starego i Nowego Testamentu; wolno im mieć tylko psalterz i brewiarz albo godzinki maryjne, ale i te księgi nie w tłumaczeniach na języki narodowe”.

Doświadczenia pierwszej dekady inkwizycji papieskiej zostały zebrane w postanowieniach synodu w Tarragonie w 1242 roku. Jego kanony skrupulatnie zdefiniowały zakres znaczeniowy herezji. Za heretyka został uznany nie tylko ten, kto „trwa uparcie w błędzie”, ale także ten, kto akceptuje zasłyszane poglądy heretyków (tak zwany wierzący) lub uczestniczy w ich nabożeństwach (podejrzany o herezję), nie informuje o znanych sobie heretykach (wzmacniający herezję), udziela im kryjówki (skrywający herezję) lub gościny (przyjmujący), czy też przeciwdziała zwalczaniu herezji (obrońca). Synod zestawiał też katalog możliwych kar, zarówno o charakterze pokutnym (na przykład noszenia wyróżniającego stroju, odbycie pielgrzymki), jak i kryminalnym (z karą śmierci włącznie).

Ogłoszona w 1252 roku przez papieża Innocentego IV bulla „Ad exstirpanda”, uznawała chrześcijańskich innowierców za nie lepszych niż złodzieje i zbrojcy. Bulla ta nałożyła na władców obowiązek zmuszania wszystkich heretyków do tego, by przyznali się do winy i zdradzili współwyznawców oraz nakazywała wykonanie wyroku śmierci na osobach uważanych za winne w ciągu pięciu dni.

Pierwszy podręcznik inkwizytora wyszedł spod pióra Bernarda Gui (1261-1331), dominikanina, inkwizytora w diecezji Tuluzy, a w końcu, od roku 1323 biskupa; była to „Practica inquisitionis haeretice pravitatis” (Praktyka inkwizycji heretyckiej nieprawości). Potem pojawiły się kolejne, wśród nich „Krótki podręcznik dla inkwizytorów w Carcasonnes” z lat 1248-1249 czy Mikołaja Eymerica „Directorium Inquisitorum”. Pouczały one, że inkwizycja, przy całym swym surowym aparacie sprawiedliwości, miała przede wszystkim działać w duchu miłosierdzia trybunałów pokuty. Inkwizytorzy, ścigając i tępiąc herezję, mieli jako jedyne, główne zadanie ratowanie dusz. Mieli być nie tylko sędziami, ale jednocześnie – i w wyższym znacznie stopniu – spowiednikami. Różniło ich jeszcze jedno od sędziów świeckich – gdy ci zajmowali się tym, co oskarżony uczynił, inkwizytorzy usurpowali sobie prawo sięgania do serc i myśli.

Postanowienia soboru laterańskiego IV, a wreszcie dekretu „Ad abolendam”, powierzały *inquisitio*, czyli poszukiwanie i badanie heretyków, miejscowym biskupom. Natomiast Grzegorz IX (1227-1241) mianował się najwyższym sędzią, do którego rozstrzygnięć odwoływała się biskupia inkwizycja. To prawo przejęli wszyscy jego następcy.

Papież rzadko rozstrzygałi sami. Swe kompetencje powierzali najczęściej odpowiednio przygotowanym do tego ludziom – byli to wyposażeni w pełnomocnictwa papieskie sędziowie delegowani. Po raz pierwszy Grzegorz IX delegował swych przedstawicieli do Ratyzbony w 1231 roku, zaopatrując ich w list „Ille humani generis”, pismo polecające do przeora tutejszego klasztoru dominikanów. Dwa lata później podobni sędziowie delegowani skierowani zostali na ziemię Langwedocji. Tak rodziła się średniowieczna inkwizycja papieska.

Papież wybierał inkwizytorów spośród dominikanów i franciszkanów, a także cystersów. Śluby ubóstwa i posłuszeństwa, jakie składali w zakonach, miały dawać pewność, iż nie ulegną oni ani ambicjom osobistym, ani chęciom zysków lub wpływowi władz świeckich. Wykształceni, absolutnie podporządkowani władzy Stolicy Apostolskiej, niezwiązani jako zakonnicy z lokalnymi społecznościami, do których ich wysyłano, za to znani i powszechnie szanowani jako kaznodzieje i spowiednicy – stali się idealnym materiałem na inkwizytorów. Wybierano przy tym zakonników doświadczonych, którzy musieli mieć ukończone, co najmniej czterdzieści lat. Jednak już pierwsze pokolenie inkwizytorów wykazało, jak sprawowana przez nich władza może się okazać podatna na nadużycia, zwłaszcza, jeśli sprawowana jest przez ludzi strasznych, którym za kwalifikacje wystarcza obsesja na punkcie herezji. Przebili ich zaś ci, którzy do dziś cieszą się złą sławą najstraszliwszych morderców w imieniu Chrystusa: Konrad z Marburga, Robert Lebougre, Deza, Torquemada i Valdes.

Pierwszym zadaniem inkwizytorów był wybór miejsca na sąd. Miejsce to musiało być ważne z racji położenia lub funkcji (na przykład, dlatego, że odbywały się tam targi). Przybywszy na miejsce, inkwizytorzy przedstawiali swe listy uwierzytelniające miejscowemu panującemu biskupowi, aby otrzymać od nich wszelką pomoc. Potem zwoływali kler i lud z całej okolicy i wygłaszali pierwsze kazanie, w którym powołując się na posiadane uprawnienia, zobowiązywali wszystkich do wskazywania znanych im heretyków oraz tych, których czyniła podejrzanymi otaczająca ich *mala fama*. Potem przystępowali do tworzenia trybunału – zapraszali do pomocy dwóch sędziów asesorów, z których jednym był zawsze z litery prawa miejscowy biskup, a drugim zaś zostawał zazwyczaj prowincjał, opat lub przełożony miejscowego, najpoważniejszego klasztoru. Następnie powoływali przysięgłego notariusza i towarzyszących mu sekretarzy, pomocników i pisarzy. Notariusz jako sekretarz sądu, musiał w aktach zamieszczać dosłownie, *in extenso*, wszelkie zeznania świadków i stron oraz protokoły posiedzeń. Dalej spośród znanych z prawości i uczciwości miejscowych obywateli wybierano ławników, w liczbie sześciu, ośmiu a nawet dwunastu. Owi *viri probi* – mężowie prawi, mieli za obowiązek podawać swe zdanie o moralności i prawdomówności wszystkich świadków oraz kontrolować z prawem *veta* wszelkie zeznania, akty, podania i protokoły.

Trybunał inkwizycyjny proklamował na początku tak zwany akt łaski. Był to okres namysłu. Trwał mniej jak trzydzieści dni, ale zazwyczaj przeciągał się na dwa, trzy miesiące, a poświęcony był szeregowi misji, publicznych konferencji i dysput najlepszych teologów o prawdach wiary i błędach herezji. Heretycy zgłaszający się bez wezwania do trybunału i odwołujące tam swe błędy, nie ponosili żadnej odpowiedzialności, poza zwykłą pokutą konfesjonau i nie mogli już być ścigani przez władze świeckie. Unikali w ten sposób jakichkolwiek konsekwencji prawnych, ale jako nawróceni zobowiązywali się do trwania w wierze, a także do jej obrony, a więc między innymi do współpracy z inkwizytorami w zwalczaniu herezji; w przeciwnym wypadku – zgodnie z postanowieniami synodu w Tarragonie – znów stawali się podejrzanymi.

Niektórzy heretycy wykorzystywali te dni na ucieczkę czy kryjówkę u możnych protektorów. W tym czasie obok dobrowolnych samooskarżeń zbierano także doniesienia, w oparciu, o które kompletowano listę podejrzanych. Kościół nie wzdrygał się przy tym przed wykorzystaniem anonimów i wręcz zachęcał do denuncjowania. Każdy katolik zobowiązany był wydać znanego mu innowiercę. Dzieci, które by nie doniosły na swych heretyckich rodziców, musiały liczyć się z utratą wszelkich własności.

Gdy minął czas łaski, gdy perswazje i dysputy nie dały odpowiedniego rezultatu – zaczynała działać kościelna sprawiedliwość. Wydawano, więc orędzie, wzywające wszech i wobec każdego z osobna do stawienia się przed inkwizytorami i do zanoszenia skarg na szerzycieli zgorzenia i zepsucia. Żądano by sama ludność wskazywała parszywe owce. Trybunał miał też swoją własną policję śledczą, która składała się z niższych, najmowanych za pieniądze urzędników, mających zagwarantowaną nietykalność osobistą. Zwano ich pachotkami inkwizycyjnymi. Oskarżony – wezwany do sądu – musiał się stawić, bo gdyby tego nie uczynił, podlegał aresztowaniu i sprowadzeniu siłą.

Po upływie okresu łaski zaczynały się przesłuchania. Imiona świadków przed oskarżonym zatajano, niemniej zapisywano je do protokołów, sporządzanych skrupulatnie dla każdej sprawy. Na początku dochodzenia oskarżony mógł sporządzić listę swoich wrogów; tych z reguły wykluczano z grona potencjalnych świadków. Specjalny kodeks niezmiernie ciężkich kar – od chłosty i pręgierza, do kary śmierci włącznie – groził świadkom nie tylko za fałszywe, ale i za krętackie zeznania, a także za najmniejsze uchybienie w procedurze.

Dochodzenie objęte było tajemnicą. Pierwszym sposobem na opornych było odosobnienie, czyli tak zwane wiezienie celularne. W przesłuchaniach stosowano też tortury, usankcjonowane, jak wspomniano wcześniej, w 1252 roku. Jakkolwiek przedtem procedura

kanoniczna tortur zakazywała, inkwizycja i tak je stosowała, choć uzależnione to było od spełnienia określonych warunków. I tak na przykład, nie można ich było stosować nigdy na żądanie inkwizytora i nigdy w jego obecności; można było skorzystać z nich tylko w ostateczności i za zgodą miejscowego biskupa; mogły być stosowane jedynie przez władze świeckie, i tak, by nie spowodować utraty zdrowia lub jakiegokolwiek kalectwa; zeznanie wydobyte za pomocą bólu nie było ważne, o ile oskarżony nie powtórzył go dobrowolnie przed sądem, co najmniej w dwadzieścia cztery godziny później.

Kanonicznie zatwierdzone przez Innocentego IV (1242-1254) tortury były ściśle określone, a przypadki okoliczności ich stosowania dokładnie sprecyzowane, powołując się przy tym na istniejącą już praktykę stosowaną w sądownictwie świeckim. Odtąd obok ławy tortur wisiał zawsze krzyż, a w czasie torturowania służące do tego narzędzia były wielokrotnie polewane wodą święconą.

W XIV wieku Mikołaj Eymerica w „Directorium inquisitorum” zalecał: „Ktokolwiek, będąc postawiony jako kacerz przed sądem, miesza się w zeznaniach i przeczy oskarżeniu, ma być wzięty na tortury. Kogo głos opinii wskazuje jako kacerza, a znajdzie się przeciw niemu jeden świadek, ma być wzięty na tortury... Gdy oskarżony mnie chce się przyznać, inkwizytor i biskup mają dać rozkaz rozebrania go, a słudzy sądowi mają ten rozkaz natychmiast wypełnić”.

Obecni przy torturowaniu księży – a nawet niektórzy kardynałowie – miewali czasem skrupuły, czy nie popełniają grzechu, gdy z ich polecenia przelewana jest krew więźniów. Dla uspokojenia ich sumień papież Paweł IV (1555-1559) wydał 29 kwietnia 1557 roku dekret: „bywa tak, że z ich głosowania bądź wyroku wynika kalectwo, przelanie krwi, a nawet śmierć, My dla bezpieczeństwa i spokoju ich sumień... udzielamy im władzy nie tylko wydawania postanowień dotyczących badania i tortury, ale także władzy wydawania wyroków z karą okaleczenia, przelania krwi i śmierci włącznie i to bez popadania w jakiegokolwiek cenzury i nieprawidłowości z tego powodu”.

Zaś 28 października 1557 roku papież Paweł IV udzielił generalnej dyspensy całemu personelowi Świętego Officium, aby nie czuł wyrzutów sumienia, gdy zajdzie potrzeba stosowania tortur.

Za Piusa IV, 10 września 1560 roku kardynałowie – inkwizytorzy wydali dekret polecający stosować tortury we wszystkich wypadkach, gdy badani nie odpowiadają na zadawane im pytania wyraźnym „tak” lub „nie” bądź w ogóle nie chcą odpowiadać.

W dekreście wydanym 13 lipca 1569, za pontyfikatu Piusa V (1566-1572), uznanego w 1712 roku za świętego, kardynałowie – inkwizytorzy nakazywali poddawać torturze wszystkich więźniów, którzy by rozmawiali z więźniami z innych cel. A 28 lipca 1569 roku papież Pius V wydał dekret nakazujący torturowanie wszystkich uznanych za heretyków, w celu wydobycia nazwisk i ich współwyznawców.

Za Grzegorza XIII, 4 września 1577 roku, kardynałowie – inkwizytorzy wyjaśnili, w jaki sposób należy rozumieć termin „według uznania”: „ilekroć nakazuje się oficjałom torturować kogoś według ich uznania, to należy przez to rozumieć nie tylko swobodę wyboru miejsca i rodzaju tortur, ale także i to, że mają oni prawo rozkładania tortury na dwa dni, dzieląc je dowolnie według własnego uznania”. Podręczniki inkwizytorskie wyraźnie stwierdzają, że rodzaje tortur nie były oznaczone przez prawo kanoniczne i zależały od upodobań sędziego, który miał prawo stosowania takich tortur, jakie uważał za najwłaściwsze.

„Praktyka urzędu Świętej Inkwizycji, czyli Święty Arsenał” – książka wydana w 1693 roku w Rzymie, autorstwa inkwizytora zakonu dominikanów Tomasza Menghiniego, dedykowana papieżowi Innocentemu XII (1691-1700), byłemu inkwizytorowi maltańskiemu i nuncjuszowi w Polsce, wylicza cztery rodzaje tortur.

Pierwszą grupę stanowiły tortury przez ogień. Bosc nogi oskarżonego pociągano smalcem, po czym wystawiano je na działanie silnego ognia; gdy męczony bardzo cierpiał, wstawiano między nogi a ogień deskę i zapytywano, czy się do winy przyznaje. Jeżeli dawał odpowiedź twierdzącą, przestawano go męczyć, jeżeli przeczącą – wyjmowano deskę i tortury rozpoczynano na nowo.

Drugą grupę stanowiły tortury zadawane przez zaśrubowanie nóg. Wkładano oskarżonemu żelazne trzewiki, które później coraz bardziej ścisano śrubami, aż do połamania kości.

Trzecią grupę stanowiły tortury zadawane za pomocą kawałków trzciny. Oskarżonemu związywano ręce i wciskano pomiędzy palce kawałki trzciny, po czym zaciskano mu dłonie.

Czwartą grupę stanowiło biczowanie, w tym biczowanie także nieletnich dzieci.

Kto odwołał zeznanie złożone podczas tortur, tego poddawano torturom po raz drugi. Kto publicznie ośmielił się stwierdzić, że zeznania jego zostały wymuszone torturami, tego palono żywcem jako heretyka recydywistę.

W każdym więzieniu inkwizycji krucyfik i ława tortur stały obok siebie. Warto przy tym pamiętać, że – jak pisze Wiliam E.H. Lecky w „History of the Rise and Influence of the Spirit of Rationalism in Europe” – we wszystkich prawie krajach zaprzestanie tortur natrafiało na opór ze strony Kościoła i wynikało właściwie z inicjatyw i działalności ludzi, których Kościół wyklął.

Członkowie sądu inkwizycyjnego odmawiali przed rozpoczęciem rozprawy modlitwę do Ducha Świętego, ale swej heretyckiej ofierze nie pozwalali na obronę – ani osobistą ani przez adwokata. Tymczasem – jak pisze Karlheinz Deschner w „Krytycznej historii Kościoła” – do wykazania winy wolno się było uciekać do wszelkich oszustw, istniało jednoznacznie sformułowane przyzwolenie na stosowanie takich metod.

Wyroki sądu inkwizycji ogłaszano publicznie, w trakcie kazania zamykającego postępowanie. Towarzyszyła im deklaracja znana na przykład z „Krótkiego podręcznika dla inkwizytorów w Carcassonne”: „Nie doprowadziliśmy, i z Bożą pomocą nigdy w przyszłości nie doprowadzimy, do skazania kogokolwiek bez jasnego i ewidentnego dowodu lub bez jego własnego wyznania”.

Jeżeli zapozwany przed inkwizycję kacerz przyznał się do błędu, to sprawa *ipso facto* kończyła się. Spowiednik wyznaczał pokutę, a skruszonych kacerzy karano na przykład postami, obowiązkiem odbycia pielgrzymki, trybutem pieniężnym. Kary były zróżnicowane – od jednej świecy dla ołtarza, po kosztowny udział w krucjacie, natomiast w kategorii karnej zaczynało od drobnej kary pieniężnej (zazwyczaj na utrzymanie więzień), chłosty, pręgierza, piętnowania, a kończono na więzieniu karnym, konfiskacie dóbr i banicji. Często nakazywano też pokutującym kacerzom znakowanie odzieży, po której byli rozpoznawalni. Warto przy tym podkreślić, że noszenie zewnętrznych oznak pochodzenia narzucił Kościół także Żydom, antycypując w ten sposób praktykę hitlerowską. I tak, na przykład, nakazywano nawróconym kacerzom naszywanie na wierzchnim odzieniu złotego krzyża – kolor ten symbolizował zdradę Judasza. Kara ta, znana od synodu w Tuluzie w 1229 roku, czasami dosięgała winnego jeszcze po śmierci, kiedy to oznakowane i podpisane jego imieniem ubranie wieszano w kościele parafialnym. Podobną karą był tak zwany płaszcz wstydu – rodzaj okrycia od głowy do ziemi, wykonanego z metalu lub – częściej – z drewna, z którego skazaniec o własnych siłach nie mógł się uwolnić.

Średniowieczni inkwizytorzy stosowali dwa rodzaje uwięzienia. Pierwsze, *murus largus*, polegało na skazaniu winnego na pobyt w klasztorze, z rygorystycznie ograniczonym prawem poruszania się, drugie, *murus strictus* – na zamknięciu w celi klasztornej, przy czym odosobnienie to stosowano jako karę typowo pokutną. W jednym i drugim przypadku więzień otrzymywał minimalną porcję żywności i miał zakaz kontaktowania się ze światem

zewnątrznym (dopuszczalne były jedynie wizyty współmałżonka). Wydawane wyroki były z reguły dożywotnie, na ogół jednak je skracano.

Jeśli kacerz trwał nadal przy swych przekonaniach, wówczas inkwizycja przekazywała winowajcę w ręce władzy świeckiej, co zawsze pociągało za sobą karę śmierci – na stosie.

Ceremonia przekazania skazańca władzy świeckiej była bardzo rozbudowana. Rozpoczywały się nabożeństwa, kazania misyjne. Był to czas na publiczne akty wyznania błędów przez nawróconych herezjarchów i pojednanie ich z Kościołem. Po nich raz jeszcze wzywano skazanych do uznania błędów, a dopiero potem, po ostatecznej odmowie, czytano publicznie akty spraw i wyroki. Wtedy następował akt ekskomuniki. Skazanego przekazywano władzy świeckiej, która raz jeszcze go sądziła, egzekucja zaś następowała nie wcześniej niż dnia następnego. Cała pierwsza część ceremonii, część ściśle religijna, nazywała się w Hiszpanii aktem wiary, czyli *auto-da-fé*.

Egzekucje kacerzy wykonywane były na ogół w dni świąteczne. I traktowane były jako demonstracja nieograniczonej władzy Kościoła. Heroldowie zapraszali lud, drogo liczono sobie za miejsca w oknach, a każdy wierny, który nosił drewno na stos, otrzymywał odpust zupełny. Drogę na miejsce egzekucji ofiara odbywała często w czapce błżeńskiej, szczypano nieszczęśnika rozżarzonymi obcęgami, a czasem pozbawiano go prawej ręki. Jedynie w wyjątkowych wypadkach – i była to wielka łaska – duszono ofiarę przed straceniem. W czasie, gdy heretyk – zależnie od kierunku wiatru – albo się dusił, albo powoli płonął, zgromadzeni katolicy śpiewali pieśń „Chwalimy Cię, wielki Boże”.

Dlaczego śmierć na stosie? Otóż intencją spalenia na stosie było niedopuszczenie do tego, by ofiara zmartwychwstała w dniu Sądu Ostatecznego. Stąd też nawet ekshumowano szczątki kacerzy i rzucono je w ogień – co spotkało Amalryka z Beny (zmarłego około 1206 roku). Mienie straconych było konfiskowane przez Kościół, a ich wydziedziczeni potomkowie przez trzy pokolenia uchodzili za ludzi niegodnych.

Tak między innymi na stosie zginął w 1415 roku w Konstancji Jan Hus. Ubrano go w wysoką papierową czapkę w kształcie tiary z namalowanymi diabłami i napisem: „arcyheretyk”. Kiedy zapalono stos, zaczął śpiewać: „Jezu, Synu Dawida, zmiłuj się nade mną”. Spalone na proch ciało Husa zebrano razem z ziemią i wrzucono do Renu.

Jego uczeń Hieronim z Pragi, podążył za swym mistrzem do Konstancji i tu go pochwycono. Początkowo zaparł się nauk Husa i wtrącono go na trzysta czterdzieści dni do więzienia. „Obchodziliście się ze mną gorzej niż z Turkiem, Żydem czy poganinem. Moje ciało zaczęło się dosłownie rozkładać, zostawiając na wierzchu gołe kości” – mówił swym oprawcom w czasie przewodu sądowego, kiedy zdecydował się odwołać potępienie Husa i jego nauk. Zginął na stosie jak jego mistrz. Na stosie spalono też w 1600 roku Giordano Bruna, (o czym mowa w oddzielnym rozdziale). I tysiące innych.

Nie wiemy do dziś, ile wydano wyroków inkwizycji, jakie były proporcje między karami. Zachowały się tylko fragmentaryczne dane, a Stolica Apostolska nikomu, kto pragnąłby zgłębić ten problem, nie chce udostępnić swych archiwów.

Wiemy na przykład, że Bernard Gui w XIII wieku w ciągu szesnastu lat swojej działalności inkwizytorskiej orzekł winę wobec dziewięćset trzydziestu oskarżonych przez siebie osób. Czterdzieści dwie z nich wydano w ręce świeckie dla egzekucji (dalszych trzech wyroków nie wykonano, gdyż oskarżeni uciekli). Najwięcej, bo aż trzysta siedem osób, zostało ukaranych więzieniem.

Bernard de Caux w latach 1245-1246 prowadził dochodzenie inkwizycyjne w okolicach Lauragais i Lavour w Langwedocji. Pod jego kierownictwem przesłuchano pięć tysięcy siedemdziesiąt jeden osób, z których dwadzieścia trzy zostało skazanych na więzienie, a sto osiemdziesiąt cztery otrzymało kary pokutne.

Zachowane z drugiej połowy XIII wieku archiwalia z dochodzeń inkwizycyjnych w Tuluzie wskazują, że orzeczenia kary śmierci stanowiły w tym czasie jeden procent ogólnej liczby wyroków, zaś piętnaście procent – to wyroki dożywotniego więzienia.

Odrębną sprawą było prześladowanie przez inkwizycję osób posądzonych o wiarę w zabobony. O tym traktuje rozdział o czarownicach.

Inkwizycja spleta się też ze sprawą prześladowań Żydów. Jurysdykcja średniowiecznych inkwizytorów nie obejmowała wprawdzie wyznawców judaizmu, z definicji, bowiem dotyczyła jedynie oskarżeń o herezję, a więc ograniczała się do grona ludzi ochrzczonych. Żydów mogła objąć jedynie w oparciu o p[ostawiony im zarzut wspierania czy uprawiania czarów – co też miało miejsce.

Inkwizycja obejmowała jednak Żydów, którzy pod przymusem przyjęli chrześcijaństwo i stali się „nawróconymi”, czyli *conversos*. Stało się to na progu czasów nowożytnych, kiedy rodziła się inkwizycja hiszpańska.

Jeżeli Żyd został ochrzczony, a następnie powrócił do swojego poprzedniego wyznania, traktowano go już nie jako wyznawcę judaizmu, lecz jako chrześcijanina – odstępcę. Kiedy Żyd staje się heretykiem – zdefiniował to trybunał w Pamiers w południowej Francji w 1320 roku przy okazji procesu niejakiego Barucha, ochrzczonego Żyda, oskarżonego o potajemne praktykowanie swej dawnej wiary. – Ano wtedy, kiedy przyjął chrześcijańską wiarę nie protestując publicznie przeciw użyciu siły, gdy zanurzano go w chrzcielnicy, a potem znów wrócił do judaizmu.

Hiszpania była terenem, w którym od lat czterdziestych XV wieku oskarżenia oraz wystąpienia przeciw *conversos* zaczęły się mnożyć. W 1462 roku król Kastylii, Henryk IV (1454-1474), mianował pierwszych w historii kastylijskich inkwizytorów. Ich siedzibą było Toledo.

W 1477 roku królowa Izabela i jej mąż Ferdynand zwrócili się do papieża Sykstusa IV (1471-1484) z prośbą o wydanie specjalnej bulli powołującej do życia inkwizycję, co też papież 1 listopada 1478 roku uczynił. Wybór inkwizytorów pozostawił monarchom. NA siedzibę inkwizycji wyznaczono Sewillę. W połowie października 1480 roku inkwizytorzy przystąpili do pracy, a rok później wykonano pierwsze wyroki śmierci.

W 1482 roku powołano nowe trybunały w Cordobie, a w roku następnym w Ciudad Real i Jaen. W 1483 roku Ferdynand i Izabela powołali do życia Consejo de la Suprema y General Inquisicion (Radę Najwyższej i Generalnej Inkwizycji) – co przyczyniło się do przekształcenia instytucji kościelnej w państwową, królewską. Było to jedno z ministerstw ówczesnego królestwa Hiszpanii – obok Rady Państwa, Finansów, Kastylii i Aragonu. Prezydentem został mianowany Tomas de Torquemada i to on opracował pierwsze *instrucciones*, którymi miały się kierować w swej pracy wszystkie lokalne trybunały hiszpańskiej inkwizycji. Rada wymagała od nich wysyłania sprawozdań ze wszystkich dochodzeń, a od początku XVII wieku zastrzegła sobie prawo wydawania wyroków.

Równoległe odnowił Ferdynand inkwizycję w Aragonie, przecinając natychmiast jakiegokolwiek więzy łączące ją z władzą kościelną – papieską, biskupią czy zakonną – a podporządkowując ją ściśle koronie. Dnia 17 października 1483 roku mianował Torquemadę Generalnym Inkwizytorem Aragonu, Walencji i Katalonii, łącząc ostatecznie aragońską i kastylijską inkwizycję pod jednym zwierzchnictwem, sprawowanym przez królewskiego ministra.

Od 1500 roku stosowano w Hiszpanii tak zwany edykt wiary, czyli ogłoszenie ekskomuniki wszystkich, którzy zatają herezję – swoją lub cudzą. To spowodowało istotną lawinę denuncjacji, a zwłaszcza samooskarżeń i dochodzeń. Inkwizycja hiszpańska wydała w latach 1550-1800 od trzech do czterech tysięcy wyroków śmierci, na ponad dwieście tysięcy dochodzeń – z czego cztery piąte przypada na pierwszych trzydzieści lat działalności. Wobec

winnych stosowano na przykład: konfiskatę mienia, uwięzienie, wygnanie, chłostę, galery, odbycie pielgrzymki czy noszenie wyróżniającego stroju.

W Hiszpanii obserwowano szczególne nadużycia inkwizycji, która uległa wpływom rządowym. Papieże ponawiali protesty, wciąż kasowali wyroki trybunałów hiszpańskich, na przykład Innocenty VIII (1484-1492) skasował około dwustu wyroków w ciągu jednego roku, Aleksander VI (1492-1503) dwieście pięćdziesiąt w 1498 roku. Paweł II (1464-1471), Pius IV (1559-1565), Grzegorz XIII (1572-1585), Innocenty XII (1691-1700) ciągle zajmowali wobec roszczeń rządu hiszpańskiego oporna pozycję. Różnica zdań była tak wielka, że doprowadziła do ostrego sporu, w wyniku, którego rząd Hiszpanii postanowił zaprowadzić cenzurę, wstrzymał ogłaszanie komunikatów papieskich, a nawet posunął się tak daleko, iż groził śmiercią tym wszystkim, którzy pomocy Rzymu wzywali. W 1509 roku nowy edykt rządowy nakładał wręcz karę śmierci za ogłaszanie w Hiszpanii aktów Stolicy Apostolskiej, skierowanych przeciwko inkwizycji. Doszło wreszcie do tego, że w roku 1519 papież Leon X (1513-1521) wyklął, wbrew woli Karola V, nie tylko wielkiego inkwizytora hiszpańskiego, ale i jego wszystkich pomocników.

Według księdza Lloriente, opisującego dzieje inkwizycji, z wyroku hiszpańskich trybunałów stracono 234 526 ofiar. Z tego blisko dziesięć tysięcy było spalonych *in effigie* (to znaczy w wizerunku, bo winowajcy umknęli, a palono ich portrety lub ich kukły), zaś 206 546 osób skazano na pokuty kościelne.

Inkwizycja portugalska powstała pół wieku później niż hiszpańska, a powodem jej powołania był masowy napływ do Portugalii najpierw *conversos*, a potem innych uciekających Żydów. Począwszy od XVI wieku nowy portugalski władca Joao III zaczął aktywnie zabiegać na dworze papieskim o utworzenie inkwizycji w swoim kraju. Pierwsze *auto-da-fé* odbyło się w tym kraju w roku 1540. Działająca przez dwieście dwadzieścia lat, do 1760 roku, inkwizycja portugalska przeprowadziła trzydzieści tysięcy procesów. W ich wyniku tysiąc sto siedemdziesiąt osób zostało skazanych na śmierć (dalszych sześćset trzydzieści trzy spalono *in effigie*).

W drugiej połowie XVIII wieku inkwizycja hiszpańska zaczęła być postrzegana w Europie nie jako narzędzie walki z herezją, ale jako wróg jakiegokolwiek prawdy, wolnej myśli, kultury, nauki i sztuki. „Morderczyni Rozumu i Dusicielka Mądrości” została zlikwidowana 4 grudnia 1808 roku przez Józefa Bonaparte, który jednocześnie skonfiskował jej majątek. Wskrzeszona została w 1814 roku przez Ferdynanda VII, działała, a raczej egzystowała, jeszcze przez pełne dwadzieścia lat jako symbol hiszpańskiego oporu wobec jakichkolwiek zmian. Regentka Maria Krystyna, w imieniu Izabeli II, rozwiązała ją ostatecznie 15 lipca 1834 roku.

Hiszpania to był jeden biegun inkwizycji europejskiej. Na drugim biegunie była Polska. Pierwsi stali inkwizytorzy na ziemiach polskich zostali mianowani dopiero przez papieża Jana XXII (1316-1334) w roku 1318. Było to bardziej działanie rutynowe niż faktyczna potrzeba, bowiem większość ustaw synodalnych z XIII i XIV wieku na temat herezji milczała, podobnie jak nie odnotowywano jej przed Janem Długoszem dziejopisarstwo polskie.

Jednak na nienależących w owym czasie do Polski ziemiach Śląska i Pomorza odbyło się trochę procesów. I tak, na przykład, w 1315 roku w Świdnicy spalono na stosie pięćdziesiąt osób oskarżonych o waldyzm.

Dla polskiego Kościoła pierwsze poważne wyzwanie doktrynalne stanowił dopiero husytyzm. Król Polski i Litwy, Władysław Jagiełło, w edyktie wieluńskim z 1424 roku uznał herezję – po raz pierwszy w polskim prawodawstwie – za zbrodnię obrazy majestatu i zobowiązał „starostów, rajców miast lub innych urzędników oraz wszystkich poddanych, czy to piastujących urzędy czy nie, do pomocy w schwytaniu heretyków dla wymierzenia im kary stosownej do ich występku”. Papieska inkwizycja zaistniała, więc w Polsce w średniowieczu

stosunkowo późno i nigdy nie rozwinęła aktywności porównywalnej z krajami zachodniej Europy. Podobnie było w czasach Reformacji. Wprawdzie synody w Łęczycy (1527) oraz w Piotrkowie (1532) żądały od biskupów stosowania surowych form walki z herezją na wzór hiszpański, z ustanowieniem inkwizytorów w diecezjach włącznie, w praktyce działalność inkwizycji była jednak mało widoczna. Ściganiem herezji zajmowały się nie sądy inkwizycyjne, lecz biskupie, spod których jurysdykcji w roku 1552 wyłączono szlachtę. Działalność inkwizycji ustała ostatecznie za czasów Zygmunta Augusta. Ostatni inkwizytor Melchior z Mościsk zmarł w 1591 roku.

Instyucją nie uniwersalną, a lokalną, funkcjonującą na terenie Państwa Kościelnego, była Inkwizycja rzymska, którą 4 lipca 1542 roku papież Paweł III (1534-1549) powołał do życia bullą „Licet ab initio”. Tworzyło ją sześciu kardynałów. Pierwszym jej generalnym inkwizytorem został kardynał Gian Pietro Carafa, zdecydowany przeciwnik jakiegokolwiek kompromisu z protestantami, który w 1555 roku został papieżem Pawłem IV (1555-1559), przez co ranga inkwizycji w strukturach Kościoła wzrosła. Inkwizycja Rzymska bardziej zbliżona była do tradycji inkwizycji średniowiecznej niż hiszpańskiej, odróżniał ją też od tamtej fakt, że wyroki ogłaszane były nie publicznie, a *modo privato*, czyli zainteresowanym stronom.

W 1588 roku papież Sykstus V (1585-1590) podniósł Inkwizycję Rzymską do rangi kongregacji (jednej z piętnastu), jej kompetencje ograniczały się bezpośrednio do Państwa Kościelnego. Głównym jej celem była walka z reformacją. Potem ustąpiła ona pola wewnętrznej dyscyplinie kościelnej, walce z bluźnierstwem i bigamią. W XVII wieku blisko czterdzieści procent prowadzonych przez rzymski trybunał dochodzeń (podobnie jak wszystkich włoskich trybunałów) dotyczyło oskarżeń o czary. Pierwszy raz Inkwizycję Rzymską obalono w roku 1798, po raz drugi – po włączeniu Państwa Kościelnego do Cesarstwa Francuskiego w czasach Napoleona. Wskrzeszona po kongresie wiedeńskim, stała się – zwłaszcza przy końcu ubiegłego wieku – bardziej doradczym niż wykonawczym organem papieża w sprawach doktrynalnych (rolę wykonawczą w znacznej mierze przejęła Kongregacja Indeksu). W 1908 roku została przemianowana przez papieża Piusa X (1903-1914) na Kongregację Świętego Oficjum, a w roku 1965 ponownie – przez Pawła VI (1963-1978) – na Świętą Kongregację Doktryny Wiary. Rok później przez tego samego papieża został zniesiony „Indeks ksiąg zakazanych” (Kongregacja Indeksu powstała w 1571 roku za papieża Piusa V).

Kiedy dziś myślimy o inkwizycji, musimy pamiętać, że nieomal cała Europa była przez wieki skąpana we krwi przelewanej z bezpośredniej inspiracji, albo przynajmniej z pełną akceptacją katolickich władz duchownych. Kościół rzymskokatolicki przysporzył ludziom większych cierpień niż jakakolwiek inna religia. Głową Kościoła był niejeden inkwizytor i jeszcze w roku 1867, za pontyfikatu Piusa IX (1846-1878), dostąpił kanonizacji wyjątkowo okrutny inkwizytor hiszpański, Pedro Arbues. Myśląc o inkwizycji musimy też pamiętać, że podstawowe prawa zagwarantowane w Deklaracji Praw Człowieka – powszechne równouprawnienie oraz wolność myśli, słowa i prasy, zwłaszcza w kwestiach religijnych – zostały już w breve Piusa VI (1775-1799) „Quod aliquantum” z 10 marca 1791 roku potępione jako „potworności”. A w 1832 roku Grzegorz XVI (1831-1846) uznał wolność sumienia za „szaleństwo”.

Vittorio Messori w „Czarnych kartach Kościoła” – książce opublikowanej za pozwoleniem Władzy Duchownej w Mediolanie w 1992 roku, a w Polsce w 1998 roku – obłudnie pisze: „inkwizycja nie powstała jako instytucja przeciwna ludowi, lecz miała odpowiedzieć na jego wątpliwości. W społeczeństwie, dbającym przede wszystkim o zbawienie wieczne, herezja postrzegana była (począwszy od ludzi światłych, a na niepiśmiennych skończywszy) jako zagrożenie (...). Dla ludzi średniowiecza heretyk był >>wielkim zakazicielem<<, nieprzyjacielem zbawienia duszy, osobą, która ściągała boską

karę na całe społeczeństwo. Dlatego dominikanin, jak to dokumentują przekazy źródłowe, który przybywał, aby heretyka odłączyć od społeczeństwa i unieszkodliwić, wcale nie był kimś >>znieawidzonym<<, lecz przyjmowany był z ulgą i przy powszechnym poparciu”. Czyż nie jest to szczyt hipokryzji? Szczególnie wobec faktu publicznego wyznania win i błędów Kościoła w Dniu Pojednania, to jest 12 marca 2000 roku.

Papież Jan Paweł II, który celebrował mszę w bazylice, św. Piotra, wymienił wśród najcięższych grzechów Kościoła podziały wśród chrześcijan, wojny religijne, nieufność i tolerancję wobec innych kultur i religii. „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” – mówił Jan Paweł II. „Nawet, jeśli sami nie ponosimy winy za grzechy przeszłości, bierzemy na siebie ciężar win popełnionych przez naszych przodków” – dodał. Głównym punktem liturgii była modlitwa wiernych, podczas której pięciu kardynałów i dwóch biskupów prosiło o wybaczenie najważniejszych win, a potem zapaliło siedem lamp. Odpowiadał im sam papież. Grzech szerzenia wiary przemocą, czyli metodami sprzecznymi z Ewangelią, wyznał kardynał Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, która jest kontynuacją Świętej Inkwizycji. Za podziały w łonie chrześcijaństwa przepraszał przewodniczący Komitetu Wielkiego Jubileuszu Roku 2000, kardynał Roger Etchegaray. O grzechach antysemityzmu i prześladowania Żydów mówił kardynał Edward Idris Cassidy, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, w której skład wchodzi Komisja do spraw Kontaktów Religijnych z Judaizmem. Przypomniano też grzechy przeciwko prawom narodów i mniejszości etnicznych, przeciwko godności kobiety, przeciwko dzieciom – ofiarom nadużyć seksualnych. Wierni wypełniający bazylikę w Watykanie przyjmowali te słowa w absolutnym milczeniu. Na zakończenie liturgii z ust Jana Pawła II padły słowa: „Nigdy więcej!”.

Bez wątplenia był to akt historyczny. Po raz pierwszy papież wypowiedział słowa, na które ludzkość czekała od wieków. Jednak prosił jedynie o przebaczenie za grzechy popełnione przez chrześcijan w minionych wiekach wobec swych współbraci w wierze i wobec wyznawców innych religii. Nie prosił o przebaczenie za grzechy popełnione przez Kościół, który metody przemocy w realizowaniu swej misji uznał za prawo przynależne mu od Boga. I nie wiem, czy kiedykolwiek doczekamy się takiego aktu skruchy.

Mord mnichów

Jest takie powiedzenie: „Jak wiesz, o co chodzi w jakiejś sprawie, na pewno chodzi w niej o pieniądze”. Historia zakonu templariuszy i tragiczny kres tego zgromadzenia wydaje się to potwierdzać. Gdy szpitalnicy – pielęgnując pielgrzymów, ludzi chorych, starych i ułomnych – zaskarбили sobie powszechnie dobrą opinię, to Rycerze Świątyni już w Ziemi Świętej, a jeszcze przed swym, jednym z najbardziej skandalicznych w historii procesem, z racji prowadzonej działalności bankowej pomawiani byli o pychę i skąpstwo. Ich szkatułą i majątkami ziemskimi w równym stopniu zainteresowani byli Filip IV Piękny, król Francji, jak i papież Klemens V – kukiełka w rękach tego władcy o pięknym obliczu i niepięknym charakterze. Rozwiązanie zakonu templariuszy podyktowane zostało Klemensowi V przez Francuzów, ale zbrodnia dokonana na Rycerzach Świątyni w imieniu Chrystusa obciąża w jednakowym stopniu zarówno władcę zasiadającego na Piotrowej Stolicy, jak i wnuka Ludwika Świętego. Ich ręce splamione są krwią niewinnych, zaś emocje, wywołane myślą o zdeprawowanym, dopuszczającym się haniebnych praktyk zakonie, wstrząsnęły całym chrześcijaństwem. Jeszcze większego wstrząsu doznało ono, gdy przekleństwo rzucone ze stosu przez Jakuba de Molay sprawdziły się.

Ten ostatni, wielki mistrz templariuszy, 18 marca 1314 roku przeklął Klemensa V, Filipa IV i jego strażnika pieczęci, Wilhelma de Nogaret, do trzynastego pokolenia i powołał wszystkich trzech, aby zanim upłynie rok, stawili się przed Sądem Bożym.

Papież Klemens V zmarł zaledwie w miesiąc po śmierci mistrza templariuszy, w nocy z 19 na 20 kwietnia 1314 roku. Filip Piękny zaś – rażony apopleksją 4 listopada tego samego roku – zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat. Po dwudziestu dziewięciu latach spiszowych rządów „Król z Żelaza”, jak nazwał go Maurice Druon w „Królach przeklętych”, skonał rażony w mózg, a śmierć nastąpiła w niespełna sześć miesięcy po zgonie strażnika pieczęci, Wilhelma de Nogaret. Trzej synowie Filipa IV Pięknego zmarli nie zostawiając męskich potomków. I w ten sposób – po trzystu latach władania Francją, w trzynaste lat po klątwie rzuconej przez Jakuba de Molay – zgasła dynastia Kapetyngów.

Historia powstania zakonu templariuszy wiąże się z Ziemią Świętą. Przed przybyciem pierwszych krzyżowców działał w Jerozolimie mały zakon, który prowadził ufundowane przez kupców z Amalfi hospicjum, zapewniając dach nad głową przybywającym do Bożego Grobu pielgrzymom. I oto Gerard, przełożony tego hospicjum, przekazał oblegającym Jerozolimę krzyżowcom plan miasta i informacje o jego systemie obrony. Wspierał też podczas oblężenia ich inne poczynania, za co po zdobyciu miasta mnichów tego zakonu sownie nagrodzono ziemią, i drogocennymi klejnotami.

W 1118 roku nowy przeor zgromadzenia, francuski szlachcic, wasal hrabiego Szampanii, Hugues de Payns uznał, że zakon powinien przyjmować w swe szeregi także rycerzy. Zwrócił się w tej sprawie z petycją do króla Jerozolimy Baldwina II, prosząc go w imieniu swoim oraz ośmiu innych rycerzy o zgodę na utworzenie nowego zakonu rycerskiego. Po uzyskaniu zgody członkowie nowego zakonu złożyli śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa patriarsze Jerozolimy. Ustalono też, że w przeciwieństwie do szpitalników, nowy zakon miał poświęcić się wyłącznie zbrojnej ochronie przybywających do świętych miejsc pielgrzymów. Pomysł zrealizowano, a zakon przyjął nazwę zakonu Szpitala Świętego Jana.

W początkach działalności zakon był czymś w rodzaju klubu przyjaciół hrabiego Szampanii. Wszyscy jego członkowie – założyciele byli wasalami hrabiego, a sam Hugon de Payns nadto – jego kuzynem. André de Montbard, który w przyszłości miał zostać piątym wielkim mistrzem, był z kolei wujem Bernarda – opata cystersów w Clairvaux – najbardziej wpływowego człowieka w Kościele tamtych czasów, nazywanego też „drugim papieżem”.

Wkrótce Hugon de Payns wystąpił do papieża Gelazego II o zatwierdzenie nowej reguły. Kiedy ten ją zatwierdził, rozochoceni bogactwem i nieoczekiwanym wzmocnieniem swej pozycji zakonnicy uznali, że dotychczasowy patron Święty Jan Jałmużnik już im nie wystarcza. Ogłosili, że odtąd ich patronem będzie święty Jan Chrzciciel.

Początkowo, w 1119 roku, król Baldwin II przyznał zakonnikom jedynie salę w swojej siedzibie znajdującej się na terenie dawnej Świątyni Salomona, którą później muzułmanie przekształcili w meczet Al.-Aksa. Ale kiedy w kilka lat później król ze swym dworem przeniósł się do Wieży Dawida, pozostawił im całą rezydencję – Templum Salomonis. I odtąd zakon przyjął nazwę Zakonu Świątyni.

Przez pierwsze dziesięć lata swego istnienia nowy zakon niewiele zdziałał. Nie ma nawet zapisów świadczących, że przyjmował nowych członków. Przełom nastąpił dopiero w 1127 roku, kiedy król Baldwin II napisał list do Bernarda z Clairvaux (późniejszego świętego). Baldwin II prosił Bernarda, aby ten użył swoich wpływów i skłonił papieża Honoriusza II, jego ucznia, do uznania kolejnej metamorfozy zakonu i ustalenia dlań nowej reguły.

Bernard oddał mu tę przysługę. Pomógł też w ostatecznie sformułować regułę zakonu templariuszy, opierając się na regule własnego zakonu cystersów, która z kolei wywodziła się

z dużo starszej reguły benedyktynów. Istota reguły templariuszy, podobnie jak benedyktynów, opierała się na trzech ślubach: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa.

Co do czystości, to ślubował ją każdy zakonnik. Ale reguła templariuszy była szczególnie surowa. Templariusz nie mógł nawet dotknąć jakiegokolwiek kobiety – choć była jego własną matką czy siostrą. Nie pochwalano też rozmów z przedstawicielami płci przeciwnej, a z biegiem lat coraz częściej ich wręcz zabraniano.

Ciało uznano za grzeszne, tym bardziej należało je utrzymywać w moralnej czystości. Ale tylko moralnej – reguła, bowiem wykluczała przestrzeganie zasad zwykłej higieny, zabraniając templariuszom kąpieli. Nigdy nie wolno im było zdejmować kalessonów z wyprawionej skóry owczej, a zakaz ten traktowano jako wzmocnienie prohibicji seksualnej. Żaden templariusz nie mógł pozwolić nikomu, zwłaszcza drugiemu templariuszowi, oglądać własnej nagości. W domach noclegowych całą noc miało palić się światło, które rozpraszając ciemności, uniemożliwiałoby ewentualne próby kontaktów homoseksualnych.

Co do ślubu ubóstwa, to każdy nowo wstępujący musiał zakonowi oddać cały swój majątek. Jeśli nie posiadał i nie mógł wnieść nieruchomości, oczekiwano od niego rodzaju pieniężnego posagu. A kiedy kandydat stawał się już templariuszem, nie wolno mu było posiadać ani osobistych pieniędzy, ani kosztowności. Nie wolno mu było nawet mieć własnych książek. Jeśli trafiały się jakieś łupy wojenne, w całości przejmował je zakon. Temu nakazowi reguły przypisywano tak duże znaczenie, że gdy po śmierci templariusza wychodziło na jaw, iż miał on jakieś własne pieniądze lub nieruchomości, usuwano go z zakonu pośmiertnie, co pozbawiało go prawa do chrześcijańskiego pochówku.

Zasada ubóstwa określała też postępowanie w innych sprawach. Jeśli templariusz dostał się do niewoli, nie wolno było używać środków materialnych zakonu jako okupu. W efekcie tego zakazu templariusze byli przez muzułmanów mordowani; Arabowie wiedzieli, że nie doczekają się okupu, a za darmo żywić ich nie myśleli. Ale też darzyli ich respektem. Kronikarz arabski Ibn-al-Asir zanotował: „Ci rycerze byli ludźmi bogobojnymi i dotrzymywali wierności danemu słowu”.

Obowiązkiem każdego templariusza było bezwzględne posłuszeństwo wobec zwierzchników. A kiedy w dwadzieścia jeden lat po powstaniu zakonu Rycerze Świątyni otrzymali od papieża Innocentego II przywilej, uwalniający ich spod jurysdykcji biskupiej (odtąd zakon miał odpowiadać tylko przed papieżem), to za nieposłuszeństwo opracowali własny system kar – do kary śmierci włącznie. Na przykład w świątyni templariuszy w Londynie istniała bardzo ciasna cela więzienna. Za nieposłuszeństwo wobec mistrza zakonu wtrącono do niej brata marszałka ziemi irlandzkiej. Trzymano go w tej ciasnocie, gdzie nie mógł ani stanąć wyprostowany, ani się wyciągnąć, aż zmarł śmiercią głodową.

Templariuszy nie obowiązywało prawo krajów, w których zdarzało się im rezydować. Ich postępowanie wyznaczała tylko reguła zakonu, a jedynym autorytetem byli ich zakonni zwierzchnicy. Ze ślubem posłuszeństwa związany był też brak prawa do prywatności. Jeśli templariusz otrzymał list, musiał go odczytać publicznie.

Ze ślubu posłuszeństwa wynikały też o wiele bardziej istotne konsekwencje. Templariuszowi z pola bitwy nie wolno się było wycofywać; mogło do tego dochodzić dopiero w sytuacji, gdy przeciwnik posiadał przewagę w stosunku, co najmniej trzech na jednego, ale nawet i wówczas trzeba było czekać na rozkaz odwrotu. Templariusze służyli pod sztandarem zwanym Beau Seant, uszytym z dwóch pasów: czarnego, symbolizującego świat grzechu, i białego – oznaczającego czystość. Ich zawołaniem wojennym był okrzyk: „Bądź dzielny! Bądź wspaniały!”. Nie było to ciche hasło. Odwaga templariuszy była muzułmanom powszechnie znana i podziwiana.

Templariusze walczyli aż do czasu całkowitej utraty chrześcijańskiego królestwa Jerozolimy. Nigdy też nie wyrzekli się wiary, nawet, jeśli cena za to miała być śmierć. Szczególnie szczyli się historią, która zdarzyła się w 1266 roku. Wówczas to musieli

poddać po długim oblężeniu należący do nich zamek Safad. Otrzymali w zamian zapewnienie sułtana Bejbarsa Rukn ad-Dina, że będą się mogli wycofać do Akki. Ten jednak po zajęciu twierdzy nie dotrzymał słowa i postawił templariuszy przed wyborem: albo przejdą na islam, albo zginą. Dowódca garnizonu wezwał wówczas współbraci, by nie wypierali się wiary. Dowódcę schwytano, rozebrano, a potem na oczach towarzyszy, żywcem obdarto ze skóry. Templariusze, nieporuszeni męczeńską śmiercią swego dowódcy, zgodnie wybrali topór zamiast wyrzeczenia się krzyża. Historie tę przypominano każdemu nowoprzyjętemu templariuszowi, jako przykład nabożności i poświęcenia jego poprzedników, poświęcenia tym większego, że już wtedy łacińskie królestwo Jerozolimy było sprawą przegraną.

Templariusze mieli swą hierarchię. Najwyżej stali bracia – rycerze, którymi mogli być ludzie wolni, wywodzący się ze szlachty. Wyróżniał ich strój w postaci białego płaszcza, do którego przyszywano później czerwony, prosty krzyż; płaszcz ów był symbolem nowego życia w czystości, na które decydował się każdy rycerz zakonu.

Do drugiej klasy, braci służebnych lub serwientów, należeli przedstawiciele wolnych stanów średnich. Do ich obowiązków, oprócz powinności żołnierskich, należała służba wartownicza, zajmowanie się końmi, zaopatrzeniem itp. Ich strojem był czarny lub ciemnobrązowy płaszcz z czerwonym krzyżem.

Trzecią klasę stanowili księża pełniący funkcje zakonnych kapelanów. A ponieważ jako jedyni z trzech klas byli piśmienni, pełnili rolę skrybów i opiekowali się dokumentami zakonu, a także byli odpowiedzialni za inne, poza militarne zadania. Ich ubiorem był zielony płaszcz z czerwonym krzyżem, a żeby utrzymać ręce w czystości, gdyż w chwili mszy „dotykali Boga”, nosili, na co dzień rękawiczki. Ojcowie duchowni całkowicie golili włosy, podczas gdy rycerze mieli obowiązek strzyc się na krótko, za co brodom pozwalali rosnąć w sposób nieograniczony.

Reguła pozwalała templariuszom tylko na dwa posiłki dziennie. Dopuszczała jednak spożywanie mięsa, czego zabraniały reguły innych zakonów, mięso, bowiem dawało rycerzom – zakonnikom siłę do walki. Podczas posiłków trzeba było milczeć.

Taka oto regułę opracował dla templariuszy Bernard z Clairvaux.

Przekonany przez niego papież Honoriusz II zwołał w 1128 roku w stolicy Szampanii, w Troyes, synod, w którym uczestniczył Hugon de Payns wraz z pięcioma templariuszami. Synod nie tylko zatwierdził nową regułę zakonu, ale „namaścił” działalność templariuszy. Wówczas to, w dowód uznania ważności ich misji, król Francji darował im pierwszą posiadłość. Właśnie w Szampanii stanęła ich pierwsza na terenie Francji preceptoria. W ślady swego monarchy poszło wielu francuskich wielmożów.

Angielski król Stefan, ojciec uczestnika pierwszej krucjaty, Stefana z Blois, także obiecał templariuszom swoje poparcie. Obdarował ich znaczną sumą pieniędzy i umożliwił prowadzenie rekrutacji w Anglii i Szkocji. Prezenty możnowładców angielskich, nie sprowadziły się wyłącznie do złota i srebra. Templariusze otrzymali także posiadłości ze znakomitą ziemią uprawną, stanowiącą źródło ciągłych dochodów; m.in. Matylda, żona Stefana, podarowała im cenną posiadłość w Cressing, w hrabstwie Essex.

W wydanej 29 marca 1139 roku bulli „Omne datum optimum” papież Innocenty II zwolnił templariuszy od płacenia dziesięciny. Był to bardzo hojny gest, gdyż w owym czasie spośród zgromadzeń zakonnych jedynie cystersi cieszyli się podobnym przywilejem.

Wielkim orędownikiem templariuszy został Bernard. Namawiał mężczyzn z dobrych rodzin, aby porzucili grzeszny styl życia i chwycili w dłonie miecz i krzyż, jak czynią to Rycerze Świątyni. To właśnie św. Bernard ogłosił, że służba w zakonie, łącząc przestrzeganie ślubów z nieustannym narażaniem się na kalectwo lub śmierć za świętą sprawę – jest wystarczającym zadośćuczynieniem za wszystkie dotychczasowe grzechy. W zakonie widziano, więc chętnie morderców, złodziei, nierządników, a nawet heretyków, pod warunkiem, że porzucali poprzedni, grzeszny żywot i składali śluby zakonne.

Hugon de Payns opuścił Jerozolimę jako członek skromnego, liczącego zaledwie dziewięciu rycerzy, zgromadzenia. Wrócił dwa lata później jako wielki mistrz zakonu, z ogromnym bogactwem w złocie, srebrze i ziemi, na czele trzech setek rycerzy gotowych w każdej chwili stanąć do walki i zginąć, jeśli taka będzie wola mistrza.

Zakon templariuszy został powołany do życia z potrzeby utworzenia stałej armii w Ziemi Świętej. Szybko wzrosła liczba członków zakonu, jego bogactwo i siła polityczna. Szybko też nabrali templariusze pychy i arogancji. Chyba sporej, skoro papież Grzegorz IX w bulli z 1238 roku musiał im przypominać, że podstawowym zadaniem Rycerzy Świątyni jest strzeżenie drogi z Jaffy do Cezarei. A przecież rzemiosło wojenne było ich żywiołem. Angażowali się w próby odbicia terenów Portugalii i Hiszpanii z rąk muzułmanów, wspierali dzieło rekonkwisty. Brali m.in. udział w prowadzonej przez Ryszarda Lwie Serce kampanii wojennej przeciwko sułtanowi Saladynowi. To właśnie w przebraniu templariusza król angielski, ponaglany apelami o powrót do Europy, opuścił Ziemię Świętą i dotarł do swojego państwa po burzliwej podróży, w trakcie, której przez jakiś czas był więziony w twierdzy tyrolskiej w Austrii.

Czym zajmowali się templariusze, kiedy nie wojowali? Na pewno bardziej przyziemnymi sprawami niż święta wojna z niewiernymi. Byli mianowicie znakomitymi bankierami i ten drugi fach wykonywali z taką wprawą i sukcesami, że tylko Wenecjanie i Żydzi mogli z nimi konkurować.

Otóż mając domy zakonne zarówno na Zachodzie Europy, jak i na Bliskim Wschodzie, o wiele skuteczniej niż inne zgromadzenia zakonne wykorzystywali przyjęty w owym czasie zwyczaj bezpiecznego powierzania mienia klasztorom, które chronił tzw. Pokój Boży. Rola domów Zakonu Rycerzy Świątyni jako depozytariuszy, w miarę jak rozwijał się zakon, stale wzrastała. Oprócz pieniędzy, klejnotów i złota, przyjmowali w depozyt również wzorce odważników. Ponieważ Rycerze Świątyni musieli bez przerwy utrzymywać strażę przy własnych skarbcach, ich zamki uważano za nader bezpieczne miejsca.

W depozyt powierzały, więc im majątki nie tylko indywidualne osoby prywatne, ale i całe państwa. Królestwo Anglii przechowywało u templariuszy część skarbów Korony. Paryski dom templariuszy – zwano go we Francji „domem głównym” – w końcu dwunastego stulecia stał się centrum finansów królestwa Francji. Filip August uczynił templariuszy depozytariuszami swego królewskiego skarbcza. Od tej pory też bajlifowie i rządcy królewscy przekazywali dochody z dóbr bezpośrednio do skarbcza zakonu, pełniącego do końca XIII stulecia rolę „Skarbcza Królewskiego”. I król Francji miał u templariuszy konto, z którego czerpał pieniądze tak na potrzeby własne, jak i na zarządzanie królestwem.

Duże dochody własne pozwoliły templariuszom na utworzenie kasy udzielającej różnorodnych pożyczek. Ich skarbiec stanowił w XIII wieku kasę, z której finansowano wyprawy krzyżowe i pokrywano rozmaite potrzeby Ziemi Świętej.

Templariusze wyspecjalizowali się też w ściąganiu należności od dłużników i zbieraniu podatków. Z czasem pośredniczyli również w negocjacjach ustalających wysokości okupu za wyjątkowych jeńców, angażując się nawet w zbieranie potrzebnych kwot. Zdarzało się, że usługi te wykonywali dla obydwu zainteresowanych stron, jeśli należały one do kręgu kultury chrześcijańskiej.

Zajmowali się zbieraniem i zarządzaniem dochodami z posiadłości ziemskich, a także powiernictwem na zlecenie spadkobierców, zarządzając powierzoną im gotówką tak, aby pomnożyć jej wartość. Pobierali za takie usługi uzgodnione honorarium.

Przyjmując rolę banku hipotecznego, templariusze pożyczali pieniądze pod zastaw majątków ziemskich. Obchodzili przy tym zakaz lichwy, czerpiąc dochody z takiego majątku tylko do chwili zwrotu pożyczki. W podobnych przypadkach występowali jako zarządcy posiadłości, pozostawiając ich prowadzenie w rękach zaufanego personelu.

Najsłynniejszą zasługą templariuszy stało się wypuszczanie w obieg dokumentów zastępujących pieniądze. Dokumenty takie były honorowane przez wszystkie komandorie i mogą uchodzić za zwiastun czeków i weksli na okaziciela.

Zastawy, pożyczki, wpłaty i wypłaty, jednym słowem prawie wszystkie rodzaje operacji finansowych były rejestrowane w księgach domów zakonnych templariuszy.

Ponadto templariusze, zaznajomieni z zawiłą polityką Bizancjum i intrygami dworów muzułmańskich, z którymi spotkali się przecież nie tylko na polu walki, ale i przy stole konferencyjnym, posiadli w mistrzowskim stopniu umiejętność sekretnych działań.

Tajemnica otaczali nie tylko prowadzone przez siebie interesy bankierskie, ale i obrzędy inicjacyjne oraz zgromadzenia kapituły. Aby zagwarantować tajność posiedzeń, wystawiali na zewnątrz strażę z obnażonymi mieczami. Pełny tekst reguły zakonu był ściśle poufny. Nowicjuszowi mówiono jedynie tyle, ile było konieczne, a dopiero w miarę wspinania się po szczeblach hierarchii zakonnej odsłaniano przed nim kolejne, dalsze fragmenty reguły, przy czym znajomość pełnej reguły była zastrzeżona dla najwyższych rangą, dla zakonnika mistrza.

Umiejętność dotrzymywania tajemnicy pozwoliła zbudować w głównych miastach Środkowego Wschodu i wybrzeża Morza Śródziemnego siatkę agentów wywiadu z tajnymi kodami, sygnałami i specjalnymi technikami identyfikacji. Najwyższego utajnienia wymagało, bowiem zarówno prowadzenie finansów na skalę międzynarodową, jak i dowodzenie oddziałami wojskowymi na dwóch kontynentach czy kierowanie operacjami morskimi, które trzeba było ukryć przed piratami i muzułmanami.

Z czasem, według Mateusza z Paryża, w rękach zakonu templariuszy znalazło się w Europie ponad dziesięć tysięcy posiadłości ziemskich. Ponadto byli oni właścicielami wielu młynów i targowisk, a do skarbcza trafiały łupy wojenne i okupy za jeńców. Przez dwieście lat istnienia zakonu wniosło ziemię lub inne środki pieniężne ponad dwadzieścia tysięcy nowicjuszy. Templariusze kupowali, a później sami budowali statki, którymi przewozili na Wschód ludzi i zaopatrzenie, oraz osłaniali ich okręty. Za przewóz pobierali od pielgrzymów i świeckich krzyżowców opłaty. Otrzymywali pamiątkowe dary i zapisy testamentowe. Kościół również regularnie zasilął zakon datkami i zalecał czynić to innym. Np. częścią pokuty króla Anglii, Henryka II, za udział w zamordowaniu arcybiskupa Canterbury, Tomasza Becketa, była nie tylko publiczna chłosta, ale i wpłacenie na rzecz templariuszy znacznej sumy pieniędzy.

Wszystko to sprawiło, że z czasem zakon stał się potęgą, która mogła konkurować z największymi mocarstwami ówczesnego chrześcijańskiego świata. Jednak, kiedy w 1296 roku świat katolicki stracił ostatecznie Ziemię Świętą, znikła potrzeba istnienia templariuszy. I choć przenieśli oni swoje kwatery na Cypr, skąd zamierzali podjąć jeszcze jedną krucjatę, ich los zdał się być już przesądzony. Szukano jedynie odpowiedniego pretekstu.

Gdyż w tym samym czasie, w którym templariusze snuli plany nowej wyprawy przeciw niewiernym, Filip IV, król Francji, postanowił podjąć własną krucjatę – przeciw templariuszom. Marzył o pozbyciu się zaciągniętych u nich gigantycznych długów. Dla swych planów musiał jednak pozyskać sprzymierzeńca – a jedynym sojusznikiem francuskiego władcy mógł być wyłącznie papież. Jego, bowiem jurysdykcji podlegał zakon templariuszy.

Kiedy Bertrand de Got, arcybiskup Bordeaux, zapragnął zostać papieżem, Filip Piękny poparł go, w zamian, za co obrany w 1305 roku papież Bertrand, już jako Klemens V, obdarował Filipa pięcioletnim prawem opodatkowywania francuskiego kleru do wysokości dziesięciu procent pełnego przychodu. Mówiło się wtedy o jeszcze jednym sekretnym punkcie tej umowy – Bertrand miał obiecać współpracę w likwidacji zakonu templariuszy.

I oto z początkiem 1307 roku Klemens V zażądał od Jakuba de Molay, który wówczas przebywał jeszcze na Cyprze, sporządzenia specjalnego raportu dotyczącego planu

ewentualnego połączenia templariuszy i szpitalników w jeden zakon. Mistrz templariuszy sporządził go, ale nie ukrywał własnej niechęci do tego zamierzenia. Ostrzegał papieża przed niebezpieczeństwem konfliktów, które mogą się pojawić między członkami obu zakonów, tym bardziej, że istniały duże różnice reguł – reguła templariuszy była o wiele surowsza od reguły szpitalników.

Filipowi propozycja połączenia obu zakonów odpowiadała. Zaproponował wręcz papieżowi, aby królowie Francji otrzymali dziedziczne prawo do tytułu wielkiego mistrza połączonych zakonów, a nadto zadeklarował, że sam chętnie stanie na czele nowej wyprawy krzyżowej. Pod jednym wszakże warunkiem, że uzyska nieograniczony dostęp do nadwyżek budżetowych, jakie powstaną w wyniku połączenia obu dotychczasowych zakonów. Propozycja ta mnie spodobała się papieżowi. Dla dalszych rozmów o przyszłości zakonu templariuszy ściągnął, więc Jakuba de Molay do Francji.

Gdy Jakub de Molay znalazł się już we Francji, o świcie 13 października 1307 roku wszyscy pozostający w tym kraju templariusze zostali w swych komandoriach zaarrestowani. Pikanterii temu zdarzeniu nadaje fakt, że w przeddzień aresztowania mistrz Jakub de Molay towarzyszył królowi w uroczystościach pogrzebowych Katarzyny de Courtenay, żony Karola de Valois, młodszego brata króla.

Masowe aresztowania templariuszy, przeprowadzone jednego dnia o tej samej godzinie w prawie trzech tysiącach komandorii na terenie Francji, można określić jako jedną z najniezwyklejszych akcji policyjnych wszech czasów. Zorganizował ją na rozkaz króla strażnik jego pieczęci, kanclerz królestwa, Wilhelm de Nogaret. Nakazy aresztowania przygotowano miesiąc wcześniej w formie tajnych listów, które skierowano do zarządców i sędziów z zaleceniem by je otwarto dopiero w oznaczonym dniu.

Instrukcja nakazywała „aresztować wszystkich braci wymienionego zakonu bez żadnych wyjątków, wtrącić ich do więzień pozostawiając do dyspozycji sądu kościelnego oraz zając wszystkie dobra zakonu ruchome i nieruchome”.

Dzień po aresztowaniu templariuszy, 14 października 1307 roku w Paryżu został opublikowany manifest królewski, który podawał do wiadomości publicznej oskarżenia zawarte w nakazie aresztowania. Templariuszy oskarżono o odstępstwo od wiary, znieważanie Chrystusa, nieobyczajne praktyki, sodomie i bałwochwalstwo. Te praktyki miano stosować zwłaszcza podczas przyjmowania nowych braci: nowo przyjmowani musieli trzykrotnie zaprzeczyć się Chrystusa, pluć na krzyż, po czym, rozebrani, byli całowani poniżej kregosłupa, w pępek i w usta tego, który ich przyjmował. Musieli też przyrzec, że będą praktykować sodomie, o ile będzie się tego od nich wymagać.

Templariuszy oskarżono także o to, że rzekomo otaczali czcią posązek bożka Bafometa i że opasywali się sznurem, który przedtem umieszczony był na posązku tego bóstwa.

16 października Filip Piękny rozesłał do książąt chrześcijańskich i do dostojników Kościoła listy zachęcające do naśladowania go i aresztowania templariuszy znajdujących się na terenie ich państw.

Kiedy wieści o tych aresztowaniach dotarły do papieża, Klemens V początkowo wpadł w szal. Rozwścieczyło go bezczelnie uzurpowanie sobie przez Filipa władzy przynależnej jemu osobiście, papież był, bowiem jedyną osobą, która miała prawo takie działanie zarządzić.

27 października 1307 roku skierował, więc do Filipa Pięknego list: „Wasza Wysokość, położyłeś swoją rękę na ludziach i dobrach zakonu templariuszy, co więcej nie zawahałeś się wtrącić ich do więzień (...). Do cierpień wynikłych z tej niewoli dołożyłeś, Panie, nowe nieszczęście, jednak ze względu na powagę Kościoła, lepiej nie wspominać o tym teraz (...).”

Tymczasem między 19 października a 24 listopada 1307 roku stu trzydziestu ośmiu uwięzionych templariuszy zostało przesłuchanych przez inkwizytora Wilhelma z Paryża. Przedtem przeszli oni przez ręce urzędników królewskich, którzy, stosownie do instrukcji zawartej w tajnych listach, „stosowali tortury w miarę potrzeby”.

Tortury te wymagały prawdziwego kunsztu w ich stosowaniu, chodziło, bowiem o zadawanie jak najstraszliwszego bólu, ale bez spowodowania śmierci, która uniemożliwiałaby przesłuchiwanemu przyznanie się do winy, co było głównym celem oprawców.

Jednakże trzydziestu sześciu templariuszy tortur tych nie wytrzymało. Jedynie trzech braci zaprzeczyło popełnieniu przestępstw, jakie im zarzucano, a byli nimi: Jan z Chateaufvillars, Henryk z Hercigny i Jan z Paryża. Pozostali wniesione oskarżenia potwierdzili.

Wówczas to papież ogłosił bullę „Pastoralis praeeminentiae”, w której nakazał wszystkim władcom dokonać podobnych aresztowań w ich krajach. Wyjaśnił, że skłoniły go do tego zeznania templariuszy z Francji, zaś templariusze pozostający w służbie kurii papieskiej potwierdzili prawdziwość tych zeznań. Zarządził też przeprowadzenie procesu kościelnego. Zagwarantował, że jeżeli w wyniku tego procesu sąd uzna templariuszy za niewinnych, to ich dobra zostaną zakonowi zwrócone. W innym razie dobra te zostaną spieniężone, a uzyskany dochód przeznaczony zostanie na obronę Ziemi Świętej.

Proces przeciwko templariuszom zajął siedem lat. Papież osobiście przejął przewodnictwo w sprawie, a z Filipem umówił się, że król przekaże mu pojmanyh templariuszy w zamian za sprawowanie pieczy nad dobrami zakonu do czasu zakończenia procesu. Przez siedem lat czerpał, więc Filip Piękny dochody z francuskich majątków templariuszy.

W dniach między 27 czerwca a 1 lipca 1308 roku przed papieżem stanęło siedemdziesięciu dwóch templariuszy. Nie było wśród nich Jakuba de Molay ani innych dostojników zakonu – Filip Piękny powiadomił, bowiem papieża, że są oni chorzy i nie chcą odbyć konno podróży pozostają uwięzieni w Chinon. Papież dla ich przesłuchania oddelegował trzech kardynałów: Berengariusza Fredola, Stefana de Suisy oraz Landolfa Brancaccio (dodać wypada, że dwaj pierwsi pozostawali w zażyłych stosunkach z królem Francji). Poleciał też, by podczas przesłuchań zarówno prostym braciom, jak i dostojnikom zakonu nie szczędzono żadnych tortur.

A zadawano je przy pomocy wymyślnych aparatów. Jedno z takich urządzeń składało się z dwóch pasków metalu zaciskanych wokół łydki za pomocą specjalnej śruby. Obręcze powodowały narastający ucisk aż do złamania piszczeli. W użyciu był też inny przyrząd w postaci pudełka zakładanego na nogę. Pomiedzy ścianę pudełka i nogę wkładano deskę, a następnie pomiędzy deskę i pudełko młotami wbijano kliny. W ten sposób można było spowodować zmiżdżenie kości nogi w dowolnie wybranym miejscu.

Rozgrzanym żelazem przypalano też wybrane fragmenty ciała – także genitalia. Czasem były to szczypcy, którymi wyrywano kawałki ciała, a rozżarzony metal wypalał ranę. Zimnych kleszczy używano do wyrywania paznokci i zębów, zaś w świeżo powstałe rany wbijano szpile.

Zdarzyło się, że kilku templariuszy przytroczono do metalowej ramy, a wysmarowane olejem nogi podpalono. Stopy niektórych wypaliły się aż do kości jednego z męczenników wniesiono wręcz na posiedzenie sądu – osobno dołączając szerniałe kości nóg. Nie dziwi, więc raport, w którym mowa o przypadkach utraty zmysłów z powodu bólu.

Takimi metodami uzyskiwano od templariuszy potwierdzenie zarzucanych im czynów. Według zaleceń papieża, templariusze, którzy przyznali się do winy, a więc „pojednani z Kościołem”, mieli być uznani za pokutujących grzeszników i jako tacy nie powinni być karani śmiercią. W ten sposób Klemens V próbował oszukać swoje sumienie, a templariusze mogli ocalić własną skórę. Papież zyskał przy tym prawo rozwiązania zakonu i

przekazanie jego dóbr innym. I tak oto rozstrzygano problem zgodnie z zasadą: wilk syty i owca cała.

By zachować pozory uczciwego procesu z początkiem 1310 roku zezwolono zakonowi zorganizować obronę sądową i wyznaczyć czterech delegatów, którzy mieli pełnić rolę rzeczników ich sprawy. Zostali nimi: Renald z Provins, Piotr z Boulogne, Wilhelm z Chambonnet i Bertrand z Sartigues. Zredagowali oni wspólnie mowę obrończą, w której opisując strach i przerażenie wywołane torturami wyrazili zdumienie, że daje się, więc wiary tym, którzy – by uniknąć cierpień – składali orzeczenia, jakich od nich wymagano, aniżeli tym, którzy „jako męczennicy Chrystusa umierali na torturach obstając przy prawdzie, cierpieli, tudzież cierpią nadal w więzieniach męki, niedole, poniżenia, niewygody i nędzę”. Zauważyli, że poza Francją nie znalazł się ani jeden templariusz, który by głosił bądź potwierdził zarzuty zgłoszone przeciw zakonowi przez Filipa Pięknego.

W efekcie tej mowy obrończej pięćdziesięciu czterech templariuszy w 1312 roku odwołał swoje wcześniej złożone zeznania. Wówczas arcybiskup Filip de Marigny, arcybiskup Sens i przewodniczący odbywającego się tam właśnie synodu, uznali ich jako „wtórnych odstępców” i skazali na stos. Według prawa kościelnego okazali się, bowiem heretykami, którzy – już po uprzednim przyznaniu się do winy – na nowo popadli w swoje błędy.

Wśród spalonych nie było dostojników zakonu – ich losy ważyły się jeszcze przez dalsze dwa lata.

I tak, po niemal pięciu latach prześladowań – więzienia, torturowania i palenia na stosach – Zakon Rycerzy Świątyni został przez papieża oficjalnie rozwiązany. Ostateczna decyzja o likwidacji zakonu zapadła podczas tajnych obrad konsystorza 22 marca 1312 roku, co Klemens V potwierdził swoją bullą „Vox in excelso”. Bulla ta likwidowała zakon w „imię dobra Kościoła”. Dnia 2 maja 1312 roku bullą „Ad providam” papież Klemens V przekazał zakonowi szpitalników dobra templariuszy. Sumienie miał czyste.

O losie Jakuba de Molay i jego najbliższych towarzyszy, którzy, jak dotąd, podtrzymywali przyznanie się do winy, zadecydowali ostatecznie trzej oddani królowi kardynałowie: Mikołaj de Freauville, Arnold de Auch i Arnold Novelli. W obecności arcybiskupa Sens, Filipa de Marigny, ogłosili swój wyrok 18 marca 1314 roku na dziedzińcu przed katedrą Notre Dame w Paryżu. By go wysłuchać, na specjalnie wzniesionej trybunie stanęli: mistrz zakonu Jakub de Molay, wizytator na Francję – Hugon de Pairaud, preceptor Normandii – Gotfryd de Charnay i preceptor z Poitou i Akwitanii – Gotfryd de Gonneville. Wszystkich skazano na dożywotnie więzienie.

W chwilę po odczytaniu wyroku niespodziewanie wstali Jakub de Molay i Gotfryd de Charnay. Obaj w obecności zgromadzonego tłumu wyrazili swój protest i uroczyście oświadczyli, że jedynym ich przestępstwem było złożenie nieprawdziwych zeznań – zrobili to ażeby ratować życie. Stwierdzili, że zakon templariuszy był święty, a jego reguła sprawiedliwa i chrześcijańska. Stanowczo zaprzeczyli, by popełnili przypisane im przestępstwa.

Jeszcze tego samego dnia ustawiono stos w pobliżu ogrodu pałacowego, mniej więcej w miejscu, gdzie obecnie, nieopodal Pont Neuf, znajduje się posąg Henryka IV.

Wieczorem spłonęli tam obaj. Umierali raz jeszcze głosząc swa niewinność. A także przeklinając swych oprawców do trzynastego pokolenia.

Śmierć za oblicze

Całun turyński to cztery metry płótna, którym rzekomo owinięto Jezusa po śmierci i na którym odbił się podwójny wizerunek (od przodu i od tyłu) całego ciała Chrystusa.

W 1988 roku – po opublikowaniu wyników badania radio węglowego określającego wiek lnu, z którego całun utkano – okazało się, że cała dotychczasowa wiedza poświadczająca autentyczność całunu jest nic nie warta.

Przeprowadzone pod nadzorem British Musseum prace badawcze w laboratoriach w Tuscon, Zurychu i Oksfordzie uzyskały bardzo zbliżone wyniki wskazujące, że całun utkano pomiędzy 1260 a 1390 rokiem. Odkrycie to uwiarygodniło zarazem dokumenty historyczne, w których biskup francuski, Pierre d'Arzis, stwierdzał, iż całun będący dziełem „zręcznej ręki” powstał w połowie czternastego wieku.

Czyżby można było mówić o jeszcze jednej fałszywej religii, z których zaślęnęły wieki średnie?

Niektóre święte wizerunki pochodzą z czasów znacznie wcześniejszych niż rok 1260 (datowanie radio węglowe ten rok uznało za dolną granicę powstania całunu). Chusta św. Weroniki, przedstawiająca „święte oblicze” pochodzi z okresu bez wątplenia dużo wcześniejszego niż pojawienie się całunu w Lirey. Trzeba, więc zadać następujące pytanie: Jaka jest geneza wizerunków w twarzy Jezusa na tkaninie?

Całun turyński znajduje się w katedrze św. Jana Chrzciciela w Turynie, w kaplicy rodziny Savoia, zbudowanej w latach 1668-1694 z przeznaczeniem na miejsce przechowania tkaniny. Kaplica zbudowana jest z czarnego marmuru. W początkach XV wieku całun przechowywano w kaplicy w Chambrey, należącej także do rodziny Savoia. Tam właśnie uratowano całun z pożaru w 1532 roku. Ogień pozostawił jednak trwałe uszkodzenia.

Całun jest pilnie strzeżony. W obecnym stuleciu można go było zobaczyć w 1931, 1933, 1973 (pokaz dla telewizji i w 1978 roku).

W 1988 roku dla potrzeb datowania radio węglowego zezwolono na wycięcie z całunu próbki. Wtedy to właśnie profesorowie Damon i Donahue z Tuscon, Wolfli z Zurychu oraz Hall i dr Hedges z Oksfordu po raz pierwszy mieli okazję przyjrzeć się dokładnie całunowi. Mogli zaobserwować dobrze widoczne plamy i dziury wypalone przez pożar, mogli także zobaczyć niewyraźne podwójne odbicie postaci ludzkiej z plamami krwi niczym po ukrzyżowaniu. Każdy ruch profesorów rejestrowany był kamerą video.

Zgodnie z wynikami badań próbka całunu liczyła jedynie od sześciuset do siedmiuset lat. Całun musiał, więc pochodzić ze średniowiecza i był trzynaste wieków młodszy od tego, którym by rzeczywiście owinięto ciało zmarłego Jezusa. Wszyscy wymienieni wyżej badacze uzyskali, niezależnie od siebie, podobne wyniki badań. Ustalono, więc, że całun pochodzi z przedziału lat 1260-1390 (95% pewności) albo, że pochodzi z lat 1000-1500, co daje 99,9% pewności. Zatem w rezultacie tych badań autentyczności relikwii nauka nie potwierdziła.

Datowanie radio węglowe nie rozstrzygnęło jednak, jak ktoś żyjący w średniowieczu mógł stworzyć wizerunek tak niezwykle skomplikowany i subtelny. Z XIV wieku pochodzą ponadto wiarygodne dokumenty, że całun został „namalowany zręczną ręką” ówczesnego artysty. Podstawowym dowodem w tej sprawie jest list biskupa Troyes, Pierre'a d'Arcis z 1389 roku, do antypapieża Klemensa VII (dla ówczesnych Francuzów był on prawowitym papieżem, rządzącym z Awinionu, ale historia wyznaczyła mu rolę antypapieża).

D'Arcis wysuwa w tym liście poważne oskarżenia. Uważa on, że dziekan kolegiaty w Lirey, trawiony żądzą zysku, wystarał się dla kościoła o płótno, na którym namalowany był podwójny wizerunek mężczyzny i udawał, że to jest prawdziwy całun z odbitym ciałem Chrystusa. Historię tę rozgłosił potem po całym świecie. Aby wyciągnąć od wiernych pieniądze, najmowano ludzi, którzy rzekomo uzdrowieni zostali na widok całunu. Już

poprzednik biskupa d'Arcis, Henryk z Poitiers, odkrył to oszustwo i odnalazł człowieka, który przyznał się do namalowania całunu. Biskup Henryk wszczął formalne postępowanie, mające na celu sprostować fałszywe przekonanie wiernych.

W odpowiedzi na list biskupa d'Arcis, Klemens VII orzekł, że księża w Lirey powinni przyznać, iż całun nie jest prawdziwym całunem Chrystusa, a jedynie kopią i wyobrażeniem. Podtrzymał jednak prawo tamtejszego kleru do organizowania ekspozycji wystawień całunu. Kult całunu, był, więc podtrzymywany. Wierni widzieli w całunie źródło nadziei, Kościół natomiast stał źródłem materialnych zysków.

Tajemnica otacza także artystę, który rzekomo namalował całun. Badacze amerykańscy twierdzą, że nie ma śladów wskazujących na użycie farby do tworzenia wizerunku ciała i krwawych ran. Jedynie dr Walter McCrone, chicagowski mikroanalitik, twierdzi, że natrafił na ślady tempery. Według niego całun mógł być dziełem średniowiecznego artysty angielskiego. Jego hipoteza nie uzyskała jednak wsparcia znanej specjalistki z historii sztuki angielskiego średniowiecza, Anny Hulbert, która zdobyła doświadczenie konserwatora w Courtland Institute. Jej zdaniem artysta średniowieczny skupiał się na konturach, nie interesowała go gra cieni i światła. A wizerunek na całunie składa się wyłącznie ze światła i cienia, które się wzajemnie uzupełniają tak, że w negatywie obraz przypomina prawdziwą fotografię. Ślady ran na całunie są ponadto tak prawdziwe, iż trudno uwierzyć, że byłoby to dzieło artysty malarza. Tak twierdzi wielu renomowanych patologów sądowych i specjalistów medycznych.

Późniejsze próby skopiowania opisanego efektu, nawet przez najbieglejszych malarzy, nie powiodły się. Nikt nie był w stanie odtworzyć wypukłości ludzkiego ciała. Czyżby średniowieczny artysta malarz – fałszerz był aż tak genialny, że zdołał okpić nawet współczesnych nam specjalistów?

Brytyjski fizyk, dr Michael Straiton, wysunął poważną hipotezę, wedle której jakiś czternastowieczny krzyżowiec został schwytyany przez Saracenów i celowo ukrzyżowany dokładnie w taki sam sposób, w jaki ukrzyżowano Jezusa. Jego zwłoki owinięto potem w tkaninę, na wzór bliskowschodni, a odbity wizerunek powstał w wyniku procesu związanego z działaniem słońca. Hipoteza ta wydaje się najbardziej prawdopodobna autorowi niniejszych rozważań.

Hipoteza tego naukowca jest wprawdzie sprzeczna z zarzutami biskupa d'Arcis, ale jedno jest pewne: w Lirey musiał być ktoś, kto chciał spreparować fałszywą relikwię. Wszystko po to, by przysporzyć dowodów Kościołowi. Co więc stać się mogło źródłem inspiracji do takiego pomysłu?

Żeby to zrozumieć, musimy wspomnieć także o innym „świętym obliczu”, pokazywanym w Rzymie, znanym jako chusta św. Weroniki.

Ten „święty wizerunek” miał powstać ponoć wtedy, gdy Weronika otarła wspinającemu się na szczyt Kalwarii Jezusowi twarz z potu i krwi. Dzieła sztuki, upamiętniające ten moment, przedstawiają wydarzenie nie odnotowane w Ewangelii. Źródłem jego, bowiem jest legenda. Aż do XVI wieku brak poświadczeń istnienia Weroniki jako historycznej świętej. Nie można jednak wątpić, że istniała relikwia kojarzona z tą historią, wzbudzającą w średniowieczu ogromny kult.

Chusta Weroniki istniała na długo przed pojawieniem się w Lirey całunu. „Weronika” ukryta jest w bazylice św. Piotra w Rzymie, w filarze podpierającym sklepienie. Jego wnętrze jest niedostępne i pilnie strzeżone. Wnętrze filaru zdecydowano się do tego celu wykorzystać dopiero w początkach pontyfikatu Urbana VIII (1623-1644), dwa wieki po śmierci Michała Anioła. W roku Świętym 1625 wnętrze filaru stało się „królewskim domem” dla chusty św. Weroniki, o czym świadczy inskrypcja papieża Urbana VIII.

Dzisiaj nikt tak naprawdę nie wie, gdzie przechowuje się relikwię. Każdy przewodnik po Rzymie podaje inne informacje. Nawet nie wiedzą tego uczeni, zajmujący się dziejami

bazyliki. Żaden przewodnik nie zawiera też fotografii ani planu tego filaru. Wiadomo natomiast, że ów filar jest dwa razy szerszy od przeciętnego domu jednorodzinnego i ponad trzy razy wyższy. Nie istnieje do tej pory jakakolwiek znana fotografia chusty św. Weroniki. Nie ma też żadnej pewności, że „Weronika” kiedykolwiek była sfotografowana. Jej kopie z różnych wieków, znacznie się od niej różnią.

Zdaniem niektórych badaczy obecna relikwia, a raczej to, co z niej zostało i tak skrętnie jest ukrywane, nie jest tym samym „świętym obliczem”, które w średniowieczu przyciągało tłumy pielgrzymów. W ciągu ostatnich 150 lat powstało kilka opisów chusty, sporządzonych przez naocznych świadków. Ich zdaniem na chuście, oprócz brązowej plamy, nie widać nic z wizerunku Chrystusa. Być może prawdziwe oblicze zostało zniszczone działaniem czasu. A mogło się zdarzyć, że oryginał zaginął w czasie plądrowania Rzymu w 1527 roku.

Pewne jest jedynie to, że chusta św. Weroniki, którą pokazywano i przechowywano w bazylice św. Piotra w średniowieczu, przedstawiała „święte oblicze” na tkaninie, pochodzącej z czasów poprzedzających najwcześniejszą datę powstania całunu, określona w wyniku badania radio węglowego. Wiadomo także, że, mimo niewyjaśnionego pochodzenia chusty, nie było w stosunku do niej zarzutów fałszerstwa relikwii. Co, przypomnijmy, miało miejsce w stosunku do całunu turyńskiego (rok 1389, list biskupa d'Arcis).

Chusta św. Weroniki pojawia się jako obiekt kultu przed XII wiekiem, a ukryta zostaje w początkach XVI wieku. Początkowo chusta pokazywana była tylko zamożnym wybranym. W XII wieku można ją było oglądać jedynie przez wiszące przed nią zasłony.

Papież Innocenty III, w początkach swego pontyfikatu (1207), stworzył szpital pod wezwaniem Santo Spirito in Sassia. Żeby rozreklamować swoją działalność, ustanowił msze z wizytą papieską w pierwszą niedzielę po Trzech Królach. Największą jej atrakcją miała być procesja wiodąca z bazyliki św. Piotra do Santo Spirito. Chcąc przyciągnąć tłumy, papież zarządził, by w procesji niesiono chustę św. Weroniki. Celem uroczystości miało być zachęcenie innych do wspomagania biednych. „Święte oblicze”, pokazane przez papieża ludziom wszystkich sfer, było najdramatyczniejszym punktem ceremonii. Papież udzielał wówczas odpustów.

Innocenty III nie miał zbyt wielkiego daru do robienia interesów, dlatego nie do końca wykorzystywał tę raz do roku odbywającą się uroczystość. Natomiast jego następcy wpadli już na pomysł ściągania ofiar na rzecz rzymskich świątyń.

Bonifacy VIII ogłosił rok 1300 Rokiem Świętym. Miał on przypadać raz na sto lat. Największą atrakcją miały być hojne odpusty dla odwiedzających bazylikę i odbywające się, co tydzień pokazy chusty św. Weroniki. Bonifacy jako papież zajmował się głównie gromadzeniem bogactw i rozszerzaniem swej władzy. Rozpętał całą biurokratyczną maszynę w Roku Świętym, mającą głównie na celu sprawne przyjmowanie ofiar, które wyrażałyby pobożność pielgrzymów. Niewiele natomiast interesował się stroną religijną uroczystości. Papież wiedział, jak przyciągać tłumy, przybywające w pobożnym nastroju. Wszyscy potrzebowali żywności i zakwaterowania. Byli, więc źródłem zysku dla rzymskich kupców i kościołów. Według relacji ówczesnych kronikarzy duchowni dniem i nocą zgarniali ofiary przy użyciu grabi.

Bonifacy VIII zmarł w wyniku zorganizowanego nań zamachu. W dwa lata po jego śmierci papieżem został Francuz – Klemens V. Nie czuł się bezpiecznie w Rzymie, więc przeniósł swą siedzibę do Awinionu. Rzym wówczas poważnie podupadł i czasy Bonifacego VIII wydawać się musiały prawdziwie złotym okresem w dziejach tego miasta.

Ostatnim francuskim papieżem był Klemens VI. To do niego udała się, w 1342 roku, delegacja wpływowych rodzin Rzymu, chcących ratować miasto. Klemens VI nie zaryzykował wprawdzie powrotu do Rzymu, ale zgodził się rok 1350 ogłosić drugim z kolei

Rokiem Świętym, łamiąc w ten sposób zasadę stuletniej przerwy, ogłoszonej przez Bonifacego VIII.

Z siedmioletnim wyprzedzeniem zapowiedział uroczystości w proklamowanej przez siebie bulli. Gwarantował także odpusty pielgrzymom, oddający cześć chuście św. Weroniki.

Tłumy pielgrzymów były tak ogromne, że wielu zostało stratowanych i uduszonych. To zagrożenie skłoniło władze kościelne do wznowienia prywatnych pokazów za specjalnym zezwoleniem i – rzecz jasna – specjalną ofiarą.

W roku 1349 nastąpiło trzęsienie ziemi, w wyniku, którego zniszczone zostały w dużym stopniu trzy bazyliki, wymienione przez Klemensa VI jako cele pielgrzymek. Rok Święty był, więc dla Kościoła kolejną okazją do zdobycia bogactw.

W 1389 roku Urban VI, nie mogąc się doczekać końca wieku, ogłosił rok 1390 Rokiem Świętym. Zapowiedział jednocześnie, że odąd kolejne jubileusze będą się odbywać, co trzydzieści trzy lata.

Urban VI był już papieżem rezydującym w Rzymie. Robert z Genewy był natomiast antypapieżem Klemensem VIII, rezydującym w Awinionie. Urban VI zmarł nie doczekawszy jubileuszu, przez co nie powiódł się jego plan, aby dowieść świata prawowitości swego rzymskiego urzędu w walce z rywalem, Klemensem VII z Awinionu.

Prawdopodobnie, więc, że w tym czasie dostojnicy kościelni mogli wpaść na pomysł, już u progu Roku Świętego 1350, aby całun turyński przynosił im zyski podobnie jak znana już od dwóch wieków chusta św. Weroniki.

Papieże walczyli wówczas uparcie o tron, chroniąc jednocześnie chustę i przenosząc ją z bazyliki w coraz to bezpieczniejsze miejsca. W roku 1423 Marcin V zorganizował obchody Roku Świętego, przestrzegając ustalonej przez Urbana VI formuły trzydziestoletniej przerwy.

W 1443 roku Eugeniusz IV, wenecki papież, który spędził dziesięć lat na wygnaniu we Florencji, wrócił do Rzymu i wtedy jedną z jego pierwszych decyzji było zorganizowanie specjalnego pokazu chusty św. Weroniki w bazylice św. Piotra. W 1446 roku Eugeniusz IV zmarł, a jego następcą, Mikołaj V, zrezygnował z trzydziestoletniego cyklu pokazywania chusty i rok 1450 ogłosił Rokiem Świętym. Ten rok okazał się szczególnym sukcesem, wzięwszy pod uwagę liczbę uczestników. Ogromne rzesze pielgrzymów zginęły wówczas, z powodu zimna i zarazy. Popularność chusty rosła, wzbudzając także zainteresowanie nią artystów, którzy uwidaczniali święty wizerunek w swoich pracach. Jeden z następnych papieży, Paweł II, zarządził, by Rok Święty obchodzić, co dwadzieścia pięć lat. Roku Świętego 1475 jednak nie dożył.

Zapiski kronikarzy świadczą o tym, że chustę pokazywano częściej – nie tylko w latach jubileuszowych, ale nawet, co roku. Na pokazy wybierano Wielkanoc. Papież udzielał wówczas specjalnych odpustów, a wierni nadal tratowali się w tłumie. Następni papieże także strzegli chusty, mając na uwadze fakt, jakie może im przynieść zyski. Aleksander VI, na przykład, uciekając w 1494 roku tajemnym przejściem z Watykanu przed królem Francji, Karolem VIII, zabrał chustę ze sobą. Aleksander VI czynił także przygotowania do Roku Świętego 1500.

W 1506 roku papież Juliusz II kładł u podstawy obecnego filaru św. Weroniki kamień węgielny pod budowę nowej bazyliki św. Piotra. Koszty tego przedsięwzięcia miały być ogromne, dlatego też system odpustów został absurdalnie wyolbrzymiony, aby liczyć na tym większe zyski. To wówczas w 1507 roku Marcin Luter rozpoczął protestancką rewolucję. W niebezpieczeństwie znalazł się system odpustów i chusta św. Weroniki.

Za czasów papieża Klemensa VII, w 1527 roku, Rzym walczył z najazdem oddziałów cesarskich Karola V. Zabito tysiące rzymian, pacjentów szpitala Santo Spirito wrzucono do Tybru, zbezczeszczono grobowiec Juliusza II, zakonnice sprzedawano. Być może wówczas chusta św. Weroniki uległa zatracie. Świadczyłby o tym fakt, że na płótnie obecnie przechowywanym i tak pilnie strzeżonym nie ma ponoć śladów żadnego wizerunku.

Zwolennikami tej hipotezy jest wielu uczonych. Ale może też chusta nie dostała się w ręce grabieżców. Istnieje kilka wzmianek o jej pokazach, na przykład w 1533 roku, a także w Roku Jubileuszowym 1575. Można też przypuszczać, że w Roku Świętym 1600 tradycyjnie pokazano chustę jeszcze w starej bazylice. W 1606 roku zabrano ją jednak stamtąd i przechowywano w watykańskim archiwum w oczekiwaniu na przeniesienie do nowej bazyliki. Prawdopodobne jest również i to, że właśnie wówczas chusta mogła zostać skradziona lub podmieniona. Takie sugestie zawarte są w kronikach z 1640 roku.

Za czasów papieża Urbana VIII o dawnym obiekcie kultu stopniowo zapominano. Były to lata trzydzieste XVII wieku. Od tej pory też uwagę wiernych ściągać zaczął coraz bardziej całun, który w 1578 roku trafił już na stałe do Turynu.

Nie wiadomo, zatem, czy obecne płótno uznawane za chustę św. Weroniki jest tym samym, dla zobaczenia, którego pielgrzymi trawili się przed rokiem 1527. A może rzeczywiście chusta została skradziona w XVII wieku? Problem ten wydają się niemożliwym do rozwiązania, ponieważ wciąż dostojnicy kościoła nie pozwalają zbadać obecnej tkaniny, ani obejrzeć jej zdjęcia.

Istnieje kopia chusty, wykonana przez Thomasa Heaphy Młodsze w drugiej połowie XIX wieku. Artysta ten ponoć pokonał wszystkie bariery, przedarł się do najbardziej strzeżonego miejsca i wykonał barwny szkic chusty bezpośrednio z oryginału. Oryginał szkicu chusty św. Weroniki można obejrzeć w albumie kopii podobizn Chrystusa, przechowywanym w British Museum. Sprawa jest jednak podejrzana już z tego choćby powodu, że artysta nie ujawnił szczegółów okoliczności wykonania kopii. Nie podał nawet roku, w którym udało mu się ujrzeć chustę. Możliwe, więc, że kopia Heaphy'ego jest dziełem jego artystycznej fantazji. Jeżeli relacje artysty są kłamstwami, to prawdą jest to, że owe kłamstwa przetrwały ponad sto lat.

Trafiają się jednak opisy literackie chusty, przedstawiające wiele kopii wizerunku sprzed 1527 roku. Różnią się one bardzo między sobą. Najwcześniejsze artystyczne przedstawienia chusty św. Weroniki zaczęły się pojawiać, gdy Bonifacy VIII ogłosił rok 1300 Rokiem Świętym, a także później po roku 1350, za pontyfikatu Klemensa VI. Trudno jednak ustalić, które z tych kopii są najbliższe oryginałowi. Niektóre wykonane zostały przez wybitnych artystów, stąd przekonanie, że są najwierniejsze.

Historia „świętych obliczy” jest tajemnicza i wielce zagmatwana. Badania historyków sugerują, że najwcześniej udokumentowany przykład wyobrażenia Jezusa, odciskającego swoje oblicze na płótnie, pochodzi z Edessy i wyprzedza o cztery wieki analogiczne wzmianki o powstaniu wizerunku na chuście św. Weroniki. Według przekazów Jezus miał sobie wytrzeć skrwawioną twarz kawałkiem płótna wziętego od jednego ze swoich uczniów. Być może, więc chusta Weroniki powstała jako kopia „świętego oblicza” z Edessy po przywiezieniu go do Konstantynopola w 944 roku. Istniała także hipoteza, że „całun” i „święte oblicze” z Edessy to jedno i to samo. Okazała się ona jednak nieprawdziwa z chwilą, gdy datowanie radio węglowe ustaliło wiek całunu na lata 1260-1390, zaś źródła historyczne sugerują, że „święte oblicze”, z Edessy powstało w okresie pomiędzy szóstym wiekiem a rokiem 1204.

Zachowało się kazanie Grzegorza, arcydiakona konstantynopolitańskiej katedry, Hagia Sophia, wygłoszone w 944 roku, gdy „święte oblicze” z Edessy przywieziono do Konstantynopola. Według jego relacji na płótnie oprócz oblicza istnieje także plama po ranie w boku Jezusa. Grzegorz musiał, więc widzieć całą postać Jezusa ze skrzyżowanymi rękami. Powstaje, zatem pytanie, jak to możliwe, by płótno ze „świętym obliczem”, z Edessy nosiło ślady rany w boku Jezusa, jeżeli nie było całunem grobowym, którym był całun turyński?

Gdyby utożsamić „święte oblicze” z Edessy z całunem, otrzymalibyśmy wiele wyjaśnień. Przede wszystkim należałoby dojść do wniosku, że chusta Weroniki była kopią twarzy z całunu, wykonaną w czasie, gdy całun znajdował się w Konstantynopolu. Idąc dalej

tym tropem, można byłoby dojść do wniosku, że pierwowzorem wszystkich „świętych obliczy” był właśnie ów całun z Edessy. Można przyjąć, więc hipotezę, że między szóstym stuleciem a rokiem 1204 istniała relikwia, która jako „święte oblicze” z Edessy pod wieloma względami odpowiadała całunowi. Ta hipoteza odrzucałaby jednocześnie istnienie fałszerza – artysty z XIV wieku. Odrzucałaby także wyniki datowania radio węglowego. Czy można tym wynikiem jednak zaprzeczyć? Czy datowanie radio węglowe, jako pochodna fizyki jądrowej, może dawać błędne wyniki? Czy jest to metoda niezawodna?

Przypomnijmy: przedstawiciele trzech różnych krajów, niezależnie od siebie, przeprowadzili badania radio węglowe. Wśród nich byli i katolicy, i kwakrzy, istniała, więc różnorodność wyznaniowa.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że całun turyński padł ofiarą pożaru, że, przez stulecia narażony był na dym płonących świec, można dopuścić myśl, że okoliczności te mogą utrudniać dokonanie dokładnego datowania radio węglowego. Próbkę wziętą do datowania pobrano z brzegu całunu, który prawdopodobnie był dotykany choćby przez dostojników kościelnych podczas częstych pokazów relikwii. To dawałoby dodatkową groźbę zanieczyszczeń. Zanieczyszczenia mogłyby, więc być jednym z powodów błędu w datowaniu radio węglowym.

Istnieją uczeni przeciwstawiający się tym tłumaczeniom i okolicznościom. Twierdzą oni, że gdyby je nawet uwzględnić, stanowiłyby zaledwie 0,1 % błędu w datowaniu radio węglowym. Jednakże są też i tacy, którzy twierdzą, że datowanie radio węglowe, mimo swej precyzji naukowej, może dawać nieściśle wyniki. Wszystkie te wątpliwości dałoby się, być może, rozstrzygnąć, gdyby władze papieskie nie zabraniały dostępu do „świętych obliczy”.

Nasuwa się, więc pytanie zasadnicze: dlaczego Kościół utrudnia te badania? Czym można tłumaczyć uporczywe wzbranianie dostępu do chusty ludziom z zewnątrz, uczonym? Niedopuszczenie osób świeckich do relikwii stało się, bowiem stałym zakazem Kościoła. Dlaczego?

Pytanie to staje się tym bardziej zasadne, gdy Kościół sam przyznaje, że istnieją również wątpliwości natury historycznej, co do istnienia „świętej Weroniki” i sytuacji odpowiadającej popularnej legendzie. Kobiety o tym imieniu nie ma w oficjalnym wykazie świętych Kościoła rzymskokatolickiego. Utrzymanie święta ku jej czci (12 lipca) motywowane jest, zatem chęcią podtrzymywania legendy.

Chusta może być przecież kopią „świętego oblicza”, z Edessy, wykonaną przez malarza z X wieku. Nie ma, więc pewności, czy płótno przechowywane dziś jako chusta jest tym samym płótnem, które pokazywano średniowiecznym pielgrzymom. Czy chusta i inne „święte oblicza” przypominają splotem całun?

Jaki interes ma dzisiaj Kościół w tym, aby wzbraniać badaczom dostępu do źródeł i ukrywać prawdę?

Może, więc ma rację wspomniany wcześniej brytyjski fizyk, dr Michael Straiton, który twierdzi, że w XIV wieku ukrzyżowano człowieka w taki sam sposób jak Chrystusa, jego zwłoki obwinęto tkaniną i tak oto, w wyniku procesu wywołanego przez działania słońca, powstał tajemniczy całun.

Wziąwszy pod uwagę inne zbrodnie, jakich Kościół dokonał w imię Chrystusa, oraz okoliczności zmierzające do celowego utrudniania badań, skłonni jesteśmy przyznać racje tej hipotezie, pomijając nawet racje innych uczonych.

Zagłada Żydów

„Spraw, Panie Boże, by nasza Ojczyzna była zawsze wolna od tego ludu z piekła rodem” – to fragment inskrypcji z jednego z Kościołów Deggendorfu, przypominający rzeź Żydów, jakiej tam dokonano 30 września 1337 roku. Dalej w tym samym Kościele, czytamy także takie oto wyjaśnienie: „Żydzi są zabijani i tępieni przez chrześcijan okazujących gorliwość miłą prawdziwemu Bogu”. W zdaniu tym chyba najlepiej wyrażony został stosunek chrześcijaństwa I Kościoła katolickiego do Żydów i judaizmu. Dwutysięcznej historii Kościoła towarzyszą tysiące przykładów eksterminacji Żydów na wielu kontynentach, przy czym wiek XX niekoniecznie musiałby zostać tu uznany za okres najbardziej tragiczny.

Stosunek Kościoła katolickiego do Żydów i judaizmu należy do najtrudniejszych problemów w całym jego dziejach. Rozliczenie się obu stron konfliktu, wzajemne zrozumienie, a w ostateczności i wzajemne wybaczenie, decydować będzie w ogromnej mierze o przyszłości Kościoła. Znakomicie zdają sobie z tego sprawę czołowi przedstawiciele nurtu reformatorskiego w hierarchii kościelnej, wcielający w życie ducha uchwał II Soboru Watykańskiego. Papież Jan Paweł II uczynił w tym względzie – na tej drodze pojednania – najwięcej. Jako pierwszy w historii urzędu papieskiego złożył wizytę w rzymskiej synagodze, zaapelował o wybaczenie i przeprosił za ogrom zbrodni dokonanych w przeszłości, a nadto śladem patriarchów, podążył z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Gestami tymi, choć niejako obok głównej osi problemu Jana Pawła II wywołał dyskusję, w której wyciąga się najczarniejsze, niejednokrotnie ociekające krwią, karty z dziejów wzajemnych relacji Synagoga – Kościół.

Antysemityzm – czy raczej antyjudaizm – starszy jest od chrześcijaństwa. Przy czym czas, by powszechnie stosowane pojęcie antysemityzmu, przyjęte dla określenia postawy wobec Żydów, zostało tu zweryfikowane. Antysemityzm, bowiem to pojęcie charakteryzujące stosunek do ludów semickich, a więc między innymi do Arabów, a antyjudaizm jest analogicznym pojęciem, ale odnoszącym się do zachowań wobec Żydów.

Antyjudaizm jest równie stary jak lud Izraela i jego religia. Monoteistyczna religia żydowska, narzucająca surowe reguły dla jej wyznawców, wzbudzała awersję, a potem i agresję ludów sąsiadujących z Izraelem. Stąd też przez to niewielkie terytorium przetaczały się dziesiątki wojen, a uprawy pustoszone i tratowane były przez wojska nachodzące z północy, południa i wschodu. O te ziemie wszczynano najkrwawsze w dziejach wojny. Bóg Żydów, choć z jednej strony był nietolerancyjny, surowy i wymagający – to nazwanie swoich wyznawców narodem wybranym, wywołał wśród Żydów niezwykle silne poczucie wyjątkowości. Przy tym jako najważniejsze przykazanie ustanowił zakaz czczenia jakichkolwiek innych bogów przed nim. Nic, więc dziwnego, że Egipcjanie, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie i Rzymianie nienawidzili Żydów. Wierzący w dziesiątki bóstw nie mogli i nie chcieli nie tylko przyjąć, ale nawet zrozumieć Boga Izraela. I w tym kontekście nienawiść do Żydów, tak krwawo demonstrowana przez pogan, może być zrozumiała. Ale czym możemy ją wytłumaczyć u chrześcijan. Ci, bowiem przejęli od Żydów prawie niemal wszystko.

Chrześcijaństwo, a zwłaszcza Kościół katolicki, wywodzi się w całości i niemal dosłownie z judaizmu. Katolicyzm pozostawał przez wieki i pozostaje do dziś żydowski. I nie jest to jedyna kwestia pochodzenia Jezusa i pierwszych jego wyznawców. Łączy ich Stary Testament, tradycja patriarchów, dziedzictwo proroków, wspólne historie, kult męczenników i męczeństwa, liturgia słowa, podstawowe kanony wiary ujęte w Modlitwie Pańskiej, porady, działalność misyjna i mesjanizm, chrzest, tradycje podstawowych świąt, ale przede wszystkim ten sam Bóg. Monoteizm, obyczaje i wiara w życie wieczne musiały obie te religie scementować. Dlaczego je, więc aż tak poróżniły?

Wśród argumentów winy, od początku przywoływano odpowiedzialność Żydów za śmierć Jezusa, gdy tymczasem ci mogli występować tu jedynie jako „realizatorzy” planu zbawienia i bez nich nie byłoby ani chrześcijaństwa, ani tragicznej wspólnej historii.

Chrześcijan i Żydów wiązało z Bogiem przymierze. Żydzi szczycili się mianem narodu wybranego. Do tej roli pretendowali również i chrześcijanie. A że nie mogło być dwóch narodów wybranych, stąd oskarżanie Żydów, że stracili miłość i opiekę swego Boga, gdyż złamali zawarte przez Mojżesza z nim przymierze. W Nowym Testamencie i nauczaniu Ojców Kościoła bardzo wyraźnie jest rozróżnianie Żydów na dobrych i złych, według podziału historycznego. Chrześcijanie chętnie, nawet bardzo, nawiązują do tradycji „dobrych” Żydów, tych z okresu przedchrystusowego, zwanych Hebrajczykami, i absolutnie odżegnują się od Żydów „złych”, współczesnych Janowi Chrzcicielowi, Jezusowi, Apostołom.

Kościół i Synagoga porównywane są tu do dwóch synów Abrahama: Izaaka i Izmaela, z których jeden (Kościół) jest potomkiem zrodzonym z żony wolnej, a drugi (Synagoga) z niewolnicy.

Od pierwszych chwil współistnienia chrześcijan i Żydów podzieliła krew – najpierw przez rzeź niewiniątek w Betlejem. Jezus rozpoczyna misję odkupienia od chrztu, symbolu nowego przymierza z Bogiem. Kiedy Jan – Chrzciciel Boga – ginie w okrutny sposób zamordowany przez złych Żydów, tworzy się rysa w murze jedności, której już nigdy nie da się scalić. Krew Jana jest więc kolejną, która rozdzieliła Kościół i Synagogę. Jan umiera w obronie czystości życia małżeńskiego i starych obyczajów. Ci, którzy go zamordowali, a za nimi gremialnie wszyscy Żydzi, są przez chrześcijan nazywani „cudzołóżnikami”. Pierwszym wyznawcą i twórcą antyjudajizmu chrześcijańskiego był Apostoł Paweł. A kiedy z rąk wyznawców judaizmu ginie ukamienowany Szczepan, walka pomiędzy Kościołem a Synagogą rozpoczyna się na dobre.

Wojna chrześcijan i Żydów, trwająca od dwóch tysięcy lat, jest najdłuższą, najbardziej krwawą i najokrutniejszą wojną w historii ludzkości.

Trzeba było dwóch tysięcy lat współistnienia i milionów ofiar, by nastąpił pontyfikat przełomu Jana Pawła II. Z całą pewnością jednak źródeł przełomu należy szukać w II Soborze Watykańskim. Soborze, w którym Karol Wojtyła, jako metropolita krakowski, tak aktywnie uczestniczył.

Dnia 28 października 1965 roku papież Paweł VI podpisał i ogłosił deklarację o stosunku Kościoła katolickiego do religii niechrześcijańskich – „Nostra Aetate”. Czwarty jej rozdział poświęcony jest judaizmowi i Żydom. Przytoczymy go w całości:

„Zgłębiając tajemnicę Kościoła, święty Sobór obecny pamięta o więzi, którą lud Nowego Testamentu zespolony jest duchowo z plemieniem Abrahama.

Kościół, bowiem Chrystusowy uznaje, iż początki jego wiary i wybrania znajdują według Bożej tajemnicy zbawienia już u Patriarchów, Mojżesza i Proroków. Wyznaje, że w powołaniu Abrahama zawarte jest również powołanie wszystkich wyznawców Chrystusa, synów owego Patriarchy według wiary, i że wyjście ludu wybranego z ziemi niewoli jest mistyczna zapowiedzią i znakiem zbawienia Kościoła. Przeto nie może Kościół zapomnieć o tym, że za pośrednictwem owego ludu, z którym Bóg w niewypowiedzianym miłosierdziu swoim postanowił zawrzeć Stare Przymierze, otrzymał objawienie Starego Testamentu i karmi się korzeniem dobrej oliwki, w którą wszczepione zostały gałązki dziczki oliwnej narodów. Wierzy, bowiem Kościół, że Chrystus, Pokój nasz, przez krzyż pojednał Żydów i narody i w sobie uczynił je jednością.

Zawsze też ma Kościół przed oczami słowa Apostoła Pawła odnoszące się do jego ziomeków, >>do których należy przybrane synostwo i chwała, przymierze i zakon, służba Boża i obietnice; ich przodkami są ci, z których pochodzi Chrystus wedle ciała<< (RZ9,4-5), Syn Dziewicy Maryi. Pamięta także, iż z narodu żydowskiego pochodzili Apostołowie,

będący fundamentami i kolumnami Kościoła, oraz bardzo wielu spośród owych pierwszych uczniów, którzy ogłosili światu Ewangelię Chrystusową.

Według świadectwa Pisma Świętego Jerozolima nie poznała czasu nawiedzenia swego i większość Żydów nie przyjęła Ewangelii, a nawet niemało spośród nich sprzeciwiało się jej rozpowszechnianiu. Niemniej, jak powiada Apostoł, Żydzi nadal ze względu na swych przodków są bardzo drodzy Bogu, który nigdy nie żałuje darów i powołania. Razem z Prorokami i z tymże Apostołem Kościół oczekuje znanego tylko Bogu dnia, w którym wszystkie ludy będą wzywały Pana jednym głosem i >>służyły mu ramieniem jednym<< (Sf 3,9).

Skoro, więc tak wielkie jest dziedzictwo duchowe wspólne chrześcijanom i Żydom, święty Sobór obecny pragnie ożywić i zalecić obustronne poznanie się i poszanowanie, które osiągnąć można zwłaszcza przez studia biblijne i teologiczne oraz przez braterskie rozmowy.

A choć władze żydowskie wraz ze swymi zwolennikami domagały się śmierci Chrystusa, jednakże to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisane ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym. Chociaż Kościół jest nowym Ludem Bożym, nie należy przedstawiać Żydów jako odrzuconych ani jako przeklętych przez Boga, rzekomo na podstawie Pisma Świętego. Niechże, więc wszyscy dbają o to, aby w katechezie i głoszeniu słowa Bożego nie nauczali niczego, co nie licowałoby z prawdą ewangeliczną i z duchem Chrystusowym.

Poza tym Kościół, który potępia wszelkie prześladowania, przeciw jakimkolwiek ludziom zwrócone, pomnąc na wspólne z Żydami dziedzictwo, oplakuje – nie z pobudek politycznych, ale pod wpływem religijnej miłości ewangelicznej – akty nienawiści, prześladowania, przejawy antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom.

Chrystus przy tym, jak to Kościół zawsze utrzymywał i utrzymuje, mękę swoją i śmierć podjął dobrowolnie pod wpływem niezmiernej miłości, za grzechy wszystkich ludzi, aby wszyscy dostąpili zbawienia. Jest, więc zadaniem Kościoła nauczającego głosić krzyż Chrystusowy jako znak zwróconej ku wszystkim miłości Boga i jako źródło wszelkiej łaski”

Od deklaracji „Nostra Aetate” dialog z judaizmem nabiera tempa.

W 1970 roku powstaje Międzynarodowy Katolicko – Żydowski Komitet Łączności. Komitet zbiera się systematycznie często z udziałem papieża. Członków Komitetu przyjmowali zarówno Paweł VI jak i Jan Paweł II.

W październiku 1974 roku powołana została „Komisja do spraw Stosunków Religijnych z Judaizmem” działająca przy watykańskim Sekretariacie dla Jedności Chrześcijan. Na jej czele staje jeden z najbardziej wpływowych kardynałów i bliskich współpracowników papieża kardynał Johann Willebrands. Komisja już w grudniu 1974 roku wydaje słynny dokument „Wskazówki i sugestie w sprawie wprowadzenia w życie deklaracji soborowej Nostra Aetate”. Papież Paweł VI, choć jeszcze chłodno, odnosi się jednak do Żydów z szacunkiem. Ci także, pierwszy raz w historii, traktują papieża jak osobę bliską, czemu najdobitniej dał wyraz w 1975 roku Gerhart Riegner, sekretarz generalny Światowego Kongresu Żydów, kierując do biskupa Rzymu niemal hołdowniczy adres.

Papież Jan Paweł II przedstawicieli strony żydowskiej uczestniczącej w rozmowach z komisją watykańską nazywa „drogimi przyjaciółmi”. Zapewne mając w pamięci doświadczenia sąsiedztwa i przyjaźni Żydów w dzieciństwie i w młodości w Wadowicach, głębię i bogactwo wspólnego dziedzictwa wyraża w przemówieniu do przedstawicieli gminy żydowskiej w Moguncji, rozpoczynając je słowem „Szalom” – „Pokój niech będzie z wami”.

Episkopaty narodowe Europy powołują, na wzór watykańskiej, komisje do dialogu z judaizmem. Konferencja Episkopatu Francji 16 kwietnia 1973 roku ogłasza wskazania duszpasterskie na temat postawy chrześcijan wobec judaizmu.

To niezwykle interesujący i ważny dokument. W czwartym rozdziale zaleca, „nie nauczać niczego, co niezgodne z duchem Chrystusa”. Czytamy w nim: „Jest rzeczą pilną, by chrześcijanie definitywnie przestali wyobrażać sobie Żydów według schematów nacechowanych panująca przez wieki agresywnością; raz na zawsze wyeliminujmy i odważnie zwalczajmy w każdych okolicznościach niegodne człowieka, a tym bardziej chrześcijanina, karykaturalne przedstawienia, np. z nuta pogardy lub odrazy określające Żyda >>jako lichwiarza, człowieka o wybujałych ambicjach lub spiskowca<<, jako >>innego niż wszyscy<< czy jeszcze gorzej ze względu na możliwe konsekwencje – określające Żyda jako >>bogobójcę<<. Odrzucamy i z całym naciskiem potępiamy te obrzydliwe określenia, które w formie bezpośredniej lub zawołanej krążą, niestety, jeszcze w naszych czasach. Antysemityzm jest dziedzictwem świata pogańskiego, ale wzmógł się jeszcze dzięki pseudo – teologicznym argumentom w klimacie chrześcijańskim. Żyd zasługuje na naszą uwagę i szacunek, często na podziw, czasem pewnie także na przyjacielską i braterską krytykę, ale zawsze zasługuje na miłość. Być może tego jemu najbardziej brakowało i tym najbardziej obciążone jest nasze sumienie”.

Cały dokument kończy życzenie:

„Żydzi i chrześcijanie wypełniają swoje powołanie idąc różnymi drogami, lecz historia pokazuje, że ich drogi nieustannie się spotykają. Czyż ich wspólna troska nie dotyczy czasów mesjańskich? Trzeba także życzyć sobie, by wreszcie weszli na drogę wzajemnego uznania i zrozumienia i aby wyrzekając się dawnej nienawiści, zwrócili się ku Ojcu we wspólnym porywie nadziei, który będzie obietnicą dla całej ziemi”.

Dialog jest jednak niezwykle trudny. Zbyt wiele krzywd, krwi i ofiar pochłonęło dwa tysiące lat współistnienia. Przedstawimy niektóre tylko tego przykłady.

Święty Paweł, idąc śladami ludów pogańskich, kontynuował ich nienawiść do Żydów. Wyklinał ich „aż do końca świata”. W swojej antyjudajstycznej postawie trwał przez całe życie. Mimo iż sam był żydem, w podróżach misyjnych aż trzykrotnie wyparł się judaizmu. Pisał o tym w liście do Galatów mówiąc, że „powrót do judaizmu byłby gorszy niż powrót do pogaństwa”.

Karlheinz Deschner w drugim tomie krytycznej historii Kościoła, pt. „I znowu zapiał kur” daje syntetyczny opis wzajemnych relacji między chrześcijaństwem a judaizmem. Prześledźmy tok myślenia Deschnera. O świętym Pawle pisze on, iż ten wyrażał się o Żydach nader pogardliwie. Nazywał ich złodziejami, cudzołożnikami i grabieżcami świątyń. Samą religię i dorobek duchowy Żydów określił jako „nieczyste”. Paweł dość często odwoływał się w swojej nienawiści do Żydów do Starego Testamentu, przy tym często sprzecznie ze stosowanymi cytatami. Właśnie u Pawła znajdujemy najważniejszy i najbardziej „skuteczny” w dziejach argument antyjudajstów: odpowiedzialność za śmierć Jezusa i prześladowanie Proroków. To ostatnie oskarżenie wywodzi się zresztą od samego Jezusa, który Żydów nazwał „zabójcami Proroków”. Żydzi w „Dziejach Apostolskich” to zdrajcy i mordercy. „Którego z Proroków nie prześladowali wasi ojcowie”, „kamienowano ich, przerzynano piłą, przebijano mieczem”, pyta autor oskarżając jednocześnie w obszernym liście do Hebrajczyków. Historiografia chrześcijańska dość łatwo przejęła ten zarzut, nazywając Żydów przez setki lat mordercami proroków, gdy tymczasem Stary Testament, przepelniony opisami żywota licznych Proroków, zaledwie w dwu przypadkach wspomina o morderstwach tych świętych ludzi.

Spośród najstarszych pism Kościoła, Ewangelia św. Jana uważana jest za najbardziej antyżydowską. Uważa się nawet czasem, że nigdy „ogół Żydów nie był oceniony tak negatywnie jak tutaj”. Od ewangelii Jana należy rozróżnić podział na dobry Kościół, po którego stronie znajdują się dzieci Boga, i złą Synagogę – miejsce dzieci szatana.

Żydzi według świętego Jana, to „Synagoga szatana”. Oni są ucieleśnieniem zła, występują jako wrogowie Jezusa czyhający na Jego życie.

Skrupulatni badacze Ewangelii znajdują w niej ponad pięćdziesiąt opisów wrogości do Żydów. Jan odmawia nawet Żydom prawa wywodzenia swego plemienia od Abrahama, stwierdzając, że „wywodzą się oni raczej do diabła”. Święty Paweł, który choć, jak już przytoczyliśmy, nie pałał miłością do Żydów, gotów był niektórych z nich ocalić i przyjąć do Kościoła, mimo że bliski Janowi nie zyskał jego sympatii w „miłości do Żydów”

Najgwałtowniejszym jednak atakiem na Żydów jest tzw. „List Barnaby”. Napisany on został około roku 130 w Syrii. We wczesnym chrześcijaństwie był bardzo ceniony, a przez Klemensa Aleksandryjskiego i Orygenesusa uważany był nawet za część Pisma Świętego. Dziś nie należy do Ksiąg Nowego Testamentu. Barnaba zaprzecza w ogóle, jakoby Żydzi zawarli kiedykolwiek przymierze z Bogiem. Nie byli godni, aby przyjąć Jezusa, który przyszedł do nich na świat, aby „przepęła się miara grzechów”. Barnaba, wzorem Apostołów, obarcza Żydów odpowiedzialnością za prześladowania Proroków, nie daje im prawa do posiadania Świętej Księgi, której nie rozumieją, nazywa ich podobnymi do świń, a z powodu żydowskiego zakazu jedzenia pieczeni z zająca nazywa ich miłośnikami fizycznego wykorzystywania chłopców. Zając według Barnaby ma tyle tylnych otworów, ile lat żyje. Zresztą w ogóle obwinia Żydów niemal o wszystkie grzechy seksualne.

Okolo roku 160 powstał utwór Justyna pt. „Dialog z Żydem Tryfonem”, stanowiący kompilację cytatów ze Starego Testamentu. Żydzi nazywani są w nim okropnymi ludźmi, ślepcami i słabeuszami, niesprawiedliwymi, pozbawionymi rozsądku, grzesznikami, ludźmi bez serca i bez rozumu, rozwiązłymi, miłośnikami wszelkiego zła. To oni sprzeniewierzali się prawu, wzgardzili Przymierzem z Bogiem, zabijali proroków, mordowali chrześcijan, podjudzali inne narody przeciwko wyznawcom Jezusa.

Dla zmycia grzechów Żydów nie starczyłoby całej wody w morzu. Żli Żydzi to już nie tylko faryzeusze i uczeni w piśmie, ale wszyscy przedstawiciele tego narodu.

Pierwsi Ojcowie Kościoła, wzorem Apostołów i Ewangelistów, pozbawili Żydów prawa do ich dziedzictwa. Zabronili im prawa wywodzenia się od Abrahama i Mojżesza. Jan Ewangelista pisze „Waszym oskarżycielem jest Mojżesz, w którym wy pokładacie nadzieję”. W liście Klemensa, Abraham nazywany jest już „naszym” – chrześcijan – ojcem. Stary Testament przez Justyna w „Dialogu z Żydem Tryfonem” nazywany jest „naszym” pismem.

Do oskarżania Żydów o najcięższe grzechy wykorzystano nawet ich najbardziej krwawą, do czasu XX wieku, tragedię – wojnę żydowską i konfrontację z Rzymianami. Kiedy w 70 roku zburzona została Jerozolima, a w jej murach zginęło półtora miliona Żydów, uznano to za karę Bożą – zapowiedzianą zresztą przez Chrystusa. Zniszczono wówczas całą Palestynę i jej miasta, wprowadzono całkowity zakaz przybywania Żydów do Jerozolimy, rozpoczynając tym samym dwa tysiące lat trwającą diasporę. Justyn pisze: „dobrze się stało, zasłużyliście sobie na to, wy niegodni synowie, cudzołożne plemię, dzieci nierządne”.

Krytyka „łagodnego” Justyna, bo takie nadano mu miano, była jednak niczym w porównaniu z nauczaniem Ojców Kościoła w III, IV i V wieku chrześcijaństwa.

Tertulian, Pseudo – Cyprian, Augustyn, Jan Chryzostom i bardzo wielu innych w niemal identycznie tytułowanych pismach „Przeciw Żydom” wymieniają nowe i bardzo obszerne katalogi win. Tertulian nawet stwierdził, że Bóg Żydów nie był tym samym Bogiem, którego mają chrześcijanie. „Szatan jest Ojcem Żydów” pisze biskup Cyprian. Doktor Kościoła Efreem uważał, że „Żydzi w swojej żądzy krwi nie znajdują żadnego umiaru”. Zalecał: „Uciekaj przed Żydami, bo twoja śmierć i twa krew nic dla nich nie znaczą”, i dalej: „są oni 99 razy gorsi niż nie – Żydzi”.

Jan Chryzostom w końcu IV wieku „poświęcił” Żydom osiem kazań. Według niego Żydzi nie są lepsi niż świny i barany. Synagogę nazywa: teatrem, burdelem, jaskinią morderców, siedliskiem dzikich zwierząt i siedzibą szatana. Także dusza każdego Żyda jest siedzibą szatana. To on jako jeden z pierwszych napisał, że Żydzi „własnymi rękami zabijają swoje

dzieci”. Później nieco zweryfikował ten pogląd pisząc: „nawet, jeśli nie zabijają już swoich dzieci, to przecież mordowali Chrystusa, co jest jeszcze gorsze”.

Diogenet uważa Żydów za głupich, zabobonnych, obłudnych, śmiesznych, wyśmiewa się z żydowskich postów, obrzezania i przepisów o szabacie.

Bazyli wzywa: „Niechaj Żyd będzie pohańbiony”.

Według Orygenesesa „najohydniejszą niegodziwością” ze strony Żydów było prześladowanie Jezusa, za co zresztą zostali ukarani zniszczeniem ziemi izraelskiej i zburzeniem Jerozolimy.

Tertulian uważał, że prześladowania chrześcijan w pierwszych wiekach zawsze rozpoczynały się w synagogach.

„Żydzi nie są wcale ludem Bożym, lecz pochodzą od dotkniętych trędem Egipcjan. Bóg nienawidzi ich, oni zaś nienawidzą Boga... Żydzi w ogóle nie rozumieją Starego Testamentu, sfalszowali go i tylko chrześcijanie potrafią go oczyścić..., dręczą i wyszydają Jezusa..., zamordowali Pana, najchętniej wymordowaliby wszystkich chrześcijan..., Żydzi mogą służyć chrześcijanom – wyłącznie jako niewolnicy”. Katalog ten zawiera zestaw najważniejszych zarzutów wobec Żydów, powtarzanych od pierwszych wieków chrześcijaństwa po końcowe lata XX wieku. Nawet obecnie wielu wybitnych hierarchów Kościoła skłonnych byłoby podpisać się pod tymi zarzutami, gdyby nie postawa papieża Jana Pawła II. Żydzi i chrześcijanie od roku 70 czyli od początku wielkiej diaspory, żyli w stałej separacji, ściśle przestrzegając zakazu utrzymywania jakichkolwiek kontaktów.

Nic więc dziwnego, że antyjudajizm Ojców Kościoła został przejęty i zaakceptowany przez cesarzy chrześcijańskich oraz włączony do kanonów polityki państwa.

„Z tą okropną hordą Żydów nie chcemy mieć nic wspólnego”, twierdził cesarz Konstantyn uważany za pierwszego cesarza chrześcijańskiego. Nazywał ich „ludem odrażonym”, „ludźmi splamionymi krwią” i z „wrodzonym obłędem”. Za jego przykładem i z inspiracji Kościoła, wielu cesarzy w IV i V wieku kontynuowało politykę antysemitką – i to w wersji zaostrzonej. Sobór w Nicei zakazał Żydom posiadania niewolników chrześcijan, „gdyż byłoby to wielce niesprawiedliwe, aby ci, co zabili Pana i mordowali proroków, gnębili wyznawców Chrystusa”.

Synod w Elwirze ogłosił katalog kar dla duchowych i małżeństw mieszanych za utrzymywanie kontaktów z Żydami. Synowie Konstantyna jeszcze te kary zaostrzyli. Przedtem „winnych” pozbawiano komunii, teraz przejście chrześcijanina na judaizm oznaczało konfiskatę majątku, a poślubienie chrześcijanki przez Żyda i obrzezanie niewolników – nawet śmierć. Wyjątkiem był cesarz Julian Apostata, zwany nawet filosemitą, za co zresztą spotkało go ze strony Kościoła wiele zarzutów i zniewag.

W 404 roku zakazano Żydom wstępowania do armii oraz zajmowania urzędów państwowych. Decyzje te uznawane były aż do XIX wieku i ponownie, w zaostrzonej formie, realizowane w III Rzeszy Adolfa Hitlera.

Kulminacją represji był rok 553, w którym cesarz Justynian zakazał Żydom korzystania nawet z Talmudu.

Wielu historyków dowodzi nie bez racji, że we wczesnym średniowieczu na czele ruchów antysemitycznych stali chrześcijanie, a Kościół, jako instytucja, inspirował wiele działań skierowanych przeciwko Synagodze.

Pierwsza synagoga zburzona została w połowie IV wieku z polecenia biskupa Innocentego w północnych Włoszech. Skonfiskowano przy tym całe mienie gminy żydowskiej. W położonej w północnej Afryce Tipasie, w tym samym czasie odebrano Żydom synagogę i przekształcono ją w kościół.

Pierwszą synagogę spalono natomiast w 388 roku nad Eufratem na polecenie biskupa Kalinikonu. Nie pomogła wtedy Żydom nawet interwencja cesarza Teodozjusza, który zażądał, aby podpalaczy ukarano, a synagogę odbudowano za pieniądze miejscowego

biskupa. Po stronie chrześcijańskich podpalaczy opowiedzieli się biskupi sąsiednich diecezji, w tym doktor kościoła Ambroży, który zakazał cesarzowi przyjmowania komunii do czasu cofnięcia wcześniejszych decyzji.

W 415 roku arcybiskup Cyryl, zwany Aleksandryjskim, doprowadził do konfiskaty wszystkich egipskich synagog i zamiany ich na kościoły. Zburzono wtedy wielką synagogę w Aleksandrii, zagrabiono mienie gmin żydowskich i same usunięto z miast. Antysemicka postawa biskupa Aleksandryjskiego była przykładem dla innych hierarchów. Do dziś Cyryl uważany jest za jednego z największych przeciwników Żydów wśród duchownych chrześcijańskich. Są jednak i tacy, którzy próbują tłumaczyć postępowanie Cyryla. Zdaniem kardynała Newmana, nie było możliwe, aby ten święty Kościoła rzymskokatolickiego i greckiego Kościoła prawosławnego, inicjator kultu Maryi, mógł być sądzony według jego zewnętrznych czynów, a nie z racji „wewnętrznej świętości”. Cyryl Aleksandryjski miał na swoim sumieniu nie tylko grzechy antysemickie. Posadzono go między innymi, że był zamieszany w bestialskie zamordowanie kobiety – filozofa, Hypatii. Wprowadzony przez niego kult Maryi – Matki Jezusa na Soborze w Efezie wymagał przekazania ojcom soborowym ogromnych łapówek.

Biskup Jan z Efezu przekształcił siedem synagog w kościoły chrześcijańskie. Biskup Jan chwalił wszystkich duchownych, którzy występowali przeciwko Żydom. Nazywał Żydów „mordercami Syna Bożego, których nie należałoby w ogóle pozostawić przy życiu”.

Przynajmniej we wczesnych wiekach chrześcijaństwa widoczna była różnica w postępowaniu wobec Żydów między biskupami i duchownymi chrześcijanami, a wiernymi. Lud chrześcijański w wielu miejscach żył z Żydami w symbiozie, niekiedy nawet utrzymując z nim bliskie związki. W okolicach Antiochii w IV wieku znana była synagoga z wielu uzdrowień. Nic, więc dziwnego, że – równie często jak Żydzi – bywali w niej chrześcijanie. Chrześcijanie hiszpańscy zabiegali, aby rabini święcili im pola.

Synod w Elwirze skończył jednak z tą „koegzystencją”. Wszelkie związki z Żydami karano ekskomuniką.

Czarne czasy dla Żydów dopiero nadejdą. W miarę jak Kościół i chrześcijanie nabierali znaczenia i rośli w siłę, dla Żydów nadchodziły coraz gorsze czasy. Szczyt antyjudajizmu przypadł na szczyt potęgi świeckiego państwa kościelnego.

Nie wszyscy władcy Europy przejawiali zdecydowanie wrogi stosunek do Żydów. Karol Wielki, Ludwik Pobożny, Henryk IV, Fryderyk III byli wśród nich najbardziej tolerancyjni, czasem nawet „łaskawi”. Żydzi także życzliwie oceniali niektórych papieży, w tym szczególnie Grzegorza I (590-604) zwanego Wielkim, mimo iż ten przeciwko Żydom skierował aż dziesięć listów i wydał zakaz budowania synagog i posiadania przez Żydów niewolników chrześcijańskich.

Sprawa zakazu budowy synagog należy do najstarszych represji antyżydowskich. Od 423 roku nie wolno było wznosić żadnej synagogi bez zgody Kościoła.

Nie sposób tu wyliczyć wszystkich nieszczęść, jakie dotknęły Żydów ze strony chrześcijaństwa, papieżstwa i Kościoła protestanckiego. A oto tylko niektóre z nich:

- w roku 506 synod w Agde zakazuje, pod groźbą ekskomuniki jadania razem z Żydami;

- w roku 538 synod orleański zabrania Żydom w drugiej połowie Wielkiego Tygodnia wychodzenia z domów na ulice;

- w roku 581 synod w Macon zmusza Żydów, aby z nabożną czcią pozdrawiali księży i wstawali na ich widok (*notabene* ten sam synod zabronił księżom odprawiania mszy, kiedy się objedzą i opiją).

Problem Żydów znalazł też miejsce w uchwałach wielu synodów francuskich. Między innymi w: Vannes – 465, Orlean – 533, Clermont – 535, Orlean – 541, Orlean – 548, Paryż – 614, Reims – 624, Chalons-sur-Saone – 650. Na podstawie zaleceń synodalnych przymusowo

chrzczono Żydów, zmuszano do masowej banicji, palono i burzono synagogi oraz domy i całe zamieszkałe przez nich dzielnice.

Na początku IX wieku powstało aż pięć traktatów przeciwko Żydom. Ich autorem był arcybiskup Lyonu, Agobard. Warto zaznaczyć, że tysiąc lat później, w okresie nasilenia propagandy hitlerowskiej wykorzystywano wywody biskupa, określając go mianem „najbrutalniejszego wroga narodu żydowskiego”. Cytowane traktaty to nic innego, jak stek bzdur powtarzanych już od wieków. Dość wspomnieć, że wśród budzących grozę opowieści istnieje i ta, jakoby starszyzna żydowska smakować miała menstruacyjną krew kobiety, by zbadać, czy czasem niewiasta ta nie jest nieczysta. To Agobardowi przypisuje się słynne hasło: „Nie kupujcie u żadnego Żyda” – z takim sukcesem lansowane przez następne dwanaście stuleci.

Inny biskup, z Limoges, wydał w 1010 roku zalecenie, aby teologowie przez cztery tygodnie przekonywali Żydów o mesjanizmie Jezusa na podstawie Starego Testamentu. Gdy ta swoista resocjalizacja nie przyniosła efektu i większość Żydów pozostała przy swojej wierze, zatwardziały męczenników wymordowano albo skazano na banicję.

Królowie Francji kilkakrotnie, także dla podreperowania skarbcza korony, konfiskowali mienie gmin żydowskich, a ich samych wypędzali z kraju. Tak było między innymi, w roku 1182 i w 1394.

Wydaje się, że w czasie średniowiecza nienawiść do Żydów przejawiała się w sposób najbardziej fanatyczny na terenach Hiszpanii. A wszystko rozpoczęło się w roku 586, kiedy to ówczesny król Rekkared zawarł sojusz z Kościołem. W ciągu stu lat władcy iberyjscy wydali prawie pięćdziesiąt edyktów ograniczających prawa Żydów i wprowadzających wobec nich represje. Władcy hiszpańscy i tamtejsi biskupi ściśle ze sobą w tym względzie współpracowali. Słynny arcybiskup Sewilli, Izydor, nie tylko wszelkie działania skierowane przeciw Żydom usprawiedliwiał, ale nawet do nich zachęcał. Podobnie jak we Francji synod w Toledo w 589 roku zakazał Żydom posiadania niewolników, zmuszając ich nadto do sprzedaży majątków ziemskich. Żydzi, którzy przyjęli chrzest, a później od niego odstąpili byli karani na podstawie synodu z 633 roku, odbytego także w Toledo. W tych sprawach sadyży żydów nie sądy państwowe, ale miejscowi biskupi. Wśród wielu kar stosowanych wobec odszczepieńców, była i ta, która nakazywała odbieranie im dzieci, poddawanych rytuałowi obrzezania, i przekazywanie ich na wychowanie do rodzin chrześcijańskich.

Na kolejnym synodzie w Toledo w 638 roku nakazano wszystkim mieszkającym w Hiszpanii Żydom poddanie się obrzędowi chrztu. Nakaz ten powtórzono w tymże Toledo piętnaście lat później. Oberwało się wtedy królowi Rekkeswinthowi, który pozwolił sobie na nieco łagodniejszy stosunek do Żydów.

Także w Toledo, w 694 roku, hierarchowie kościoła hiszpańskiego zebrani na siedemnastym synodzie uznali Żydów – pod pretekstem ich działalności antypaństwowej i znieważania „Chrystusowego krzyża” – za niewolników. Mienie skonfiskowano, dzieci powyżej ósmego roku życia odebrano, a po reedukacji w rodzinach chrześcijańskich zmuszono do małżeństwa z chrześcijanami.

Przez tysiąc lat Żydom w Hiszpanii, a także w Portugalii, działa się krzywda, byli karani i represjonowani pod byle pozorem. Synod w Zamorze, odbyty 1313 roku, zagroził ekskomuniką tym władzom świeckim, które niezbyt chętnie wprowadzają w życie wcześniejsze decyzje o uznaniu Żydów za niewolników. Regularnie, każdego roku, odczytywano w kościołach krzywdzące Żydów postanowienia, zalecając z całą surowością hiszpańskiego Kościoła i inkwizycji skrupulatnie ich przestrzeganie.

Szczególne sławą w gnębieniu Żydów wsławił się arcybiskup Sewilli, Martinez. Czynił to najpierw słownie zachęcając w 1388 roku, zarówno duchownych jak i wiernych, do wystąpienia przeciwko sewilskiej gminie żydowskiej. W trzy lata później sam stanął na czele bardziej radykalnych działań. Kazał pozbawić życia znaczną część Żydów – zginęło ich

wówczas cztery tysiące – a pozostałych – dwadzieścia pięć tysięcy – sprzedać w niewolę. To on głosił hasło: „Żydów, którzy nie chcą stać się chrześcijanami, należy zabijać”.

Jeszcze bardziej zdecydowane akty antyżydowskie podjęto za panowania arcykatolickich królów Hiszpanii – Izabeli i Ferdynanda: po prostu w 1492 roku wszystkich nieochrzczonych Żydów, wypędzono z królestwa. Śladem Hiszpanii, pięć lat później podobnie postąpiła Portugalia.

Od wielu lat zgłaszany postulat wyniesienia na ołtarze Izabeli i Ferdynanda nie może zdobyć dostatecznego poparcia właśnie wskutek zarzutów eksterminacji znacznej części ludności Hiszpanii – pochodzenia żydowskiego.

Nie zawsze Hiszpania i jej lud byli tak antyżydowscy, jak w opisywanych wyżej przypadkach. Wcześniej wspomnieliśmy już o święceniach pól przez rabinów. Gdy w końcu VIII wieku papież Hadrian I (772-795) dowiedział się o bliskich związkach Żydów z chrześcijanami w Hiszpanii, zjawisko to bardzo ostro potępił i zakazał wręcz chrześcijanom jadania w towarzystwie Żydów. Określił nadto kary dla Żydów – kary pieniężne i chłostę za okazywanie „pogardy dla religii chrześcijańskiej”, a za próby nawrócenia chrześcijanina na judaizm – karę śmierci i konfiskatę majątku.

W cesarstwie rzymskim narodu niemieckiego prześladowania Żydów rozpoczęły się nieco później niż w krajach sąsiednich, ale za to ze zdwojona siłą, zwłaszcza w okresie wypraw krzyżowych. Nie chodziło przy tym o pobudki ekonomiczne czy też rasowe, Żydów tępieno niemal wyłącznie z inspiracji fanatycznego kleru. Znane są przypadki udzielania pomocy kupcom żydowskim przez kupców niemieckich w okresie nasilonego prześladowania.

Największe pogromy Żydów w dobie krucjat w cesarstwie odbyły się w Metz, Trewirze, Wormacji, Moguncji, Ratyzbonie i w Pradze. W każdym z tych miast wymordowano tysiące Żydów, jako że po cóż szukać wrogów chrześcijaństwa w dalekich krajach, skoro pośród nas żyją żydowscy bluźniercy, o wiele gorsi niż Saraceni, i bezkarnie znieważają Chrystusa i sakramenty – argumentowano.

W 1298 roku w bawarskim mieście Röttingen oskarżono Żydów o zbezczeszczenie hostii. Pewien szlachcic o nazwisku Rindelfleisch, powołując się na rozkaz dany mu przez Boga, zebrał zgraję zwyczajnych bandytów i urządził wraz z tą hordą krwawą rzeź. Mordy trwały przez cały rok. Zginęli wszyscy Żydzi w Röttingen, a prawie 140 osad żydowskich zniszczono w okolicach miasta.

Sprawa zbezczeszczenia hostii była jednym z najczęściej wysuwanych zarzutów w okresie średniowiecza. Zarzucano Żydom, że przebijają hostie gwoździami, nakłaniając chrześcijańską służbę do jej wykradania. Pomawiano ich ponadto o dokonywanie rytualnych mordów i zatrucie studzien. Hostie krwawiły i były to widoczne dla gawiedzi dowody winy Żydów. Chrześcijańska służba i niewolnicy, obsługujący Żydów, pozbawieni zostali prawa przyjmowania komunii. Kradzież hostii karana była śmiercią. Kiedy w Deggendorfie, mieście w Dolnej Bawarii, rozeszła się w 1337 roku wieść o zbezczeszczeniu komunikantów, wymordowano wszystkich tamtejszych Żydów. Prym w „rozprawianiu” się z Żydami wiedli ci, którzy zaciągali wcześniej pożyczki u swoich ofiar. Dodatkową nagrodą było zagarnięcie całego ich mienia.

Historycy oceniają, że „najgorszym dla niemieckich Żydów przed dojściem Hitlera do władzy” był rok 1349. W Strasburgu spalono ich dwa tysiące. Majątek ofiar rozdzielono pośród chrześcijan. W podobny sposób rozprawiono się z Żydami w 350 gminach. Ofiary najczęściej palono żywcem.

„Na chwałę Bogu i Świętej Dziewicy” – wypędzono Żydów w 1426 roku z Kolonii, natomiast z Erfurtu w 1458 roku. Gmina żydowska w Ratyzbonie, za sprawą proboszcza miejscowej katedry, zniszczona została ponownie w 1529 roku. Z Frankfurtu nad Menem

wypędzono ich w 1614 roku. Przez stulecia Żydzi z należyтым szacunkiem musieli pozdrawiać chrześcijan „Okaz mores, Żydzie” – wołano.

W innych krajach nie było lepiej. W Anglii przez czterysta lat, poczynając od roku 1290. Żydzi w ogóle wyjęci byli spod prawa. W koloniach amerykańskich podobnie. Także w republikach północno – włoskich nie tolerowano Żydów z zasady, choć krwawe represje zdarzały się tu najrzadziej. Pewnym wyjątkiem była Polska, w której Żydów traktowano tolerancyjnie. Ale i tu, na ziemiach polskich w 1648 roku doszło do krwawych ekscesów, czego efektem była rzeź 200 tysięcy Żydów, której dopuścili się Kozacy.

Nawet chrześcijańscy znawcy sprawy twierdzą, że „trudno byłoby wymienić jakąkolwiek niegodziwość, jakiegokolwiek represje, które by nie spotkały Żydów w chrześcijańskiej Europie”. Przy czym „straszliwe rzezie, ćwiartowanie, okaleczenia, rozpruwanie ciał, palenie żywcem wielu tysięcy ludzi – wszystko to odbywało się w imię wiary”. Żydzi „umierali razem z żonami i dziećmi. Tysiące, dziesiątki tysięcy Żydów zabijali chrześcijanie gołymi rękami, topili, palili żywcem, łamali kołem, wieszali; ponadto krajano, ćwiartowano, duszono i grzebano żyjących jeszcze ludzi. Na postronkach i za włosy zaciągano ich do baptysteriów. I wyższe duchowieństwo brało czynny udział w chrzczeniu przemocą”. To tylko niektóre opisy zbrodni.

Wszystko to działo się za wiedzą i aprobatą najwyższych hierarchów Kościoła, w tym także papieży. Papież Leon I Wielki atakował Żydów „za ich ohydne zbrodnie”. Mówił, że trzeba ich wyklinać i nienawidzić. Papież Stefan VI nazwał ich „psami”. Trzeci Sobór Laterański w 1179 roku zagroził ekskomuniką wszystkim tym, „którzy ośmielają się współżyć z Żydami”. Papież Innocenty III w 1205 roku uznał, że Żydzi powinni zostać wiecznie ujarzmianymi i „wyklętymi przez Boga niewolnikami”. Za jego pontyfikatu odbył się czwarty Sobór Laterański, który zakazał Żydom piastowania urzędów oraz wychodzenia na ulice podczas największych świąt chrześcijańskich. Najkrwawsze pogromy Żydów odbywały się w drugiej połowie Wielkiego Tygodnia. Ten sam Sobór wprowadził do prawa kanonicznego przepis nakazujący Żydom noszenie wyróżniającej ich odzieży, albo oznak. To z polecenia papieży wyznaczono dla Żydów pierwsze getta, zamykając w nich mieszkańców na całe dziesięciolecia.

Czy należy się dziwić, że w wyniku setek lat prawdziwej polityki eksterminacji prowadzonej przez Kościół, pogarda do nich zakorzeniła się nieodwracalnie we wszystkich warstwach społecznych.

A przy tym Żydzi potrzebni byli średniowiecznym społeczeństwom chrześcijańskiej Europy. Żadna dziedzina życia nie była tak tępiona, jak inwestowanie pieniędzy i wypożyczanie ich na procent. Pożyczanie pieniędzy na procent, czyli lichwa, było surowo przez Kościół zakazane. Bez tego jednak mnie mogły się obejść wszystkie warstwy społeczne. Pożyczanie pieniędzy było koniecznością. Tę „brudną robotę” pozostawiano Żydom, „a gdyby ich mnie było, należałoby ich do tego celu wymyślić”. Mityczne fortuny, zgromadzone przez bogacących się Żydów, były dla nich także przekleństwem Chciwi monarchowie i potężni możnowładcy, co rusz sięgali po zasoby finansowe gmin żydowskich. Najłatwiejszym sposobem na zdobycie majątku było albo ich wypędzenie, albo śmierć. Nie pierwszy to przypadek z tamtych czasów, kiedy tysiące ludzi miało zniknąć dla podreperowania skarbcza królewskiego. Taki sam los spotkał templariuszy, ale to już inna historia. A św. Tomasz z Akwinu nauczał: „Skoro Żydzi są niewolnikami Kościoła, może on dysponować ich majątkiem”.

Przez całe średniowiecze niczego bardziej się nie obawiano, jak gniewu Boga. Od Atlantyku po Ruś umacniało się przekonanie, że ludzie stali się już na tyle niegodziwi, że Bóg doprowadzi do kresu ich istnienia. Nawet najgorętsza modlitwa – jak pisano – jest bezsilna i „już nas nie osłania”. Nie mogło być niczego bardziej potężnego niż gniew Boga, wielokroć potężniejszego niż gniew ludzi. Fakty jednak dowiodły czegoś innego, gdy gniew ludzi

skierowany został przeciwko Żydom. Pod zarzutem, że zatrują studnie, aby „zabić i zniszczyć całe chrześcijaństwo i objąć panowanie nad światem”, rozpoczęto prawie dwieście lat trwającą akcję” obmywania własnych win krwią „morderców Chrystusa”.

Przez Europę przetaczała się wielka zaraza, pochłaniając przeszło trzecią część ówczesnej populacji. Natychmiast uznano zarazę za karę Bożą. Ludzie pogrążeni w nieszczęściu poszukiwali winnych, na których mogli wyładować swój gniew. Jakże niewiele trzeba było, aby wskazać im „winnych”, przecież nie można było okazywać gniewu Panu Bogu. Obcy, nierozumiani, wyalienowani Żydzi stali się najdogodniejszym celem ataków. Dodatkową zaś pokusę stanowiła możliwość zagrabienia ich mienia.

Oskarżenie o zatrucie studni było tak dawne, jak zaraza w Atenach, kiedy to wysunięto ten zarzut wobec Spartan. Podobnie, kiedy w latach 1320-1321 Hiszpanie i Francję dotknęły epidemie, winą za nie obarczono trędowatych. Zresztą i oni mieli wedle powszechnego przekonania „działać” z podpuszczenia Żydów i muzułmańskiego władcy Granady. We Francji trędowatych spędzano do zagród i tam palono. Ich żydowskich mocodawców „na razie” karano grzywnami i „drobnymi napaściami”. Kiedy jednak w Europie w połowie XIV stulecia rozszalała się zaraza, zarzuty przeciw Żydom odżyły natychmiast. Nawoływania do wymierzenia sprawiedliwości stały się wezwaniami do mordów. Głoszono je niemal zawsze z kościelnych ambon.

W 1348 roku w Narbonne i Carcassone wyciągano Żydów z domów i żywcem rzucano na stosy.

W 1458 roku zaraza dotknęła miasto Arras. Jedna piąta mieszkańców straciła życie. Dwa lata później rozpoczęły się tam straszliwe prześladowania Żydów i polowanie na czarownice w poszukiwaniu winnych wcześniejszej zarazy.

Żydów przedstawiano w kazaniach jako fanatyków pełnych nienawiści do rodzaju ludzkiego, który zamierzali potajemnie zniszczyć.

Przyznać wprawdzie należy, iż oficjalnie Kościół przyznawał Żydom pewne ludzkie prawa. Bóg, bowiem stworzył świat dla wszystkich ludzi. Za obrońcę Żydów uchodził papież Klemens VI. Żydzi, wedle tych praw, nie powinni być skazywani bez procesu, nie wolno było profanować synagog i cmentarzy ani też bezkarnie rabować ich własności. W rzeczywistości prawa te nie miały praktycznie żadnego znaczenia. Żydzi nie mogli wnosić oskarżeń przeciwko chrześcijanom, a żydowskie zeznanie, w konfrontacji z zeznaniem chrześcijanina, pozbawione zostało wartości. Oficjalną doktrynę, że Żydzi, jako zabójcy Chrystusa zostali skazani na wieczne poddaństwo, ogłosił papież Innocenty III w 1205 roku.

Ten sam papież w tymże roku, dla podkreślenia odrębności Żydów, nakazał, aby nosili oni specjalne oznaki, zazwyczaj w kształcie koła lub owalnej łatki z żółtego filcu, mającej wyobrażać złotą monetę. Jak widać, do tradycji tej chętnie nawiązano wiele wieków później – w czasach nazistowskich. Inną formą oznakowania Żydów był nakaz noszenia kapelusza w kształcie rogu, który był przecież symbolem diabła. W XIII wieku noszenie emblematów i oznaczeń wyróżniających nakazał Kościół także muzułmanom i prostytutkom.

W Sabaudii pierwsze formalne procesy przeciwko Żydom rozpoczęto we wrześniu 1349 roku. Dały one początek oskarżeniu „o żydowską konspirację, wywodzącą się z Hiszpanii”, skąd z Toledo miano rozpowszechnić po miastach Europy „w małych paczkach lub w wąskim, zaszytym, skórzanym woreczku” truciznę wraz z instrukcjami zatrucia studni i źródeł rzek. Jedenastu sabaudzkich Żydów spalono żywcem, a ich zeznania, w formie instrukcji przekazywano listownie do wielu miast, gdzie ożywiły falę napaści i oskarżeń skierowanych przeciwko tamtejszym gminom. Z Sabaudii fala represji przeniosła się do Alzacji, Szwajcarii i całych Niemiec.

W styczniu 1349 roku kilkuset osobowa gmina żydowska w Bazylei została spalona w specjalnie w tym celu zbudowanym na wyspie na Renie drewnianym budynku. Ponadto uchwalono dekret, że przez najbliższe dwieście lat żaden Żyd nie może się osiedlić w Bazylei.

Kiedy rada miejska w Strasburgu sprzeciwiła się represjom wymierzonym przeciwko Żydom, została usunięta i wybrano nową, skłoną zgodzić się na „boska sprawiedliwość”. W lutym 1349 roku dwa tysiące Żydów ze Strasburga zgromadzono na cmentarzu i spalono na specjalnie przygotowanych stosach.

Kiedy w Europie pojawili się biczownicy, represje przeciw Żydom jeszcze się wzmocniły. Zorganizowane grupy biczowników – liczące nawet do tysiąca osób – ciągnęły od miasta do miasta. To oni najgłośniej nawoływali do szukania odwetu na Żydach. Zresztą wkrótce swój gniew skierowali także przeciwko samemu Kościołowi.

Gminy żydowskie wymordowano też we Fryburgu, Augsburgu, Norymberdze, Monachium, Królewcu i Ratyzbonie.

W 1349 roku czterystu osobowe gminy w Wormacji i Yorku, nawiązując do dawnej tradycji, same spaliły się we wnętrzach własnych domów, wołąc taką śmierć aniżeli zadaną przez wrogów. Podobnie postąpiła duża gmina żydowska we Frankfurcie nad Menem, wywołując przy tym pożar prawie całego miasta.

Największa gmina żydowska ówczesnej Europy w Moguncji postanowiła stawić czynny opór oprawcom. W trakcie walk zginęło dwustu napastników. Akt ten spotęgował tylko atak rozsierzonych mieszczan. Nierówność sił sprawiła, że w końcu Żydzi musieli wycofać się do swych domów i je podpalili. I tak 24 sierpnia 1349 roku spłonęło w Moguncji sześć tysięcy Żydów.

W Erfurcie, spośród trzech tysięcy Żydów, nie przeżył żaden. W Antwerpii i Brukseli w grudniu 1349 roku również całe gminy uległy zagładzie. Gdy epidemia wygasła, w Niemczech i w Niderlandach przy życiu pozostało zaledwie kilku Żydów. Rok 1349 był najstraszliwszym rokiem w historii Żydów Europy.

Żydzi byli jednak potrzebni elitom. Nakłaniano ich do powrotu z Europy wschodniej, gdzie część z nich schroniła się przed represjami. Zapewniano im dwudziestoletnie prawo pobytu w zamian za odpowiednie opłaty. A pieniądze były potrzebne zawsze.

Fala antyżydowskich wystąpień przeszła przez Francję jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XIV wieku. Wypędzano ich z miast, łapano dzieci, by je siłą ochrzcić, a tych, którzy się nie dali, wrzucano do rzeki. W 1349 roku pod presją tłumów władca francuski zmuszony został do wydania dekretu o jeszcze jednym *exodusie* Żydów z królestwa.

W 1391 roku archidiakon Ferran Martinez wygłosił serie kazań, w których sformułował tezę o konieczności zastosowania wobec Żydów „ostatecznego rozwiązania”. I do tego oświadczenia hierarchy Kościoła nawiązało także hitlerowski, *Endlösung*. Rozpoczęły się morderstwa i masowe prześladowania. Hiszpania praktycznie dojrzała do „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. I sto lat później tego rzeczywiście dokonano, wydalając wszystkich Żydów z kraju rządzonego przez arcykatolickich władców Ferdynanda i Izabelę.

Kiedy w niedzielę wielkanocną ksiądz prowadził procesję przez żydowską dzielnicę Pragi, trafiony został kamieniem, rzuconym przez żydowskie dziecko. Incydent ten dał początek wymordowaniu trzytysięcznej tamtejszej gminy. Gdy kilku uratowanych Żydów zwróciło się do króla Wacława o sprawiedliwość, ten oświadczył, że Żydzi zasłużyli na karę, i sam ukarał pozostałych przy życiu.

Wiara w to, że Żydzi dokonują rytualnych mordów na chrześcijanach, powstała prawdopodobnie z potrzeby odtworzenia na nowo sceny ukrzyżowania, a towarzyszyło jej równie uparcie szerzone w średniowieczu przekonanie, że Żydzi znają sekretny obrzęd, za pomocą którego pozbawiają hostię jej świętej mocy. Na tle symbolicznego spożywania przez chrześcijan krwi Zbawiciela – zrodzona została nowa mitologia krwi.

Uważano, że Żydzi porywają i torturują dzieci chrześcijańskie i piją ich krew dla własnych zbrodniczych celów, od sadyzmu i czarów po konieczność. Szerzono przy tym

jeszcze inną, równie „rewelacyjną” opinie, jakoby Żydzi musieli zasilać własną krew krwią chrześcijan dla uzyskania ludzkiego wyglądu.

Los Żydów nie uległ poprawie również w ruchach reformatorskich Kościoła.

Marcin Luter w pierwszych latach reformatorskiej działalności współczuł Żydom. Pisał nawet, że „gdyby sam był Żydem i musiał doznawać tego, jak obchodzą się z nimi chrześcijanie, to wolałby być świnia”. Kiedy już stał się przywódcą nowego Kościoła, przemienił się w zawziętego antysemitę. Nakazywał „surowe miłosierdzie”, powtarzał wszystkie opowieści, kłamstwa i slogany o Żydach. Sam napisał, co najmniej kilka ostrych pamfletów skierowanych przeciw Żydom, by wspomnieć choćby takie, jak: „List do dobrego przyjaciela przeciw tym, co obchodzą szabat”, „O Żydach i ich kłamstwach”, „Szem Hamforas”. Nazywał w nich Żydów świniami, czasem nawet twierdził, że są oni „gorsi niż maciory”.

Kiedy przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze zeznania składał Julius Streicher, redaktor naczelny wstawionej hitlerowskiej i antysemitycznej gazety „Stürmen”, często powoływał się na nauki Marcina Lutra, a cytując jego argumenty, uzasadniał hitlerowską represję „ostatecznego rozwiązania”.

Według Lutra: „Żydzi, którzy od 1400 lat są naszą plagą, zarazą, sprawcami wszelkich nieszczęść, to ludzie przywodzący do rozpacz, przesiąknięci złem, pełni jadu, ludzie, którzy pozostają pod wpływem szatana. W sumie mamy w nich najprawdziwsze diabły”. W innym miejscu z kolei pisał: „Bierzcie się do całowania! Szatan znowu się wypróżnił, znowu nasrał w portki. Oto prawdziwa świętość, którą Żydzi i ci, co za Żydów chcą uchodzić, niechaj całują, pozerają, piją i obdarzają czcią, i niech też szatan pożera i spija to, co tacy jego uczniowie potrafią z siebie wypluć, wydalić z góry i z dołu. Zebrali się tu odpowiedni dla siebie goście i gospodarze, wszystko jest dobrze ugotowane i przyrządzone... Teraz szatan z angielskim ryjem zajada się tym, co wychodzi z dolnej i górnej gęby Żyda”.

„Mamy tu w Wittenberdze przy farze kamienny posążek maciory, pod nią leżą ssące prosięta i ssący Żydzi i za maciorą stoi rabin, podnosi jej prawą nogę, potem swoją lewą ręką unosi ogon maciory, pochyla się i bardzo pilnie wpatruje się pod jej ogonem w Talmud, tak jakby chciał tam znaleźć i przeczytać coś, co byłoby osobliwe i dobitne... Dlatego właśnie Niemcy powiadają o kimś, kto bez podstawy puszy się wielką mądrością: Gdzie on to przeczytał? Mówiąc brzydko, w dupie maciory”.

W 1543 roku Marcin Luter opublikował słynny pamflet pt. „O Żydach i ich kłamstwach” nazywany arsenałem antysemityzmu. Czytamy w nim między innymi zalecenia, aby „wszystkie synagogi czy szkoły podpalono, a co będzie się źle palić, trzeba przysypać ziemią, iżby żaden człowiek nie zobaczył już nigdy choćby jednego kamienia ani popiołu po nich. I niech to się dzieje na chwałę naszego Pana, na chwałę chrześcijaństwa, aby Bóg wiedział, że jesteśmy chrześcijanami i że nie ścierpieliśmy i nie pozwoliliśmy, aby otwarcie wypowiedziano kłamstwa o jego Synu i o chrześcijanach, aby Jego i nas przeklinano i obsypywano bluźnierstwami... Trzeba także zniszczyć, wyburzyć ich domy. Bo tam czynią oni to samo, co w swoich szkołach. Niechby za to umieszczono ich wszystkich pod jednym dachem, w jakiejś stajni, niczym Cyganów..., trzeba im odebrać wszystkie modlitewniki i objaśnienia Talmudu, w których jest tyle bałwochwalstwa, kłamstw, przekleństw i bluźnierczych nauk... Trzeba ich rabinom zagrozić śmiercią, jeśliby dalej nauczali... Trzeba im pod groźbą pozbawienia życia zakazać, by wśród nas jawnie chwalili Boga, dziękowali mu, modlili się do niego, i by nauczali”.

Wielu historyków i teologów jest zdania, że silny antyjudajizm nie przetrwałby epoki średniowiecza, gdyby nie nauki Marcina Lutra.

Katolicy i protestanci od XVI wieku postępowali z Żydami podobnie. Papież Grzegorz XIII w 1581 roku narzucił separację Żydów, palenie ich ksiąg i znaczne ograniczenie ekonomiczne. Pisał: „wina tej rasy, która odtrąciła i ukrzyżowała Chrystusa, zwiększa się z

generacji na generację i obciąża wszystkich jej przedstawicieli wiecznym zniewoleniem. Dwukrotnie wypędzono Żydów z Państwa Kościelnego w XVI wieku. W dalszym ciągu oskarżano ich o bezczeszczenie hostii oraz o mordy rytualne. Trwały też prześladowania. Mimo iż w połowie XVIII wieku sporządzono w Kościele pozytywną ocenę Żydów, papież Benedykt XIV nie pozwolił na jej opublikowanie.

Stosunek papieży do Żydów zmieniał się. W znacznym stopniu w ociepleniu wzajemnych kontaktów decydowała pogarszająca się sytuacja materialna papieżstwa i Państwa Kościelnego. Najpierw Napoleon, a później odradzające się państwo włoskie pozbawiły papieży znacznych części dochodów.

Papież Grzegorz XVI (1831-1846) przyjął na audiencji Żyda, barona Karola Meyera von Rothschilda, a w dowód wdzięczności za wspomoczenie kasy papieskiej niemałymi kwotami, udekorował go Orderem Zbawiciela. Kiedy Rothschildowie kolejny raz wsparli Watykan finansowo w 1846 roku, papież Pius IX (1846-1878) uwolnił Żydów od obowiązku cotygodniowego wysłuchiwanie kazań chrześcijańskich. Ten gest kosztował Rothschildów pięćdziesiąt milionów franków, za które Pius mógł wrócić do Rzymu z Gaety, dokąd uciekł w obawie przed rewolucją 1848 roku.

Gesty pojednania papieży i żydowskich baronów w wielkim stopniu ulżyły losowi Żydów w państwach europejskich. Pogromy trwały nadal.

1819 roku najpierw w Würzburgu, a później w innych miastach niemieckich nawoływano do napaści na gminy żydowskie. Oto treść jednej z proklamacji: „Bracia w Chrystusie! Ruszcie się, zbierzcie się, uzbrojcie w odwagę i siłę, by pokonać wroga naszej wiary, nadszedł czas ujarznienia tych, co zabili Chrystusa, iżby nie zapanowali nad wami i waszym potomstwem, albowiem żydowska horda dumnie podnosi głowę... Precz z nimi, zanim ukrzyżują naszych kapłanów, pohańbią nasze świętości, i zburzą nam kościoły, jeszcze mamy nad nimi władzę... Wykonajmy, więc wyrok, który sami na siebie wydali... Ruszaj się, ktokolwiek jest ochrzczony, chodzi o sprawę najświętszą... Ruszajmy do zemsty! Niech naszym okrzykiem bojowym będzie: Hip! Hip! Hip! Wszystkim Żydom śmierć i wytępienie, musicie uciekać albo zginąć!”.

Męczennik stosu

Giordano Bruno. Nawet nie wiemy, jak wyglądał, bo najstarszy z wyobrażających go sztychów pochodzi z roku 1715, a więc został wykonany sto piętnaście lat po jego śmierci. Jedno jest pewne – dziś dźwięk tego imienia wywołuje powszechnie jedyne skojarzenie: to schwytyany podstępnie myśliciel, którego inkwizycja papieska po wielu latach okrutnych tortur spaliła w Rzymie na stosie.

Był jednym z pierwszych myślicieli Europy Zachodniej, którzy podjęli olbrzymie znaczenie naukowe teorii Kopernika. Swe poglądy filozoficzne rozwijał właśnie w oparciu o przemyślenia wielkiego polskiego uczonego.

Polski astronom wahał się trzydzieści sześć lat, czy ma wydać swe odkrywcze dzieło „O obrotach sfer niebieskich” i dopiero na łożu śmierci się zdecydował. Nie sposób się mu dziwić; wykazując, że Ziemia jest tylko jednym z wielu ciał niebieskich. Kopernik podważał zasadę celowości, służącą teologom do gloryfikacji porządku feudalnego.

Konsultorzy rzymskiej inkwizycji wypowiedzieli się w sprawie teorii Kopernika 24 lutego 1616 roku. Tezę o obrotach Ziemi dokoła Słońca uznali za „głupią i niedorzeczną ze stanowiska filozofii, a heretycką ze stanowiska religii, ze względu na wyraźną sprzeczność z Pismem Świętym”, w którym jest powiedziane, że Jozue wstrzymał na parę godzin Słońce na

niebie. A więc według spisanego Boskiego Objawienia to Słońce obraca się dokoła Ziemi, a nie Ziemia wokół Słońca. Dlatego też na wniosek Kongregacji Indeksu dzieło Kopernika „O obrotach” oraz wszelkie dzieła rozwijające i propagujące tę teorię papież Paweł V umieścił 5 marca 1616 roku na indeksie książek zakazanych przez Kościół.

Jednak, jeśli dziś mówimy, że Kopernik „ruszył z posad Ziemię”, to można i należy też powiedzieć, że Giordano Bruno poruszył cały układ słoneczny. Kopernik udowodnił, że Ziemia jest jedną z planet, Bruno wykazał, że Słońce jest jedna z gwiazd, a we wszechświecie istnieje nieskończona mnogość układów słonecznych. Nie tylko sformułował tezę o nieskończoności materialnego wszechświata i niezliczonej mnogości jego światów, ale wysunął także – z niezwykłą na ówczesne lata przenikliwością – myśl o historycznym rozwoju tych światów. I dlatego musiał zginąć na stosie.

Giordano Bruno był przedstawicielem najbardziej postępowego nurtu swej epoki. Przeciwstawiał się wielu średniowiecznym poglądom. I nie w walce ze średniowieczem, które minęło, a w walce ze współczesnymi poniósł klęskę. Został uwięziony, osądzony i skazany na stos.

Polski noblista, Czesław Miłosz, poświęcił mu jeden z najlepszych swoich wierszy – „Campo di Fiori”. Przytoczmy tu jego fragment:

*W Rzymie na Campo di Fiori
Kosze oliwek i cytryn,
Brak opryskany winem
I odłamkami kwiatów.
Różowe owoce morza
Sypią na stoły przekupnie,
Naręcza ciemnych winogron
Padają na puch brzoskwini.
Tu na tym właśnie placu
Spalono Giordana Bruna,
Kat płomień stosu zażegnał
W kole ciekawej gawiedzi.
A ledwo płomień przygasnął,
Znów pełne były tawerny,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli przekupnie na głowach.*

Giordano Bruno był pozbawiony czci we własnym kraju aż do ostatniego stulecia. Dopiero 9 czerwca 1889 roku odsłonięto na Campo di Fiori pomnik tej jednej z najstraszniejszych ofiar papieskiej inkwizycji. Rosjanie wystawili mu jeszcze lepszy pomnik: nazwali jego imieniem duży krater na niewidocznej stronie księżyca w łańcuchu górskim Tycho Brahe. Tak oto poniewczasie ludzkość przyznała włoskiemu filozofowi rację. Upominała się o prawo do wyrażania swobody myśli, tak pogwałcone przez Kościół.

Pierwszym, który pogwałcił to prawo, był papież Innocenty II, który już w 1141 roku własnoręcznie spalił rękopisy filozofa francuskiego Abelarda i jego ucznia Arnalda z Brescii. Zanim na stosach inkwizycji zaczęli płonąć myśliciele i naukowcy, w roku 1210 synod kościelny w Paryżu spalił dzieła wybitnego filozofa Dawida z Dinant.

W XIII i XIV wieku – przed wynalezieniem sztuki drukarskiej – inkwizytorzy papiescy palili po kilka lub kilkanaście wozów bezcennych rękopisów jednorazowo, niejednokrotnie wraz z ich autorami. W roku 1410 arcybiskup praski tylko jednego dnia spalił dwieście rękopisów dzieł wybitnego reformatora i patrioty angielskiego Wiklifa.

W roku 1487 papież Innocenty VIII wydał bullę „Inter multiplices”, w której nakazywał wszystkim biskupom, by zaprowadzili w swych diecezjach cenzurę prewencyjną

wszelkich druków. W kilka lat później inkwizytor Torquemada w jednym tylko 1491 roku spalił przeszło sześć tysięcy książek. W 1501 roku papież Aleksander VI Borgia odnowił bullę Innocentego VIII, wyznaczając za drukowanie książek bez kościelnego zezwolenia wysokie kary pieniężne. W roku 1515 papież Leon X wydał bullę, w której nakazywał palić wszystkie książki wydane bez zezwolenia cenzury kościelnej.

W 1516 roku inkwizytorzy weneccy spalili książkę wybitnego filozofa włoskiego Pompanacjusza. W 1521 roku legat papieski Ferreri dał biskupom i inkwizytorom polskim pokazową lekcję palenia książek, i to w Toruniu, mieście Kopernika. W 1557 roku inkwizycja z polecenia papieża Pawła IV opracowała obszerny wykaz książek, które należy spalić. W samej tylko Wenecji w ciągu jednego dnia spalono dziesięć tysięcy książek. W tym czasie w Polsce gorliwy obskurant, biskup krakowski, Szyszkowski, w obawie, by się nie dać wyprzedzić innym, kazał spalić wszystkie zebrane przezeń książki, zarówno katolickie jak i niekatolickie, oszczędzając sobie trudu zaglądania do indeksu.

Ginęły na stosach książki. Ginęli w płomieniach ich autorzy. Tak jak Giordano Bruno, na stosie zginął wielki myśliciel, reformator i patriota czeski, Jan Hus. Zginął z wyroku obradującego w 1415 roku soboru w Konstancji.

Tak jak Giordano Bruno, w więzieniu kościelnym przetrzymywany był jego poprzednik, słynny filozof angielski Roger Bacon. Spędził on z wyroku kościelnego w więzieniu czternaście lat.

Tak jak Giordano Bruno, podstępem zwabiony został i zamknięty w lochu zamku papieskiego w Awinionie William Ockham. Stało się to w 1324 roku z polecenia papieża Jana XXII. Ten znamienity angielski filozof miał jednak więcej szczęścia – po czterech latach udało mu się z więzienia zbiec. Giordano Bruno urodził się w styczniu lub lutym 1548 roku, w mieście Nola, położonym w pobliżu Neapolu. Jego rodzicami byli Giovanni Bruno i Fraulisa Savolino. Na chrzcie otrzymał imię Filip. Nauki pobierał od 1562 roku w Neapolu. Tam też 15 czerwca 1565 roku rozpoczął nowicjat w klasztorze dominikanów (San Domenico Maggiore) i otrzymał zakonne imię Iordanus – Giordano. Imienia tego używał już do końca życia. W 1572 roku przyjął święcenia kapłańskie i tegoż roku, 21 maja, podjął w swoim klasztorze studia teologiczne.

Zainteresowania naukowe wydawały się ojcom zakonnym bardzo podejrzane. Jego entuzjazm dla Kopernika i nieskrywana pogarda dla niedorzeczności teologii stały się wkrótce powodem oskarżenia go o herezję. Sporządzony w 1575 roku akt oskarżenia zawierał sto trzydzieści punktów. I odtąd przez dwadzieścia pięć lat nieprzerwanie ciągną się prześladowania Bruna: grozi mu wciąż więzienie, zagrażają najemni mordercy, zasadzki, wreszcie najstraszliwsza kara – stos.

Ćwierćwiecze swojej tułaczki rozpoczyna Giordano Bruno ucieczką z Neapolu do Rzymu, gdzie zatrzymał się w klasztorze Santa Maria sopra Minerva. Tam, po kilku tygodniach pobytu, zdecydował się zrzucić habit zakonny, po czym zbiegł do Genui. Od kwietnia 1576 roku przebywał w Ligurii (Nola), gdzie do początku 1577 roku uczył gramatyki i astronomii. Następnie przez Savonę, Turyn i Wenecję udał się do Padwy, a stamtąd przez Brescię, Bergamo, Mediolan dotarł do stolicy Sabaudii – Chambery. Wraz z przekroczeniem granicy włoskiej w 1578 roku opuścił Włochy na trzynaście lat.

W Genewie, w której przebywał w latach 1578-1579, obracając się przede wszystkim w środowisku emigrantów włoskich, przyjął kalwinizm. Zatrudnił się jako korektor w drukarni, a 20 maja 1579 roku zapisał na uniwersytet genewski. Dnia 6 sierpnia 1579 roku został aresztowany za wydrukowanie broszury wyliczającej dwadzieścia błędów popełnionych w czasie wykładu przez profesora filozofii Antoine de la Faye. Zwolniony z więzienia, 27 sierpnia opuścił Genewę i udał się wpraw do Lyonu, a potem do Tuluzy, gdzie jesienią 1579 roku rozpoczął wykłady z filozofii. Spotkał się tu z filozofem portugalskim Francisco Sanchezem, który wykładał na uniwersytecie filozofię i medycynę. Ślad tego

spotkania znajduje się w Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego – to egzemplarz dzieła Sancheza „O tym, że nie wiemy nic” z 1581 roku, z dedykacją dla Bruna na karcie tytułowej i własnoręcznymi uwagami Bruna w tekście.

Walki religijne pomiędzy katolikami i hugenotami skłoniły Bruna do opuszczenia Tuluzy. Jesienią 1581 roku przybył do Paryża, gdzie został przyjęty przez króla francuskiego, Henryka III Walezego, którego zainteresowała niezwykła pamięć Bruna. Król mianował go profesorem Sorbony, obdzielając zarazem szczególnym przywilejem: zwolnieniem z konieczności uczęszczania na msze, co było wówczas obowiązkiem profesorów. W 1582 roku Bruno opublikował w Paryżu książkę „Sztuka pamięci”, zaopatrując ją w dedykacje dla króla. W tym samym roku wydał również komedie „Swiecznik” i kilka innych książek.

Narastająca fala reakcji katolickiej skłoniła Bruna do opuszczenia Francji w 1583 roku. Zaopatrzony w polecające listy króla do ambasadora francuskiego w Londynie, wyjechał Bruno do Anglii. Coraz powszechniej znany stawał się już wówczas jego krytyczny stosunek do religii. Informacje o tym przekazał też ambasador angielski w Paryżu, Henry Cobham, w liście do ministra Francisza Walsinghama. Mimo to w czerwcu 1583 roku odbyła się w Oksfordzie publiczna dyskusja między Brunem a tamtejszym teologiem Johnem Underhillem (organizowana zresztą dla uświetnienia pobytu wojewody sieradzkiego Olbrachta Łaskiego). Tego samego lata przybył Bruno raz jeszcze do Oksfordu. Tym razem przedmiotem publicznej kontrowersji z filozofami oksfordzkimi była teoria Kopernika.

W 1585 roku Bruno powrócił do Francji. Kiedy jednak o wynalazcy cyrkla, swoim rodaku, Fabrizio Mordente, wyraził się, że jest on „triumfującym prostakiem”, a ten poskarżył się przywódcy Ligi Katolickiej, księciu Gwizjuszowi, niepokorny Bruno został zmuszony w 1586 roku do opuszczenia Francji. Przeniósł się wtedy do Niemiec, skąd podróżował do Czech i Szwajcarii. Jedynie w Wittenberdze władze uczelni powierzając mu prowadzenie wykładów, nie pytały go ani o wyznanie, ani też nie wtrącały się do treści zajęć, respektując zasadę wolności filozofowania. Ale opuścić już musiał m.in. Marburg i Helmstedt, gdzie został ekskomunikowany przez superintendenta kościoła luterńskiego, pastora Heinricha Boethego. Wydalono go też z Frankfurtu nad Menem. Wtedy otrzymał dwa listy od arystokraty weneckiego Zuana Mocenigo, który zapraszał go do siebie, do Wenecji, pragnąc nauczyć się od niego sztuki zapamiętywania. Bruno zdecydował się wtedy na powrót do Włoch.

Uczeń Bruna, Valens Acidalius, trafnie przewidział, że powrót do Włoch zakończy się dla jego nauczyciela tragicznie. Mimo to Bruno w sierpniu 1591 roku przybył do Wenecji. Co było powodem? Tęsknota za ojczyzną? Podjęcie reformatorskiej działalności religijnej i politycznej? Z pewnością mogło być i jedno, i drugie. Ale dopiero w latach sześćdziesiątych naszego stulecia Giovanni Aquileccha znalazł i opublikował z rękopisu nieznanego dzieła Bruna pt. „Wykłady z geometrii” i „Sztuka przekształceń”, z których wynika, że ich autor starał się o katedrę matematyki na uniwersytecie padewskim. I to właśnie mogło być – może najgłówniejszą – przyczyną podjęcia decyzji powrotu. Katedrę matematyki zajmował w latach 1577-1588 Giuseppe Moletti z Messyny, a po jego śmierci, w marcu 1588, była ona nieobsadzona przez cztery lata. Starania Bruna o jej przejęcie zakończyły się niepowodzeniem; dopiero 26 września 1592 objął ją Galileusz, (o którym będzie mowa gdzie indziej).

Giordano Bruno powrócił na swą zgubę. Jak się okazało, Zuan Mocenigo podjął się niewdzięcznej roli zwabienia go do Włoch na rozkaz weneckiej inkwizycji. I niepokornego filozofa 23 maja 1592 roku zadenuncjował świętej inkwizycji.

Akta procesu Giordano Bruno – część z nich, na szczęście, się zachowała – to dokument jednej z wielu zbrodni Kościoła katolickiego; dokument demaskujący za razem prawdziwe oblicze ówczesnego Kościoła jako zajadłego wroga nauki.

Trybunał inkwizycji w Wenecji odbywał swe posiedzenia w Pałacu Dożów. Więźniów trzymano w części więzienia zwanej „Studnią” lub „Pod ołowianym dachem”. W celach mieszczących się pod dachem, pokrytym ołowiem było latem nie do zniesienia gorąco, w zimie zaś okropnie zimno. Bruna zamknięto właśnie w takiej celi.

W więzieniu tym przebywał on do lutego 1593 roku. Zachowały się protokoły przesłuchań. Od 29 maja do 30 lipca 1592 roku odbyło się ich siedem. Warunki, w jakich był przetrzymywany Bruno, spowodowały jego wycieńczenie. Dowodem na to są zapiski, z których wynika, że trybunał wenecki często musiał go upominać, by stał a nie siedał na podłodze.

W dokumencie skierowanym 28 września 1592 roku do inkwizycji rzymskiej czytamy: „W więzieniach tego miasta, przydzielonych do użytku wymienionego Świętego Officium, pozostaje zatrzymany przed pewnym czasem Giordano Bruno z Noli, oskarżony nie tylko o herezję, ale o to, że jest herezjarchą. W różnych, bowiem napisanych przez siebie dziełach, usilnie chwalać królową Anglii oraz innych kacerskich książąt, poruszył też niektóre sprawy specjalnie dotyczące religii w sposób niewłaściwy, aczkolwiek ujmuje rzecz z punktu widzenia filozofii. Ten Giordano Bruno jest odstępca, gdyż był pierwotnie zakonnikiem dominikaninem”.

Pod wpływem tortur Giordano Bruno przyznał się do winy, jednak potem, już w Rzymie, odwołał swe zeznania. Być może już wówczas był przekonany, że tak czy inaczej kary nie uniknie. Zginie na stosie, tak jak palono czarownice, mimo że okazywały skruchę.

Prokurator Ferigo Contarini opowiedział się za wydaniem Giordano Bruna. Jednak w dokumencie z 7 stycznia 1593 roku napisał: „Popelniał on najcięższe przewinienie dotyczące herezji, aczkolwiek z drugiej strony jest on jednym z najwybitniejszych i świątłych umysłów, jakie tylko można sobie wyobrazić, jest człowiekiem nauki i posiada znamienitą wiedzę”. W lutym 1593 roku władze weneckie przekazały Bruna inkwizycji rzymskiej. Dnia 18 lutego opuścił więzienie weneckie, a dziewięć dni później zamknięto go w więzieniu rzymskim. Inkwizycja rzymska przez siedem lat przetrzymywała go w lochach Zamku świętego Anioła, z którego nie można było ujrzeć ani promieni słońca, ani blasku księżyca. Tu Bruno wycofał swe zeznania.

Oryginały protokołów z rzymskiego procesu zaginęły; najprawdopodobniej stało się to w latach 1814-1817, kiedy Archiwum Watykańskie, po upadku Napoleona, wracało do Rzymu. W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia odnaleziono jedynie pięćdziesięciodziewięciostronicowy wyciąg z procesu, ale papież Leon XIII wydał zakaz pokazywania go komukolwiek. Umieszczony w archiwaliach Piusa IX, poprzednika Leona XIII, wyciąg ów pozostawał tam aż do roku 1940, kiedy to po piętnastu latach poszukiwań odnalazł go Angelo Mercati.

Jest to streszczenie procesu, opracowane na użytek asesora i kardynała Bellarmina. Na jego podstawie można stwierdzić, że protokół procesu liczył, co najmniej 295 stron. Autor streszczenia omawia dwanaście głównych punktów oskarżenia: Trójca Święta, boskość i wcielenie, transsubstancjacja i Najświętszy Sakrament, piekło, istnienie wielu światów, adoracja magów, wieczność świata, Kain i Abel, Mojżesz, Prorocy, dziewictwo Maryi i immanencja Boża. Nawet wyłączwszy poglądy kosmologiczne oskarżonego, był to dostateczny powód, aby go pozbawić życia, aby raz na zawsze zamknąć mu usta.

Zarzucano, że wątpił w przeistoczenie, że już osiemnaście lat wcześniej zaprzeczał dziewictwu Marii; potem – że twierdził, iż Chrystus nie jest Bogiem, lecz tylko sprytnym czarodziejem, który oszukiwał ludzi, i że słusznie został powieszony, a nie ukrzyżowany. Miano mu za złe, że w ciągu szesnastu lat (1576-1592) nie uczestniczył w żadnych obrzędach religijnych, pozostając w ten sposób poza religią. W oczach kościoła takie postępowanie równoznaczne było z jawnym bezbożnictwem.

O ile w przypadku tych oskarżeń Giordano Bruno próbował tłumaczyć się, poszukiwał kompromisów, to, kiedy śledztwo objęło jego poglądy kosmologiczne, uparcie podtrzymywał swoje zdanie. Najokrutniejsze tortury nie zdołały skłonić Bruna do wyrzeczenia się naukowego poglądu na budowę wszechświata. Bronił swej materialistycznej teorii stosunku materii do formy, teorii wyprowadzającej wszelkie formy z wiecznego ruchu aktywnej materii. Teoria ta godziła w Tomasza z Akwinu i jego teologiczną teorię, w której katolicki filozof degradował materię do roli biernego, nieistotnego, nierealnego elementu rzeczywistości i otwierał ten sposób drogę nienaukowemu, idealistycznemu wyjaśnianiu zjawisk przez aktywność form, czyli idealnych wzorów rzeczywistości, istniejących w umyśle Boga i w samych rzeczach jako ich przyczyny celowe. Bruno zaś udowydniał pierwotność materii. Była to herezja nie do pobłażania.

Bruno bronił teorii Kopernika. Doskonale zdawał sobie sprawę, że istotą tej teorii nie jest heliocentryzm, lecz obalenie geocentryzmu prowadzące do przyjęcia kosmologicznego policentryzmu, czyli teorii mówiącej o istnieniu wielu „środków” (słońce) we wszechświecie. Twierdził, że teoria Kopernika jest teorią przyrodniczą dotyczącą obiektywnej rzeczywistości – a więc nie tylko przyjął, ale i popularyzował jego teorię, wyjaśniając ją i broniąc jej przed przeciwnikami. Uznawał, że jest tylko jedno niebo tożsame z nieskończoną przestrzenią wypełniającą cały Wszechświat. W tym nieskończonym niebie znajdują się nie tylko gwiazdy, ale również Ziemia. Nie ma, więc żadnych podstaw do tradycyjnego przeciwstawiania doskonałego nieba marnej Ziemi, ponieważ Ziemia znajduje się na tym samym niebie, co inne ciała niebieskie. To też była herezja nie do przyjęcia przez teologów Kościoła katolickiego.

Bruno utożsamiał przyrodę z Bogiem. Wypracował nowe pojęcie materii jako czynnika aktywnego, dynamicznego, twórczego. Było to jedno z najbardziej doniosłych wydarzeń w dziejach filozofii.

Uznawał, że niechrześcijański Bóg, lecz naturalne „prawo kołowrotu” jest – tkwiącym w samej przyrodzie – Stwórcą świata. Wprowadzenie pojęcia praw przyrody, które działają na podobieństwo zazębiających się trybów mechanizmu – stało się potem podstawą siedemnastowiecznych – i osiemnastowiecznego ateizmu. To też było herezją.

Idea krążenia, przewrotów, kołowrotu mogła pełnić rewolucyjną funkcję burzycielską wobec światopoglądu feudalnego, w którym teoria państwa zasadzała się na „porządku ustanowionym przez Boga”, polegającym na bezwzględny podporządkowaniu bytów „niższych” bytom „wyższym”. Dlatego też trzeba było zamknąć usta temu, kto ja głosił.

Proces Giordano Bruno osobiście nadzorował papież Klemens VIII. Świadczy o tym dokument z 4 lutego 1599 roku: „Ojciec Święty zarządził, aby Ojcowie Duchowni, tj. Ojciec Komisarz i Bellarmino, przedstawili oskarżonemu jego twierdzenia jako nie tylko uznane wręcz za heretyckie, ale również potępione przez Ojców Kościoła, przez Kościół Święty, przez Stolicę Apostolską. Jeżeli uzna je za takie – to dobrze, w przeciwnym zaś razie należy dać mu czterdziestodniowy termin do namysłu”.

Zainteresowanie papieża procesem, Giordano Bruno płynęło też z osobistych pobudek. Kiedyś Giordano Bruno zarzucił papieżowi „obłudę i okrucieństwo”, nazywał go „wikariuszem piekielnego tyrana” i oskarżał papieża o „zarażenie świata zabobonnym kultem i bardziej niż bydłącą ignorancją”. Teraz za to musiał zapłacić.

W dokumencie z 21 października 1599 zapisano: „Giordano Bruno... oświadczył, że nie ma się, z czego kajać, niczego nie żałuje i nie ma powodu do odwołania czegokolwiek ani też nie wie nic, w związku, z czym mógłby złożyć odwołanie lub okazanie skruchy. Wielce Wielebni Panowie zarządziли, aby Wielebny Ojciec... wskazał mu na jego zaślepienie i wyjaśnił fałszywość jego nauki”.

Dnia 21 grudnia 1599 zapisano: „W obecności Wielce Wielebnych Panów był w Sali Kongregacji przez tychże zapytywany i przesłuchany w sprawie wszystkich swoich nauk,

zaprzeczał i z powrotem odprowadzony został do więzienia. Wobec czego Kongregacja i obecni dwaj Kardynałowie postanowili, że Wielce Wielmożny Hipolito, generał zakonu kaznodziejskiego, i wikariusz tego zakonu, brat Paolo, będą pertraktowali z rzeczoną bratem Giordanem i postarają się nakłonić go do odwołania tych twierdzeń, by uznał swe błędy, by się poprawił i przygotował do odwołania swych błędów pod przysięgą, co pozwoli okazać mu tę łaskę, by mógł znów odzyskać wolność”.

W dokumencie z 20 stycznia 1600 czytamy: „Rzeczony brat Giordano nie zgodził się na to i oświadczył, że nigdy nie głosił heretyckich twierdzeń i że nauki jego zostały źle zrozumiane przez członków Świętego Officium. Wysłuchawszy zdania Jaśnie Oświeconych, Ojciec Święty nakazał przedsięwziąć ostateczne kroki w tej sprawie i zachowując wszelkie formalności ogłosić wyrok i wymienionego brata, Giordana wydać władzy świeckiej”.

Wyrok wydano 8 lutego 1600 roku. Giordano Bruno został doprowadzony z więzienia do pałacu kardynała Madrucci przy kościele św. Agnieszki. Ubrano go w strój pokutującego mnicha, do ręki włożono mu zapaloną świecę, szyję okręcono sznurem. Kar rzucił go na kolana przed kardynałami, radcami inkwizycji i jej notariuszem, który odczytał wyrok:

„Nazywamy, obwieszczaemy, osądzamy i ogłaszamy cię, bracie, Giordano Bruno, nieskruszonym, zawziętym i zatwardziałym heretykiem... Jako takiego wyłączamy cię słownie z powszechności kościelnej i z naszego Świętego Niepokalanego Kościoła, którego miłosierdzia okazałeś się niegodnym. Powinieneś zostać przekazany sadowi świeckiemu, wobec czego przekazujemy cię Jaśnie Oświeconemu Gubernatorowi Miasta Świętego, obecnemu na tej Sali, ażeby ci wymierzył sprawiedliwość, przy czym usilnie błagamy go, aby zechciał cię ukarać jak tylko można łagodnie i bez przelewu krwi. Prócz tego osądzamy i potępiamy wszelkie twoje dzieła i pisma oraz zakazujemy czytania, rozpowszechniania i posiadania ich, jako heretyckich, kłamliwych, zawierających wiele herezji i błędów. Nakazujemy, ażeby od dnia dzisiejszego wszystkie twoje księgi, jakie znane są Świętemu Officium, a także te, które w przyszłości wpadną w jego ręce, były publicznie zniszczone i palone na placu św. Piotra oraz wpisywane na indeks ksiąg zakazanych... Ludovico Madrucci, Giuglio Antonio Sanseverina, Pietro Deza, Domenico Pinelli, Girolamo Asculano, Lucio Sasso, Camillo Borghese, Pompeo Arigoni i Roberto Bellarmino”.

W chwili, gdy Flamini Adriano skończył jego odczytanie, Bruno podniósł się z klęczek i głośno wypowiedział swe sławne zdanie: „Zaprawdę, wy z większą trwogą ogłaszacie przeciw mnie ten wyrok, aniżeli ja go wysłuchuję”.

Wyrok śmierci zatwierdził papież Klemens VIII. Został wykonany dnia 17 lutego 1600 roku. Bruna spalono żywcem na stosie.

W drodze na Campo di Fiori towarzyszyli mu członkowie Bractwa św. Jana Chrzyciela. Szli w wysokich, zakrywających twarz kapturach z wyciętymi otworami na oczy. Nieśli czarne krzyże i śpiewali psalmy pokutne.

Gdy Giordano Bruno stanął na stosie, kat zakneblował mu usta, Kościół, bowiem lękał się jego słów. Kneblowanie ust drewnianym kneblem albo dziurawienie języka ostrym, niekiedy rozpalonym żelazem wprowadzone zostało dekretem inkwizycyjnym z dnia 14 marca 1557 roku w stosunku do oskarżonych o „błuznierstwo słowem przeciw krzyżowi i Matce Boskiej”. A i o to był oskarżony Giordano Bruno.

Rzym oblepiony został komunikatami „Avvisi di Roma” były to ręcznie pisane ogłoszenia, rozlepiane na murach Rzymu). Donosiły one: „W czwartek rano spalony zostanie żywcem na Campo di Fiori ów zbrodniczy brat zakonu kaznodziejskiego, z Noli. Był to niezwykle uparty heretyk, który według swojej fantazji układał różne twierdzenia przeciwne naszej wierze, a zwłaszcza Najświętszej Pannie i świętym. Zbrodzień ten w swej zawziętości pragnął dla tych swych twierdzeń umrzeć i mówił, że chętnie umiera jako męczennik i że dusza jego uniesie się razem z dymem do raj. Teraz jednak dowie się czy mówił prawdę”.

Ukazały się też komunikaty „Ritorni di Roma”: „W czwartek spalony został żywcem na Campo di Fiori zakonnik, dominikanin z Noli, niepoprawny heretyk, z kneblem w ustach z powodu zbrodniczych słów, które wypowiadał nie chcąc wysłuchiwać spowiedników oraz innych ojców”.

Z rąk papieskiego trybunału, świętej inkwizycji, w płomieniach stosu zginął ten, który mówił: „Kto chce w prawidłowy sposób rozumować, powinien umieć odzwyczaić się od przyjmowania czegokolwiek na wiarę”.

Syn marnotrawny Kościoła

Według ankiety przeprowadzonej przez Parlament Europejski wśród studentów ze wszystkich krajów należących do wspólnoty, niemal 30% z nich jest przekonanych, że Galileusz został przez Kościół żywcem spalony na stosie. Choć nie jest to prawdą, to jednak takie, dość powszechne przeświadczenie jest wielkim oskarżeniem Kościoła katolickiego, na które sam sobie zasłużył. I nie pomoże tu argumentacja, jaką przedstawił Vittorio Messori w wybielającej zbrodnię Watykanu książce „Czarne karty Kościoła”, twierdząc, że „przypadek Galileusza” to rzecz świadomie stworzona przez kłamliwych ludzi Oświecenia, a potem marksistów, użyteczna dla propagandy, która chciała i chce zademonstrować niespójność między wiedzą a wiarą. Że „sprawa Galileusza” spowodowała niesamowity kompleks winy u źle poinformowanych katolików. „Sprawa Galileusza” to najbardziej kłopotliwa kwestia w historii Kościoła.

I choć mistyfikacją dziennikarza Giuseppe Baretiego, wymyśloną w Londynie w roku 1757, była relacja z odczytania wyroku, w czasie, której Galileusz miał jakoby rzucić w twarz inkwizytorom *Eppur si muove!* (A jednak się kręci!), to jednak słowa te stały się sztandarem, pod który chronili się wszyscy zdecydowani bronić wolności do głoszenia niezawisłych poglądów. Bo konflikt Galileusza z inkwizycją interpretuje się po dziś dzień w kategoriach opozycji między nauką nowożytną a myślą religijną. Galileusz występuje w nim jako symbol intelektualnej niezależności oraz odwagi wyrażonej w otwarciu na poszukiwanie nowych szlaków badawczych.

Wyrok potępiający Galileusza nie powstrzymał rozwoju nowej nauki. Nauka nie poniosła uszczerbku. Wyzwoliła się spod krępującego ją jarzma religii. I to ona właśnie, religia i jej teologia, zostały najbardziej uszkodzone w wyniku „sprawy Galileusza”. Następstwem jej stała się nieobecność Kościoła w świecie nauki nowożytnej.

„Sprawa Galileusza” przypięła Kościołowi łatkę instytucji wrogiej nauce, wrogiej nawet rozumowi. Odtąd, od kiedy wydano na Galileusza wyrok i uwięziono go do końca jego dni, Kościół postrzegano jako przeciwnika nowoczesnych badań naukowych, wojownika, który bez pardonu zwalcza zwiastuny naukowych przełomów. A czyż nie jest tak do dziś”

Kościół próbował odczepić tę łatkę. W 1891 roku, kiedy Włochy ogarnął antyklerykalizm, papież Leon XIII założył Obserwatorium Watykańskie, tak zwane Specola Vaticana. Był to akt symboliczny – papieskie obserwatorium miało zmyć plamę „sprawy Galileusza”.

Minęło sto dwadzieścia pięć lat od wyroku na Galileusza, zanim Kościół wykreślił jego dzieła z „Indeksu ksiąg zakazanych”, i sto następnych, zanim książki te (z niechętnym przyzwoleniem Kościoła) zostały wydane. Dopiero po dwustu latach pozwolono nauczać w szkołach katolickich o ruchu Ziemi wokół Słońca. Nowoczesna inkwizycja w 1943 roku ocenzurowała biografię Galileusza, napisaną przez osobę duchowną. Aż do 1984 roku wszystkie ważne dokumenty dotyczące „sprawy Galileusza” zostały utajnione.

Niewykluczone, że niektóre z nich nadal spoczywają w niedostępnych zakamarkach tajnych archiwów Świętego Oficjum.

Zaś w 19232 roku Kościół beatyfikował pierwszego inkwizytora w „sprawie Galileusza” – kardynała Roberta Bellarminiego; tego, który nie zawahał się złożyć swego podpisu pod wyrokiem śmierci na Giordiano Bruna; tego, który był typowym przedstawicielem kontrreformacji katolickiej, ofensywnej wobec najbardziej postępowych tendencji filozofii Odrodzenia.

Jednak i wśród duchownych katolickich byli i tacy, którym „sprawa Galileusza” nie dawała spokoju. Na początku lat sześćdziesiątych naszego wieku francuski filozof, dominikanin, ojciec Louis-Dominique Dubarle wszczął kampanie na rzecz ostatecznego rozstrzygnięcia trudnego, kłopotliwego, i uporczywego problemu Galileusza. Zakon Braci Kaznodziejów, zwany Psami Pana, którego był członkiem odegrał znaczącą rolę w prześladowaniu Galileusza. W 1963 roku Dubarle i inni postępowi duchowni mieli nadzieję, że podczas drugiego soboru watykańskiego Kościół nareszcie zamknie raz na zawsze sprawę Galileusza. Ale Jan XXIII zmarł, zanim zdążył rozważyć tę kwestię. Jego następca Paweł VI wolał o niej zapomnieć.

W dniu 10 listopada 1979 roku z okazji sesji plenarnej Papieskiej Akademii Nauk, w ramach *exposé* na temat stosunku nauki i religii, Jan Paweł II wyraził życzenie, by „teologowie, ludzie nauki, historycy, ożywieni duchem szczerzej współpracy pogłębili badania nad sprawą Galileusza i wyznaczając lojalnie błędy, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, przewyciężyli nieufności, jakie sprawa ta zrodziła w wielu umysłach, na korzyść owocnej współpracy pomiędzy nauką i wiarą, pomiędzy Kościołem i światem”. Był pierwszym papieżem, który odważył się podjąć, tak drażliwą dla Kościoła sprawę. Z jakim skutkiem?

Otwarcie na nowo sprawy Galileusza przez papieża – rodaka Kopernika, ogłoszone w setną rocznicę urodzin Einsteina, doprowadziło do powołania oficjalnej komisji, w której skład weszli: czołowy papieski astronom, jezuita, ojciec George Coyne, i popularny, energiczny kardynał z Mediolanu, Carlo Martini (intendent papieskich lasów, uważany za *papabile*). Przewodniczącym komisji został kardynał Paul Poupard, wykształcony francuski ksiądz Kościoła, który był przewodniczącym Papieskiej Rady do spraw Kultury i który w przeszłości pełnił funkcję łącznika między Kościołem a francuskimi intelektualistami, domagającymi się wyzwolenia Galileusza z niewoli Kościoła. Papież chciał, żeby komisja odpowiedziała na trzy pytania: Co się stało? Jak to się stało? Dlaczego się stało?

W ciągu następnych dziewięciu lat doszło do siedmiu oficjalnych spotkań poświęconych Galileuszowi. Ujawniono całą księgę dokumentów z tajnych akt Galileusza, które jednak okazały się niepełne. Wydano oficjalny tom szkiców pod redakcją kardynała Pouparda, ale krytycy ocenili tę pracę jako próbę wybielania Kościoła.

Dnia 31 października 1992 roku Jan Paweł II zabrał głos. W oficjalnym wystąpieniu przyznał, że Galileusz cierpiał za sprawą ludzi Kościoła. Zaznaczył też w sposób bardzo ogólny, że popełnione zostały błędy, ale odnosiło się wrażenie, że papież rozkłada odpowiedzialność jednakowo na obie strony.

Od tego wystąpienia mówi się, że Galileusz nawet dzisiaj mógłby zostać skazany, gdyż istotą sprawy nie była teoria Kopernika, której odważył się bronić i próbował ją udowodnić naukowo, a nieposłuszeństwo wobec Kościoła. Kościół jedynie „oficjalnie uznał błąd” – bo wobec ewidentnych dowodów nauki zdecydował się w końcu uwierzyć teorii Kopernika, choć przedtem użył skrajnie surowych sposobów, żeby tę prawdę zniszczyć, a chronić fałsz. Oficjalnie uznał błąd w „sprawie Kopernika”, ale w „sprawie Galileusza” nie przyznał się do winy.

Jan Paweł II wracał jeszcze kilka razy marginalnie do „sprawy Galileusza”, nie po to jednak, by przyznać, że Kościół popełnił błąd (skupiał się, bowiem na tym, iż Kościół stanowił moralny autorytet dla generalnego prekursora nowożytnej nauki), lecz by zachęcać do dialogu

miedzy nauką i wiarą. Nigdy nie skrytykował bezpośrednio postępowania inkwizycji. Za to uważał, że lekcja płynąca ze „sprawy Galileusza” { zachowała swoją ważność i może mieć znaczenie także w przyszłości, zwłaszcza w dziedzinie biogenetyki, która umożliwia także dokonywanie moralnie nagannych zmian genetycznych w organizmie człowieka.

Tak, więc nawet w czterysta lat po wyroku na Galileusza Kościół katolicki nie potrafił uderzyć się w piersi. „Zgrzeszyłem, zgrzeszyłem, moja wina, moja bardzo wielka wina” – tego chyba nigdy nie usłyszymy.

Sprawę Galileusza rozpatrywać, więc nadal trzeba w kategoriach konfliktu miedzy sumieniem badacza, a instytucją uzurpującą sobie prawo administracyjnego określania granic prawdy i fałszu.

Galileusz urodził się w Pizie 15 lutego 1564 roku jako pierwsze z sześciorga dzieci Vincenza, który związał się z florenckim arystokratą Giovannim de Bardi. Vincenzo nauczył syna greki i łaciny oraz gry na lutni, a potem oddał go na kształcenie do mnichów opactwa w Vallombrosie, trzydzieści dwa kilometry od Florencji. Galileusz przebywał tam cztery lata; mając lat piętnaście zapragnął zostać mnichem, ale wówczas ojciec pod pretekstem, jakim była poważna infekcja oka, wyrwał syna spod wpływu mnichów. Po kilku miesiącach Galileusz pogodził się z decyzją ojca i wyrzekł się ambicji i planów związanych ze stanem duchownym. Powrócił do Pizy i zamieszkał tam u kuzyna, współnika ojca w przedsięwzięciach związanych z handlem wełną. Kontynuował naukę, a jednocześnie był wprowadzany w tajniki handlu wełną.

W 1581 roku podjął studia na tutejszym uniwersytecie, uczęszczał na wykłady z medycyny, ale pociągała go matematyka. Wprowadził go w nią w sekrecie nadworny matematyk księcia Toskanii, Ostilio Ricci. Już wówczas ujawnił się talent Galileusza – wynalazł instrument do mierzenia pulsu. Dzięki zmianom długości sznurka, rozmaitymi ciężarkami mierzył szybkość i zmiany pulsu pacjenta. Wynalazek nie ustrzegł go przed wydaleniem z uniwersytetu. Został zeń relegowany za zaniedbania w nauce, opuszczanie wykładów i zuchwałą bezczelność w głoszeniu poglądów.

Wrócił wówczas do Florencji. Przez cztery lata udzielał prywatnych lekcji matematyki w Sienie i Florencji, w 1588 roku zjawiał się w Vallombrosie, by uczyć nowicjuszy zasad perspektywy. Wynalazł wagę pozwalającą określić ciężar właściwy metali i płynów. W 1589 roku uzyskał trzyletni kontrakt jako matematyk na uniwersytecie w Pizie, za dość marną pensję sześćdziesięciu koron rocznie.

Z krzywej wieży w Pizie (54 metry) urządził pokaz, który dowodził, że szybkość opadania nie zależy od ciężaru czy masy i nie jest – jak twierdził Arystoteles – wprost proporcjonalna do ciężaru przedmiotu. Latem 1592 roku przystąpił do walki o katedrę matematyki na uniwersytecie w Padwie i dostał kontrakt na cztery lata.

Po śmierci ojca stał się głową rodziny i popadł w tarapaty finansowe. Zajął się, więc wynalazkami, które mogły podreperować skromny budżet. Wynalazł termometr, ale nie przyniosło mu to spodziewanych pieniędzy. Zajął się, więc irygacją – skonstruował urządzenie, które szybko czerpało wodę spod ziemi – niestety tylko jedna rodzina Contarinich, ród dożów i senatorów, zainstalowała je w 1598 roku w swoim padewskim pałacu. Często wymykał się do Wenecji.

Wykłady z Ptolemeusza, które prowadził w 1594 i 1595 roku, utrwaliły jego zainteresowanie astronomią. W liście do Jacopa Mazzoniego, starego znajomego z uniwersytetu w Pizie, po raz pierwszy wystąpił w obronie teorii Kopernika. Kilka miesięcy później potwierdził swoje stanowisko. Utrzymywał teraz, że od wielu lat zgadza się z teorią Kopernika. Kościół tolerował naukę Kopernika, jeśli jego dzieło było traktowane jako źródło informacji o subiektywnych konstrukcjach ludzkiego umysłu i jako takie nie wchodziło jeszcze w konflikt z teologią, ponieważ nie mogło sobie rościć pretensji do funkcjonowania w charakterze naukowego poglądu na świat. Taką interpretację dzieła Kopernika zaproponował

w swojej anonimowej przedmowie pastor Andreas Osjander i początkowo taka interpretację po nim przejął wielki inkwizytor kardynał Roberto Bellarmino. Na razie, więc nic jeszcze Galileuszowi nie groziło.

W 1597 roku rozpoczął on dziesięcioletnią współpracę z wytwórcą narzędzi Marcantonim Mazzolenim. Projektował sprzęt wojskowy – było to jego stałe źródło dochodu. Skonstruował m.in. zwiększający bezpieczeństwo obsługi działa geometryczny cyrkiel proporcjonalny, który można było umieszczać na lufie, a jego wskazania odczytywać z boku, tak, że celowniczy działa nie musiał stawać przed wylotem lufy. W 1597 roku Galileusz Wyposażył urządzenie w dodatkowe skale, tak, że mogło służyć do celów cywilnych, na przykład do pomiaru gruntów. Ruszyła masowa produkcja, a Galileusz Prowadził też lekcje używania przyrządu. Dzięki temu w wieku 35 lat został człowiekiem mającym. Kontrakt z uniwersytetem został przedłużony o siedem lat, a pensja podwojona – do trzystu dwudziestu koron rocznie.

Galileusz nie spoczął na laurach. Luneta, którą skonstruował, przyniosła mu podwyżkę pensji do tysiąca koron rocznie, zatrudnienie do końca życia a nadto jednorazową nagrodę w wysokości 480 koron – gdy prototyp swojej lunety ofiarował doży weneckiemu.

Dzięki tej lunecie Galileusz rozpoczął 7 stycznia 1610 roku obserwacje Jowisza. I przez sześć tygodni prowadził kronikę niezwykłych ruchów wirującego układu Jowisza złożonego z trzech gwiazd. Wniosek był oczywisty: krążenie satelitów wokół macierzystej planety potwierdzało wycinkowo teorię Kopernika. Okazało się, że gwiazdy mogą krążyć wokół planety, która sama jest w ruchu. Narzuciła się paralela między Ziemia i Księżycem.

Księżyc Jowisza nazwał na cześć księcia Kosmy II, Medyceusza Medycejskimi. Swe odkrycie opublikował w dziele „Sidereus Nuncius” (Gwiezdny zwiastun), który stał się najważniejszą książką XVII stulecia. Sam Galileusz stał się zaś inspiracją poetów, układano na jego cześć najrozmaitsze ody i sielanki. Porównywano go do Kolumba. Kolumb odkrył nowy ląd, Galileusz – nowe planety. Za dotychczasowe zasługi otrzymał miano głównego matematyka i filozofa Wielkiego Księstwa Toskanii.

W 1611 roku Galileusz odwiedził Rzym, został przyjęty przez papieża Pawła V, który pozwolił mu mówić na stojąco. Papież obiecał mu swoje wsparcie dla badań. Głównym jego doradcą był wielki intelektualista Kościoła, kardynał Robert Bellarmino, inkwizytor nieskruszonego zwolennika systemu kopernikańskiego Giordiano Bruna, spalonego na stosie przed jedenastu laty.

Niedługo potem Galileusz oznajmił, że na Słońcu są plamy. Jeszcze nie wiedział, że pokazywanie kardynałom skaz na Słońcu – źródle ciepła i światła dla człowieka – oznaczało atakowanie samego sedna wiary głoszonej przez teologie, że niebiosa są czyste, niezmiennie, niepodlegające zepsuciu.

Nie przeczuwając nic złego napisał do księcia Cesiego z radosnym uniesieniem: „Podejrzewam, że to nowe odkrycie będzie sygnałem do pogrzebania pseudofilozofii albo raczej do ostatecznego nad nią sądu. Pieśń pogrzebowa rozległa się już na Księżycu, Gwiazdach Medycejskich, Saturnie i Wenus. I spodziewam się, że teraz perypatetycy zdobędą się na wielki wysiłek, by utrzymać nieruchomość niebios!”

Tymczasem w lutym 1615 roku z oskarżenia dominikanina Loriniego sprawa teorii kopernikańskiej, ku której skłaniał się Galileusz, zawędrowała p[przed Święte Oficjum. Za herezję uznano zdania: „Słońce stanowi centrum wszechświata i w konsekwencji jest nieruchome” oraz „Ziemia nie stanowi centrum wszechświata i nie jest nieruchoma, lecz obraca się wokół siebie i porusza dziennym obrotem”. Dnia 25 lutego 1615 roku dzieło „De revolutionibus orbium coelestium” zostało wprowadzone na indeks ksiąg zakazanych „do czasu aż zostanie poprawione”.

W dzień po umieszczeniu na indeksie dzieła Kopernika, kardynał Robert Bellarmino ze Świętego Oficjum wezwał Galileusza na audiencję – w obecności komisarza generalnego,

dominikanina Michelangelo Seghezziiego – by poinformować go o potępieniu książki Kopernika oraz zaproponować, aby zaprzestał nauczać, publicznie bronić i przedstawiać astronomię kopernikańską. Powiedział mu, że pogląd, iż Słońce tkwi nieruchomo w środku świata, a Ziemia się porusza, trzeba porzucić. Galileusz nie może w żaden sposób wyznawać go, nauczać i bronić ani słowem ani w piśmie. W przeciwnym razie wniesione zostanie przeciwko niemu postępowanie w Świętym Oficjum, a to może oznaczać, że stanie na stosie na Campo di Fiori lub zawiesznie na Moście św. Anioła. Jedną z możliwości było też „surowe badanie”. Galileusz przyrzekł się podporządkować wszystkiemu, co usłyszał. Jednak w tej sprawie nie został sporządzony żaden oficjalny dokument.

Po raz pierwszy Galileusz został oficjalnie uznany za głównego rzecznika teorii Kopernika, a zalecenie Świętego Oficjum dotarło do uczonego w chwili, gdy dysponował już fizycznym dowodem przemawiającym za kopernikanizmem. „Ze wszystkich nienawiści – napisał opuszczając Rzym – nie ma większej niżli nienawiść ciemnoty do wiedzy”.

Galileusz przez siedem następnych lat nie wypowiadał się na temat sprawy Kopernika, mimo że miał w ręku wszystkie dowody. Czekał na jakąś sposobność. W 1621 roku miejsce Pawła V, który zmarł na atak serca, zajął łagodny, schorowany starzec, Grzegorz XV, który przez następne dwa lata miał utrwalić zdobycze kontrreformacji w południowych Niemczech i podsycić zapał misjonarski, ustanawiając Kongregację Krzewienia Wiary. W 1623 roku papieżem został kardynał Maffeo Barberini, który przyjął imię Urbana VIII. Galileusz od dawna był zaprzyjaźniony z jego bratankiem, kardynałem Francesco Barberinim. Zaczął, więc łączyć nadzieję, że dotychczas sprzyjający mu Barberinini pozwoli na zmianę zakazu.

Pojechał do Rzymu w 1623 roku, ale ku swemu zaskoczeniu stanął przed człowiekiem, który w niczym nie przypominał dawnego wrażliwego miłośnika poezji. W ciągu dziewięciu miesięcy pontyfikatu Urban VIII zmienił się w papieża wojownika. Był kolejnym autokratą w tiarze. Bardziej niebezpiecznym dla Galileusza niż Paweł V, ponieważ przedtem łączyły ich więzy przyjaźni.

Galileusz doprowadził jednak do bezpośredniej, ostrej rozmowy na temat teorii Kopernika. Przerzucali się argumentami przemawiającymi za starym lub nowym sposobem myślenia. Papież nie zmienił jednak swego stanowiska.

Galileusz wszelako nie tracił nadziei, że tak się stanie. Napisał „Dialog”, w którym – jak głosił rozbudowany tytuł – „podczas spotkań czterodniowych rozprawia się o dwóch najważniejszych układach świata, Ptolemeuszowym i Kopernikowym, proponując bez żadnej determinacji racje filozoficzne i przyrodnicze zarówno na korzyść jednej, jak i drugiej ze stron”. Dialog – jako forma literacka – nie rościł sobie pretensji do prawdy w jakimś sensie absolutnym i naukowym. Miał być w zamierzeniu jego autora odbierany jako debata czy cywilizowana dyskusja między wyrafinowanymi i pełnymi dobrej woli ludźmi honoru.

By go wydrukować, trzeba było uzyskać akceptacje Kościoła. Poddany badaniu przez inkwizytora z Florencji rękopis „Dialogu” został przekazany w 1628 roku inkwizycji rzymskiej, która powierzyła jego rewizję mistrzowi świętego pałacu, dominikaninowi Niccolo Riccardiemu, znanemu raczej pod przydomkiem Padre Monstro (Ojciec potwór). Ojciec Riccardi zaproponował kilka istotnych zmian, w tym dopisanie przedmowy, w której autor wspominałby o cenzurze, jakiej poddana została w roku 1616 doktryna kopernikańska, oraz potwierdziłby swą neutralność w wykładaniu racji za lub przeciw systemowi Kopernika. Galileusz zgodził się. Próbkę przemowy zostały przedłożone 31 lipca 1630 roku papieżowi Urbanowi VIII. Papież poprosił, by w zakończeniu dzieła umieścić jeszcze argument o wszechmocy Boskiej.

Dnia 25 kwietnia 1631 roku ojciec Riccardi wręczył Galileuszowi *imprimatur* ze zwykłą sygnaturą, z zastrzeżeniem jednak, że do tekstu będą w niesione poprawki, tak jak to było ustalone, oraz że „Dialog” zostanie wydrukowany w Rzymie. Galileusz – pod

pretekstem niebezpieczeństwa rozszerzenia się zarazy – zabrał rękopis do Florencji, gdzie wydrukował go u typografa Landiniego. Ten krok pociągnął za sobą dla niego fatalne skutki.

Urban VIII cofnął imprimatur. „Sprawa Galileusza” była dla niego nie tyle kwestia prawdy czy fałszu, lecz posłuszeństwa i nieposłuszeństwa. Inkwizycja nakazała drukarzowi Landiniemu wstrzymać rozpowszechnianie „Dialogu”, zaś 232 września Galileusz otrzymał, pozew, by stawić się niezwłocznie przed generalnym komisarzem Świętego Oficjum, dominikaninem Vincenzo Maculano. Galileusz postarał się o zaświadczenie trzech lekarzy, iż nie sprostą trudom podróży. Papież zagroził mu nakazem doprowadzenia i dał do zrozumienia, że przesłuchania mają być złożone nawet pod groźbą tortur.

Co rozsierdziło tak papieża? Już wcześniej Galileusz w „Liście do Wielkiej Księżnej Krystyny” napisał, że ironia polega na tym, iż Kopernik, ksiądz, kanonik, doradca papieża, cieszył się szacunkiem, a jego książki czytano w czasach mu współczesnych, kiedy dowody wspierające teorię heliocentryczną były jeszcze skąpe. Teraz zaś atakuje się jego punkt widzenia, choć każdy dzień przynosi nowe odkrycia, czyniące jego teorię „prawdziwą i pewniejszą”. W liście tym rzucił też wyzwanie autorytetowi nieomylnego papieża: w odniesieniu do twierdzeń naukowych „nikt nie może wątpić, że najwyższy kapłan ma zawsze absolutną władzę przyzwalania lub potępienia. Jednak żadna istota ludzka nie jest zdolna sprawić, by te twierdzenia były prawdziwe lub fałszywe wbrew temu, jakie są ze swej natury”.

Najbardziej zaś rozgniewała papieża lektura „Dialogu”, bo Galileusz włożył w usta tępotłowej postaci swojego arcydzieła argumenty Urbana VIII, jakie słyszał od niego przed paru laty, tocząc z nim osobistą dyskusję o teorii Kopernika. Argumenty papieża zostały ośmieszone. W tym tkwi klucz do losu Galileusza. W „sprawie Galileusza” chodziło nie tylko o pryncypia, lecz o sprawy osobiste. Ale cóż się można było spodziewać po Ojcu Świętym, który był autorem dekretu ekskomunikującego każdego katolika, który ośmieliłby się kichnąć w kościele!

Z polecenia papieża ojciec Lorini, dominikanin, profesor historii Kościoła, oficjalnie przedstawił „sprawę Galileusza” inkwizycji. Podstawą oskarżenia był list do ojca Castellego, jaki napisał Galileusz, w którym wyraził poparcie dla systemu kopernikańskiego. Papież mianował też członków komisji, która miała sprawę rozpatrzyć. Obradowała ona pod przewodnictwem jego bratanka, kardynała Francesca Barberniego. W komisji nie było żadnego matematyka, żadnego astronoma, lecz tylko „zagniewani teolodzy”, pełni niechęci do Galileusza. Dlatego to papież Urban VIII, jest najbardziej odpowiedzialny za „sprawę Galileusza”. Wykorzystał ją również, by utracić głosy niektórych hiszpańskich kardynałów, którzy oskarżali Urbana VIII, że jest za miękki dla heretyków. Pokazał swoim przeciwnikom, że są w błędzie. Przykład Galileusza udowodnił, że potrafi być bezwzględny.

Dnia 13 lutego 1633 roku Galileusz w opłakanym stanie przybył do Rzymu, gdzie najpierw zatrzymał się w ambasadzie Toskanii, w Villa Medici. Skąd dochodził na przesłuchania. Potem jednak kazano mu stawić się w Pałacu Świętego Oficjum. Nie został wtrącony do lochów, bo w odróżnieniu od Giordiano Bruno był człowiekiem głęboko wierzącym, a jego lojalności względem Kościoła nikt do tej pory nie kwestionował. Sam papież Urban VIII w 1624 roku potwierdził lojalność Galileusza względem Kościoła. Po serii spotkań z uczonym w Rzymie napisał list pochwalny do Wielkiego Księcia Toskanii, w którym wysoko ocenił zarówno sławę Galileusza jako pisarza, jak i jego żarliwą pobożność, pragnąc w ten sposób wystawić zaszczytne świadectwo jego uczciwości. Opinie tę ten sam papież wyraził ponownie 12 lutego 1630 roku, wspominając o „uczciwym życiu i obyczajowości oraz innych chwalebnych zalet prawości i cnoty” Galileusza.

Dopiero podczas procesu określono Galileusza jako *veementemente sospetto d'eresia*.

Zamiast lochu zajmował, więc strzeżony trzypokojowy apartament. Posiłki donoszono mu z tokańskiej ambasady. Miał przy sobie służącego, który dbał o wszystkie jego potrzeby. Mógł spacerować po ogrodach watykańskich.

Trzeba uczciwie przyznać, że tak łagodne traktowanie było czymś wyjątkowym w czterechsetletniej historii inkwizycji. Zarzucano mu przede wszystkim, że mnie podporządkował się formalnemu nakazowi, jaki otrzymał w 1616 roku. Galileusz protestował twierdząc, że otrzymał tylko zwykłe ostrzeżenie, lecz kardynał, Vincezo Maculano, główny inkwizytor, który nie był mu z gruntu nieprzychylny, pokazał wyciągnięty z archiwum watykańskiego – niepodpisany zresztą przez Galileusza – dokument formalnego nakazu, a potem odbył z Galileuszem rozmowę pozaproceduralną, prywatną, w której użył przyprawionej groźbami perswazji.

Uzyskał tylko takie stwierdzenie: „Był to mój błąd, spowodowany czężą ambicją, czystą ignorancją i brakiem doświadczenia”. Galileusz nie odniósł się bezpośrednio do teorii Kopernika, nie uczynił żadnej oceny swego heretyckiego stosunku do dogmatu katolickiego, żadnej skruchy z powodu zła wyrządzonego wiernym, żadnego przyznania się do jawnego nieposłuszeństwa. To doświadczenie było tylko przyznaniem się do pisarskiej pychy.

Pozwolono mu wrócić do ambasady tokańskiej. Dziesiątego maja znów został wezwany do Świętego Oficjum. Przedstawił obronę na piśmie – dokument przejmujący, dramatyczny. Potwierdził to, co mówił poprzednio, a mianowicie, że biorąc pod uwagę stanowisko Kościoła, polegał na osobistym oświadczeniu Bellarmina z 26 maja 1616 roku. Został w nim upomniany, iż nie powinien wyznawać ni bronić teorii Kopernika. Oświadczenie nie zawierało jednak słów: „i nauczać” czy też „w żaden sposób”. Publikując swą książkę, opatrzoną przecież pieczęcią aprobaty, był posłuszny nakazowi Kościoła – zapewniał raz jeszcze. W ostatnich słowach zdał się na łaskę swych sędziów.

Odużyło się posiedzenie Świętego Oficjum z udziałem papieża. Ustalono na nim, że trzeba dowieść pod groźbą tortur, iż oskarżony kierował się niegodziwymi intencjami. Musi on odwołać swoje poglądy podczas posiedzenia całej Kongregacji Świętego Oficjum. Następnie zostanie skazany na dożywotnie więzienie. W przyszłości nie może powiedzieć ani jednego słowa na temat kosmologii, dyskutować o teorii Kopernika ani nawet nauczać teorii przeciwnej, to znaczy ptolemejskiej. „Dialog” ma być zakazany i umieszczony na indeksie. Książka publicznie spalona. Tekst wyroku zostanie rozesłany do nuncjuszy papieskich i inkwizytorów w całych Włoszech, jak również odczytany publicznie profesorom matematyki i nauk przyrodniczych.

I znów zaczęło się nękanie uczonego. Doprowadziło do oczekiwanego efektu: „Nie wyznaje poglądu Kopernika. Jeżeli chodzi o wszystko inne, to jestem w waszych rękach. Uczynicie ze mną, co chcecie”. A potem dodał: „Pragnę tedy z umysłów Waszych Eminencji i każdego prawego chrześcijanina usunąć to silne podejrzenie o herezję. Ze szczerego serca i z niekłamaną wiarą wyrzekam się moich błędów, przeklinam je i potępiam. Przysięgam, że w przyszłości nigdy już nie będę głosił ani twierdził słowem bądź pismem niczego, co skłaniałoby do takiego podejrzenia”.

Ogłoszenie wyroku nastąpiło rankiem 22 czerwca w położonej w centrum Rzymu bazylice Santa Maria sopra Minerva. Winowajca klęczał w prostym klęczniku i w tej pozycji wysłuchał wyroku. Przed nim leżała Biblia.

Został więźniem inkwizycji na czas nieokreślony – *de facto* wieszony był aż do samej śmierci. Słowo „wieszony” można zastąpić precyzyjniejszym – pozostawał w „areszcie domowym”. Najpierw w Sienie u arcybiskupa Ascanio Piccoliminiego, który zamiast izolować więźnia zgodnie z nakazem Watykanu, stworzył salon poetów, uczonych i muzyków, stanowiących osłodę gorzkich chwil uczonego. Potem Galileusz został odizolowany już całkowicie, w Arcetri, gdzie żył w samotności pod ścisłą kontrolą miejscowego duchowieństwa. Nie wolno mu było udzielać nikomu gościny i dopuszczać do

gromadzenia się większej ilości przyjaciół. Tu powstało w połowie 1636 roku dzieło „Rozmowy i dowodzenia matematyczne w zakresie dwóch nowych umiejętności”, w którym przedstawił swą nową naukę o ruchu, a którą pięćdziesiąt lat później Izaak Newton rozwinie w pierwszą zasadę dynamiki. Dopiero, kiedy stracił wzrok, pozwolono mu na zatrzymanie się w domu syna we Florencji i na leczenie. Jak bardzo był izolowany najlepiej świadczy to, że w 1638 roku Galileusz zmuszony był zwrócić się z prośbą, by wolno go było zanieść do oddalonej o dwieście kroków kapliczki, gdzie mógłby wysłuchać Mszy świętej. Pozwolenie zostało udzielone pod warunkiem, że nie będzie się z nikim w tym czasie kontaktował.

Cień wyroku okrył ostatnie dziesięć lat pracy wielkiego astronoma. Przyjaciele, którzy odwiedzali go, by okazać swą przyjaźń i dyskutować o kwestiach nauki, musieli prosić inkwizycję o pozwolenie na odwiedziny. W pismach zawierających pozwolenie pojawia się nierzadko restrykcja: podczas wizyty nie należy podejmować dyskusji dotyczącej astronomii kopernikańskiej.

Dziś Kościół broni się przed zarzutem gnębienia Galileusza twierdząc, że przecież jedyną karą był obowiązek odmawiania raz w tygodniu siedmiu psalmów pokutnych do końca życia. Podkreślając też, że Galileusz uniknął ekskomuniki i stosu, a przecież w ciągu miesiąca od wyrzeczenia się przez Galileusza heretyckich poglądów – na Campo di Fiori spalono trzy osoby.

Los Galileusza miał być przestrożą dla wszystkich uczonych, których eksperymenty mogły zaprzeczyć starodawnej myśli biblijnej. Kościół przeszedł do ataku, zachęcając wstecznych wykładowców do zwalczania piórem poglądów Kopernika i Keplera, a przede wszystkim do występowania przeciwko Galileuszowi. Tak też się stało.

Duchowni, którzy sprzyjali Galileuszowi, popadli w niełaskę. Ojciec Riccardi, który cenzurował „Dialog” i zezwolił na jego publikację, został zwolniony ze stanowiska mistrza Świętego Pałacu. Inkwizytor florencki, który dopuścił dzieło do druku, otrzymał naganę. Ojciec Castelli uciekł z Rzymu, bojąc się, że będzie wciągnięty w sprawę, i przez wiele miesięcy nie wracał. Monsignore Ciampoli, zaufany człowiek papieża i informator Galileusza, ściągnął na siebie srogi gniew Urbana VIII, wstrząśniętego zdradą w swoim najbliższym otoczeniu. Ciampoli został wygnany z Rzymu i do końca życia zajmował podrzędne stanowisko kościelne.

Największą zaś zbrodnią Urbana VIII było to, że nauka i wiara starły się ze sobą i ten straszny konflikt doprowadził do ich rozdzielenia, do rozwijania się w rozbieżnych kierunkach i do utraty wspólnego podłoża. Przez nacisk położony na totalne zwycięstwo teologii Kościół sam sobie przypiął etykietkę instytucji antynaukowej i wstecznej.

Galileusz zmarł 8 stycznia 1642 roku w wieku 77 lat, jego ciało zostało przewiezione z willi Arcetri do Florencji i złożone na polecenie Wielkiego Księcia Toskanii oddzielnie, w kościele Santa Croce, gdzie znajduje się stary grobowiec szlacheckiego rodu Galilei. W 1734 roku kardynałowie Świętego Oficjum zezwolili na wzniesienie tu mauzoleum Galileusza. Pamięć o uczonym została zrehabilitowana w roku 1734 przez papieża Klemensa XII, tego, który był pierwszym papieżem potępiającym masonerie. Wreszcie w roku 1757 zdjęto z indeksu książki nauczające o ruchomości Ziemi.

Jednak konflikt intelektu, z ortodoksją absolutyzującą ciasne schematy dochodził do głosu w związku ze „sprawą Galileusza” jeszcze po roku 1633. Szczególnie głośną sprawą była ta z 1820 roku, która dotyczyła sporu między Kongregacją Świętego Oficjum a ówczesnym mistrzem pałacu apostolskiego Filippo Anfossim. Ten ostatni odmówił *imprimatur* dla książki Giuseppe Settelego „Elementy optyki i astronomii”. Mimo iż w 1741 roku Święte Oficjum wyraziło zgodę na druk „Dialogu” w wydaniu dzieł zebranych Galileusza i mimo iż w 1757 roku usunięto z indeksu dzieła propagujące kopernikanizm, chorobliwie ortodoksyjny Anfossi odmówił wydania *imprimatur*, twierdząc, że praca Settelego popiera heretycką teorię o ruchu Ziemi.

Na takim tle gest Jana Pawła II wydaje się, więc krokiem milowym.

Zbrodnia doskonała

David Yallop, brytyjski dziennikarz specjalizujący się w sprawach okrytych mgłą tajemnicy, już w 1984 roku postawił tezę, że papież Jan Paweł I, nazywany „Uśmiechniętym”, został zamordowany. W swej książce „W imieniu Boga?” zawarł efekt trzyletniego dochodzenia, jakie przeprowadził w sprawie śmierci Albino Lucianiego, któremu dane było tylko trzydzieści trzy dni zasiadać na Stolicy Piotrowej. Dowody uzasadniające tę tezę to poszlaki, ale przecież w wielowiekowej historii Watykanu zbrodnie to nic nowego. Dlaczego wiek dwudziesty miałby nie mieć swojej? Jedno jest pewne. Późnego wieczoru 28 września 1978 roku lub w nocy na 29 września Jan Paweł I rozstał się z tym światem. Czas zgonu nieznany, przyczyna – też.

Od prawie czterystu lat żaden z papieży nie zmarł tak szybko po objęciu urzędu. Aby znaleźć jeszcze krótszy pontyfikat, musielibyśmy się cofnąć do 1605 roku, do czasów papieża Medyceusza, Leona XI, który pełnił swój urząd tylko przez siedemnaście dni. Od stu lat żaden papież nie umarł samotnie. Zdarzyło się to Albino Lucianiemu – Janowi Pawłowi I.

Albino Luciani urodził się 17 października 1912 roku w małej górskiej wiosce Canale d'Agordo. Ojciec jego, Giovanni, miał już dwie córki, z pierwszego małżeństwa. Albino był pierwszym z trójki kolejnych dzieci (po nim był Eduardo i Antonia), jakie pochodziły z drugiego małżeństwa Giovanniego z Bertolą. Imię otrzymał po przyjacielu ojca, który zginął w pracy w jednej z niemieckich hut.

W domu Lucianich nie przelewało się. Ojciec w poszukiwaniu pracy przewędrował prawie całą Europę, wynajmował się do pracy w różnych zawodach – jako murarz, ślusarz budowlany, elektryk i mechanik. Z przekonania socjalista – uważany był za „klechożercę” i antychrysta. Bertola, pobożna katoliczka, dorabiała pisaniem listów dla miejscowych analfabetów i pracą w charakterze kucharki. To ona, a także miejscowy ksiądz Filippo Carli, mieli największy wpływ na kształtowanie młodego Lucianiego. Nic, więc dziwnego, że wcześniej odczuł powołanie do stanu duchownego. W 1923 roku Albino, jako jedenastoletni chłopiec, wstąpił do seminarium w pobliskim Veltre. Dużo czytał. Zauważono też, że był obdarzony niezwykłą pamięcią. Naukę kontynuował w wyższym seminarium w Belluno. Zapragnął wstąpić do zakonu jezuitów, ale rektor nie udzielił na to swojej zgody. Mając dwadzieścia trzy lata, 7 lipca 1935 roku Albino Luciani otrzymał święcenia kapłańskie w kościele św. Piotra w Belluno. Powierzono mu funkcję wikarego w Canale. Jego ojciec miał już wówczas stałą pracę – był dmuchaczem szkła na wyspie Muramno koło Wenecji. W 1937 roku mianowano Lucianiego wicerektorem seminarium w Belluno. Po czterech latach, w 1941 roku, podjął teologiczne studia doktorskie w Rzymie na Uniwersytecie Gregoriańskim. Po roku znów łączył studia z pracą w seminarium, które pod koniec drugiej wojny światowej stało się schronieniem dla uczestników ruchu oporu. Doktorat – którego podstawą była praca „Pochodzenie duszy ludzkiej, według Antonio Rosminiego” – obronił 23 listopada 1946 roku.

Rok później biskup Belluno, Girolamo Bortignon, mianował Lucianiego wikariuszem generalnym swojej diecezji oraz powierzył mu organizacyjne przygotowania zbliżającego się synodu i międzydiecezjalnego spotkania Feltre z Belluno. W 1949 roku był odpowiedzialnym za katechezę Kongresu Eucharystycznego, który odbył się w Belluno, bowiem będąc autorem „Catechesi in Briciole” (Okruszyny katechizmu) Albino Luciani był uznawany za jednego z najlepszych nauczycieli katechizmu, jakich miał Kościół w tym stuleciu.

Kolejnym szczeblem kariery wikariusza generalnego w Belluno była sakra biskupia. Jan XXIII mianował go biskupem w Vittorio Veneto. I sam papież, w grudniu 1958 roku, w bazylice św. Piotra konsekrował czterdziestosześcioletniego Albino Lucianiego.

Luciani już w młodości zetknął się z myślą teologa, księdza Antonio Rosminiego. Szczególnie silne wrażenie, co pozostawiło głęboki i trwały wpływ na jego sposób myślenia i życia, wywarła na Lucianim napisana w 1848 roku książka Rosminiego „Pięć ran Kościoła”. Głosiła ona, że Kościół znajduje się w obliczu kryzysu spowodowanego pięcioma przyczynami: wynoszeniem się kleru ponad ludzi, niskim poziomem wykształcenia księży, brakiem jedności wśród biskupów i ich skłonnościami do sporów, uzależnieniem świeckich nominacji od władz Kościoła oraz posiadaniem przez Kościół majątku, przez co stał się on niewolnikiem bogactwa. Kiedy więc Albino Luciani wspiął się na stolec biskupi, a więc ten szczebel hierarchii kościelnej, który gwarantował mu niezależność, nauki Rosminiego postanowił wcielić w życie. Dał temu wyraz w przemówieniu do czterystu podległych mu w diecezji księży. Powiedział: „Przybyłem tu z sumą mniejszą niż pięć lirów. Chciałbym też odejść z sumą mniejszą niż pięć lirów”.

Nie dziwiło, więc nikogo, że zamiast w luksusowym apartamencie w mieście zamieszkał w spartańskiej siedzibie w zamku w San Marino. W stosunkach z podległymi sobie księżmi wprowadził też rzadką wówczas w Kościele formę demokracji. Wierzył w kościół ubogi i dla ubogich. Stał się orędownikiem ducha Drugiego Soboru 1962 roku.

Wielu uważało, że zainteresowanie Lucianiego dziełami Rosminiego było jednoznaczna oznaką jego liberalnego umysłu. Chyba słusznie. Ten niewysoki, spokojny, przywiązujący małą wagę do jedzenia, lubiący rowerowe i piesze wędrówki kapłan mógł w przyszłości, jako papież Jan Paweł I, spełnić doniosłą w historii Kościoła misję – zreformować jego skostniałe dogmaty, wpuścić doń trochę świeżego powietrza. Dla Lucianiego sens i zasługa Soboru Watykańskiego II polegały na przystosowaniu Ewangelii i Kościoła do XX wieku. I – choć jego poprzednicy nie zdecydowali się na rewolucyjne zmiany – to on miał je wprowadzić.

W 1962 roku Jan XXIII powołał komisję pontyfikalną do spraw rodziny, mającą wypowiedzieć się m.in. w sprawie regulacji urodzeń. Paweł VI komisję tę rozszerzył do sześćdziesięciu ośmiu osób. Raport jej oznajmiał, że przeważająca większość (64 do 4) teologów, ekspertów prawnych, historyków, socjologów, lekarzy, akuszerów i doświadczonych w małżeństwach katolików świeckich doszła do wniosku, że zmiana w stanowisku Kościoła wobec sprawy sztucznego zapobiegania ciąży jest nie tylko możliwa, ale i wskazana.

W połowie 1966 roku przedłożono ten raport drugiej mniejszej komisji, sprawującej nadzór nad pracą poprzedniego zespołu, składającej się tym razem z kardynałów i biskupów. Ośmiu członków głosowało za rekomendowaniem dokumentu papieżowi, sześciu opowiedziało się przeciw temu, a pozostałych sześciu wstrzymało się od głosu.

Także Albino Luciano przygotował dla papieża Pawła VI własny raport w tej sprawie. Poglądy, które na ten temat wyrażał dotychczas w dyskretnych i prywatnych rozmowach, były już ugruntowane. Albino Luciano przychylił się do stanowiska, że w XX wieku odmawianie mężczyznom i kobietom prawa do zapobiegania ciąży odznacza cofnięcie się Kościoła do najciemniejszego średniowiecza. W swym raporcie dla papieża Luciani zalecił, więc dopuszczenie opracowanej przez prof. Pincusa pigułki antykoncepcyjnej, która powinna się stać katolickim środkiem antykoncepcyjnym.

Siedemdziesięcioletni Paweł VI nie zrobił jednak kroku w przód. Całkowicie zlekceważył zalecenie komisji udzielającej mu porad w sprawie regulacji urodzin. Ogłosił encyklikę „Humanae vitae”. Jak pisze David Yallop, na skali błędów Kościoła katolickiego plasuje się ona wyżej niż proces inkwizycji przeciw Galileuszowi w XVII wieku lub dwieście lat później obwieszczenie papieskiej nieomylności na I Soborze Watykańskim.

Encyklika „*Humanae vitae*” głosi, że jedynymi metodami zapobiegania ciąży, które może dopuścić Kościół, są wstrzemięźliwość płciowa lub metoda kalendarzyka. W dobie triumfu nauki ustawa ta oznajmia, że „każdy stosunek małżeński sam w sobie jest i musi pozostać podporządkowany tworzeniu życia ludzkiego”.

Albino Luciani, który obserwował kłopoty swego brata Eduardo z zarobieniem wystarczającej ilości pieniędzy na wyżywienie stale rosnącej, liczącej w końcu dziesięcioro dzieci rodziny, który pamiętał kłopoty w tej sprawie własnego domu rodzinnego, który wielokrotnie zatchnął się z tą sprawą jako duszpasterz, musiał, jako podległy w hierarchii papieżowi biskup, przestrzegać jego zaleceń. Tylko sam jako papież mógłby je zmienić. Podporządkował się, ale trudno mu było zapomnieć, że dwulicowy Watykan partycypował w zyskach jednej z wielu znajdujących się w jego posiadaniu firm, Instituto Farmacologico Serono, w której jednym z najlepiej sprzedających się wyrobów był doustny, środek antykoncepcyjny pod nazwą Luteolas. Musiał się więc pogodzić z tym, że Watykanowi zbijając pieniądze na antykoncepcji było tak samo wolno, jak straszyć grzechem zażywające ten środek kobiety.

Także w sprawie rozwodów Luciani prezentował bardzo postępowy pogląd. Był gotowy zaakceptować ludzi rozwiedzionych i tak też czynił. Mógł też bez zastrzeżeń zaakceptować tych, którzy niezwiązani sakramentem małżeństwa – jak nazywa to Kościół – żyli w grzechu. Mówił jednak o tym tylko w cztery oczy, w rozmowach z ludźmi zaufanymi.

Póki, co pozostawał lojalnym wobec papieża Pawła VI. Ten w zamian za to mianował Albino Lucianiego patriarchą Wenecji. Nowo mianowany udał się tam z paczką bielizny pościelowej, kilkoma meblami i własnymi książkami oraz z portmonetką, w której nie było więcej niż pięć lirów. I tak 15 grudnia 1969 roku Luciani objął urząd.

Ten „ubogi” biskup, człowiek, którego cechowała prostota rozumowania, jaką spotyka się tylko u ludzi nieprzeciętnie inteligentnych, połączona przy tym z prawdziwym, głębokim humanizmem – przysparzał jednak Watykanowi pewnych kłopotów. Kiedy w 1971 roku papież wysłał go jako swego przedstawiciela na światowy Synod Biskupów, którego tematami obrad była służba kapłańska i sprawiedliwość na świecie, zaproponował tam, by kościoły same się opodatkowały i odprowadzały jeden procent swych wpływów na konta watykańskich organizacji charytatywnych.

Propozycja ta padła w momencie, kiedy głośno było o pierwszej aferze związanej z Instituto per le Opere di Religione (IOR), czyli z Bankiem Watykańskim. Otóż w posiadaniu IOR był Banca Cattolica Veneto, który utworzono w diecezji weneckiej dla obsługi jej potrzeb i prowadzonych tu akcji dobroczynnych. I tenże bank, bez wiedzy patriarchy Wenecji, Albino Lucianiego, szef IOR, chicagowski biskup Paul Marcinkus, sprzedał Robertowi Calviemu, szefowi mediolańskiego Banco Ambrosiano. Marcinkus sprzedał mu trzydzieści siedem procent udziałów, po rozmyślnie zaniżonej cenie, zarabiając na tej transakcji czterdzieści siedem milionów dolarów. Po tym fakcie większość biskupów, łącznie z Lucianim, sprzedała posiadane akcje w Banca Cattolica, a patriarcha wenecki ustanowił bankiem diecezji niewielki dom Banco San Marco.

Dopiero w kwietniu 1978 roku, na cztery miesiące przed śmiercią Pawła VI, prześwietlono finansowe imperium Roberta Calviego i ujawniono jego uczestnictwo w międzynarodowych akcjach przestępczych, w rezultacie, czego uzyskał dla siebie ponad miliard dolarów.

Jednak na początku lat siedemdziesiątych, bez względu na oburzenie, jakie wywołała finansowa polityka IOR, Luciani uważał, że wobec papieża jest zobowiązany do całkowitej i bezwarunkowej lojalności. W marcu 1973 roku Paweł VI mianował go kardynałem.

Tymczasem wyszły na jaw jeszcze inne operacje biskupa Marcinkusa, wskazujące na jego powiązania z amerykańską mafią. Według raportu FBI, nowojorska mafia sfalszowała pakiet amerykańskich papierów wartościowych na sumę czternaście i pół miliona dolarów,

który to pakiet dostarczono w lipcu 1971 roku do Rzymu, przy czym poszlaki wskazywały, że ostatnim odbiorcą tych fałszyfikatów był Bank Watykański. Poszlaki wskazywały też, że te sfałszowane papiery zamówiono z Watykanu i że zrobił to ktoś, kto miał uprawnienia do p[odejmowania ważnych decyzji finansowych. Owa suma stanowiła zaś zaledwie pierwszą ratę planowanej transakcji, bo ogólna wartość sfałszowanych papierów zamykała się kwotą dziewięćset pięćdziesiąt milionów dolarów. Papiery te miały być odstąpione za cenę sześćset dwudziestu pięciu milionów dolarów, z której Watykan otrzymałby jeszcze „prowizję” w wysokości stu pięćdziesięciu milionów dolarów. W ten sposób ze sprzedaży panierów o nominalnej wartości prawie miliarda dolarów, mafii – po załatwieniu transakcji – pozostałoby czterysta siedemdziesiąt pięć milionów.

Biskup Marcinkus współpracował z włoskim bankierem i przedsiębiorcą Michele Sindoną, pełniącym funkcję świeckiego doradcy Banku Watykańskiego, zaprzyjaźnionym z Pawłem VI od czasu, kiedy ten był arcybiskupem Mediolanu. Pieniądze te potrzebne były Marcinkusowi na wykupienie wielkiego, mającego udziały w górnictwie i przemyśle chemicznym, a także znaczne posiadłości ziemskie, przedsiębiorstwa włoskiego, Bastogi.

Z pomocą Sindony biskup Marcinkus założył kilka prywatnych, tajnych kont bankowych na Wyspach Bahama. Z jego pomocą zaangażował też największe oszustwo wszech czasów: został członkiem zarządu – zarejestrowanego w Nassau na Wyspach Bahama – Banco Ambrosiano Overseans. Funkcję tę powierzyli mu Sindona i Roberto Calvi, by wykorzystywać nazwisko biskupa w swoich transakcjach, za co odwdzięczali się przepisując na Marcinkusa i Bank Watykański dwu i pół procentowy udział w kapitale banku. Udział ten wzrósł z czasem do ośmiu procent.

Mimo że malwersacje biskupa Marcinkusa i jego Watykańskiego Banku stały się publiczną tajemnicą, z braku oficjalnych dowodów postępowanie przeciw biskupowi umorzono.

W 1976 roku z powodu bankructwa Sindony Watykan stracił sto milionów dolarów. I choć okazało się, że jego czeki były bez pokrycia, Paweł VI nie zwolnił Marcinkusa z stanowiska szefa Banku Watykańskiego. Dwa lata później papież zmarł. Jego następcą został Albino Luciani – Jan Paweł I.

Wybrano go papieżem 26 sierpnia 1978 roku, w trzeciej turze głosowania konklawe. Powiedział: „Niech Bóg wam wybaczy to, coście mi uczynili. Akceptuję”.

Jako pierwszy przybrał podwójne imię. Po poprzednikach – Janie XXIII i Pawle VI – jako ich kontynuator. Nazwał się też Pierwszym – choć do tej pory numeracja pojawiała się dopiero przy drugim z kolei papieżu o tym samym imieniu. Jego pontyfikat miał być tym, który doprowadzić miał Kościół tam, gdzie było jego miejsce: do skromności i uczciwości jego początków. By Chrystus po powrocie na ziemię zastał Kościół takim, który mógłby poznać; Kościół wolny od interesów politycznych i od nowej – uosabianej przez biskupa Marcinkusa – mentalności finansowo – kapitalistycznej, która przenikając doń od wewnątrz zatrzymywała go i zniekształcała jego pierwotną misję. Luciani, zdecydowanie przekonany o tym, że Kościół rzymskokatolicki musi być Kościołem ubogich, zapoczątkował badanie sytuacji majątkowej Watykanu. A czyż Chrystusowym był Kościół, pod sztandarami, którego Bank Watykański zachowywał się na rynkach finansowych jak spekulant, współuczestniczył w nielegalnym transferze kapitału z Włoch do innych krajów, pomagał obywatelom włoskim wymigiwać się od płacenia podatków? Czyż Chrystusowym był Kościół, który dopuszczał inwestycje w przedsiębiorstwach narodowych i międzynarodowych, których jedynym celem jest zysk, w przedsiębiorstwach, które w obronie swoich interesów gotowe są naruszać i deptać prawa milionów ubogich, szczególnie tych w Trzecim Świecie? W końcu czyż sługami Chrystusa byli Luigi Mennini, dyrektor administracyjny IOR, i biskup Paul Marcinkus, zwany „Bankierem Boga”, którzy prowadzili konszachty z najbardziej cynicznymi żonglerami finansowymi na świecie, od Sindony po bossów Continental Illinois Bank w Chicago?

Pontyfikat słynącego z osobistej skromności i gotowości do wyrzeczeń i poświęceń Jana Pawła I zapowiadał również przełom w życiu dla straszonych ogniem piekielnym wiernych, którym Kościół odmawiał prawa do nienaturalnych metod regulacji narodzin, w związku, z czym ich życie intymne poddawał najcięższym sankcjom. Nikt nie miał wątpliwości, że Albino Luciani jako nowy papież chciał zmienić kurs Kościoła katolickiego w tej kwestii. Będąc zwolennikiem metod sztucznej regulacji narodzin, już w czasie pierwszych trzech tygodni swego pontyfikatu, podjął istotne kroki zmierzające do ich usankcjonowania przez Kościół.

Był duchowym zwierzchnikiem niemal jednej piątej ludności świata i dysponował niesłychaną władzą. Ale nie przewidział jednego. Zbrodni.

Dzień po obraniu go papieżem zalecił zatwierdzonemu właśnie na stanowisku sekretarza stanu kardynałowi Jean Villotowi natychmiastowe wszczęcie dochodzenia w sprawach działalności finansowej Watykanu i całego Kościoła.

Marcinkus mawiał: „Kościół nie żyje z samych Ave Maria”. I faktycznie tak było. Zwierzchnik Kościoła katolickiego był nie tylko autorytetem moralnym, ale *de facto* był w dwudziestym stuleciu prezesem zarządu międzynarodowego koncernu pod nazwą Watykan Spółka z o.o.

W 1887 roku papież Leon XIII powołał Zarząd Dziel Religijnych, którego zadaniem miało być gromadzenie środków na finansowanie projektów wspieranych przez Kościół. Papież Pius XI poszedł dalej. Sekcji do Zadań Nadzwyczajnych APSA – którą kierował świecki katolik Bernardino Nogara – dał całkowicie wolną rękę w inwestowaniu kapitału kościelnego. Można to robić wszędzie, na całym świecie, bez względu na jakiegokolwiek religijne lub doktrynalne uwarunkowania. Był to glejt zezwalający na inwestowanie pieniędzy Watykanu w spekulacje giełdowe i dewizowe, na angażowanie się w interesy z metalami szlachetnymi, na kupowanie akcji wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw, także tych, których produkty Kościół katolicki odrzucał z uwagi na zasady wiary.

Pius XIII Zarząd Dziel Religijnych przekształcił w Instytut Dziel Religijnych IOR, czyli Bank Watykański.

Swe pierwsze bogactwo Watykan zawdzięczał wspaniałomyślności Benito Mussoliniego. W Układach Laterańskich, które jego rząd zawarł z Watykanem w 1929 roku, Kościół katolicki otrzymał wiele gwarancji i przywilejów. Włochy bezpośrednio po ratyfikacji układu zobowiązały się do wpłaty Watykanowi siedemset pięćdziesięciu milionów lirów oraz do wręczenia ubezpieczonych na pięć procent państwowych dokumentów własnościowych o nominalnej wartości miliarda lirów. Według ówczesnego kursu wymiany suma ta odpowiadała kwocie osiemdziesięciu jeden milionów dolarów.

Kiedy w 1954 roku Bernardino Nogara wycofał się z aktywności zawodowej, majątek Watykanu obejmował: pięćset milionów dolarów pod egidą Sekcji Nadzwyczajnej, sześćset pięćdziesiąt milionów dolarów pod egidą APSA 1 oraz dziewięćset czterdzieści milionów dolarów pod egidą Banku Watykańskiego. Same procenty od tego ogromnego majątku przynosiły papieżowi rocznie dochód w wysokości około czterdziestu milionów dolarów netto.

Eldorado to załamało się, kiedy w grudniu 1962 parlament włoski ogłosił ustawę o opodatkowaniu dochodów z akcji. Watykan poprosił wtedy o zwolnienie z podatków. Chciał pozostać na rynku kapitałowym i bogacić się, ale nie chciał za ten przywilej płacić. Zaszantażował przy tym rząd włoski, że jeśli w tej sprawie nie ustąpi, to Watykan rzuci na rynek wszystkie posiadane akcje włoskie, co doprowadzi do załamania się gospodarki narodowej. Rząd ugiał się, ale zwolnienia tego nigdy nie zaakceptował parlament. *De facto* od kwietnia 1963 roku Watykan wstrzymał ponownie opłaty podatkowe od swoich udziałów kapitałowych.

W 1968 roku sprawa znów wróciła i rząd kazał płacić podatek. Sprawę dogadania się papież Paweł VI powierzył biskupowi Paulowi Marcinkusowi, którego mianował kierownikiem Banku Watykańskiego dzień po wyświęceniu go na biskupa. Kiedy Paweł VI ogłosił światu encyklikę „Populorum progressio”, w której pisał, że „Ziemia jest dla wszystkich, nie tylko dla bogatych”, Watykan był największym posiadaczem ziemskim na Ziemi. Aby nie płacić podatku włoskiemu rządowi, biskup Marcinkus wycofał znaczną część lokat watykańskich z Włoch i przeniósł je do innych krajów. Był to nielegalny transfer pieniędzy, w którym pomagał mu – wspomniany już wcześniej – Michele Sindona. Wkrótce potem Watykan stał się „pralnią” pieniędzy dla mafii z jej działalnością w Meksyku, Kanadzie i USA.

Opinia publiczna o tych sprawach dowiedziała się na przełomie 1974 i 1975 roku, kiedy to nastąpił krach finansowy Sindony, a władze włoskie rozpoczęły starania o jego ekstradycję z USA.

W następstwie bankructwa Sindony aresztowano doktora Luigi Menniniego. Ten zaś zatrudniony w Banku Watykańskim, pracował przecież pod bezpośrednim kierownictwem Marcinkusa. Dokonane po bankructwie Sindony szacunki potencjalnych strat Watykanu różniły się między sobą. Oceny te sięgały dwustu czterdziestu milionów dolarów, którą to sumę wyliczyły szwajcarskie koła bankowe po oświadczeniu Watykanu: „Nie straciliśmy ani centa”. W rzeczywistości straty te oscylowały wokół pięćdziesięciu milionów dolarów. Oznaczało to wszakże jedynie zmniejszenie zysków z trzystu do dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów. W 1979 roku wartość majątku Watykanu szacowano na ponad miliard dolarów.

Luciani zajął się też reorganizacją Kurii papieskiej. Chciał rozluźnić oraz zdecentralizować istniejące struktury hierarchiczne. Chciał oczyścić Kurię z masonerii. W Watykanie działała, bowiem tajna, nielegalna loża masońska P2, która przeniknęła tu nawiązując kontakty z księżmi, biskupami, a nawet kardynałami.

Dnia 12 września nowy papież miał przed sobą listę nazwisk watykańskich masonów. Było ich sto dwadzieścia jeden. W odniesieniu do wolnomularstwa Luciani reprezentował pogląd, że kapłan w żadnym, wypadku nie może być członkiem loży. Tymczasem masonami byli: kardynał Villot – sekretarz stanu, kardynał Casaroli – minister spraw zagranicznych, kardynał Poletti – wikariusz Rzymu, a także biskup Marcinkus oraz kardynał Baggio i monsignore Donato de Bonis z Banku Watykańskiego.

Szczegółowe badania korupcji i niemoralnych praktyk wewnątrz Kościoła wywołało u podejrzanych zrozumiały popłoch, zaś awersja Jana Pawła I do lubowania się Kurii w przepychu wywołała alarm wśród tradycjonalistów. I dlatego, zanim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, po trzydziestu trzech dniach pontyfikatu musiał z Watykanu odejść. Zbyt wielu przeszkadzał, dla zbyt wielu był zagrożeniem.

Dnia 28 września papież Jan Paweł I powiadomił kardynała Villota, że odwoła Marcinkusa nie tylko z Banku Watykańskiego, ale i z Watykanu i uczyni go biskupem pomocniczym w Chicago. Jego miejsce miał objąć monsignore Giovanni Angelo Abbo, sekretarz Prefektury ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej. Zażądał też papież zmiany Menniniego, de Strobela i monsignore de Bonisa oraz zażyczył sobie natychmiastowego zerwania kontaktów z grupą Banco Ambrosiano, którą kierował Roberto Calvi.

Nadto postanowił, że kardynał Baggio obejmie patriariat Wenecji – choć wcale to wyznaczonemu kardynałowi nie odpowiadało. Powiadomił też, Villota o innych zmianach personalnych: Pericle Felici miał zostać w miejsce kardynała Ugo Polettego wikariuszem Rzymu, Poletti miał zastąpić Benellego jako arcybiskup Florencji, natomiast Benelli miał przejść na miejsce Villota i zostać watykańskim sekretarzem stanu.

Ogłosił też, że zwolni ze stanowiska zwierzchnika najbogatszej diecezji w świecie, biskupa Chicago, kardynała Johna Cody’ego, którego usunięcia ze względu na jego

powiązania z mafią domagali się już od lat od Pawła VI amerykańscy księża, zakonnice i katolicy świeccy.

W ten sposób jak twierdzi Yallop, Jan Paweł I podpisał na siebie wyrok.

Tego wieczora nic nie wskazywało na to, że jest chory. A następnego dnia rano znaleziono jego ciało. Był pierwszym od ponad stu lat papieżem, który umarł samotnie. Wiele wskazywało na to, że gdzieś między 21,30 wieczorem 28 września a 4,30 następnego rana Albino Luciani został zamordowany. O zlecenie „włoskiego rozwiązania” Yallop podejrzewa Cody’ego, Marcinkusa, Villota, Sindonę, Gelliego. Cody’ego – bo papież chciał go pozbawić silnej pozycji w Chicago, Marcinkusa – bo ten chciał pozostać na stanowisku Banku Watykańskiego; Villota – bo walczył o zachowanie urzędu dla siebie i innych dostojników, a także nie chciał dopuścić do zmiany stanowiska Kościoła w sprawie kontroli urodzeń; Sindonę – bo zainteresowanie papieża działalnością Banku Watykańskiego, z którym był związany, najprawdopodobniej skończyłoby się jego ekstradycją ze Stanów Zjednoczonych, o jaka od trzech lat zabiegał rząd włoski; wreszcie Licio Gelliego – bo kontrolował działalność loży masońskiej P2. Jak pisze Yallop, nie można wykluczyć, że człowiek, który czuje się zdrowym, nagle dostaje ataku serca i umiera. Nie można wykluczyć, że Luciani, który nie palił, nie pił prawie żadnego alkoholu, jadł skromnie i miał zbyt niskie ciśnienie krwi – odpowiadając tym samym wszystkim kryteriom maksymalnie wykluczającym schorzenia serca – miał po prostu pecha, i że jest całkowicie nienormalnym przypadkiem.

Jednak prawdopodobieństwo, że zmarł śmiercią naturalną, jest nikłe.

Najprawdopodobniej Jan Paweł I został otruty trucizną niepozostawiającą żadnych śladów, np. naparstnicą. Być może trucizna została podana w Effortilu – leku w płynie, którego kilka kropeł z powodu swego niskiego ciśnienia zażywał Luciani od lat każdego wieczoru.

Jedno jest pewne: ktoś, kto zamordował „Uśmiechniętego papieża”, musiał doskonale znać watykańską procedurę. Musiał wiedzieć, że autopsja nie zostanie dokonana, bo w Prawie Apostolskim nie ma żadnego wiążącego postanowienia, nakazującego przeprowadzenie takiej autopsji w przypadku śmierci papieża.

Papieża martwego, siedzącego w swoim łóżku, zastała 29 września wcześniej, o godzinie 4,45, posługująca mu od dziewiętnastu lat siostra zakonna Vincenza. Był w okularach i rękoma obejmował kilka arkuszy papieru, obok łóżka paliło się światło. Siostra powiadomiła o śmierci papieża jego sekretarzy – ojca Magee i ojca Lorenzi oraz inne siostry. Zaraz zjawił się też kardynał Villot, który choć poprzedniego dnia został usunięty ze stanowiska sekretarza stanu, sięgnął teraz po funkcję *camerlengo* – urzędującego zwierzchnika Kościoła. Villot zabrał ze sobą buteleczki z lekarstwami papieża, jego okulary i pantofle domowe, wyjął z rąk papieża kartki z notatkami dotyczącymi zmian personalnych, a z papieskiego biurka zabrał testament. Wynosząc osobiste rzeczy papieża, zacierał ślady wymiotów, zabierając dokumenty – niszczył obciążające go dowody. Żadna z tych rzeczy nigdy się już nie odnalazła.

Wstrząśniętym członkom domu papieskiego przedstawił Villot swoją wersję okoliczności, w jakich odnaleziono zmarłego. Przyjął od nich uroczyste przyrzeczenie, że nie ujawnią faktu odkrycia zwłok przez siostrę Vincenzę, i że informacja o śmierci papieża musi pozostać w tajemnicy do czasu, dopóki nie udzieli im dalszej instrukcji. Potem kolejno zatelefonował: do kardynała Confalonieriego – dziekana Świętego Kolegium, do kardynała Casaroli – ministra spraw zagranicznych, do jego zastępcy – arcybiskupa Caprio, który spędzał urlop w Montecatini, potem do lekarza i do straży Gwardii Szwajcarskiej. Wezwał natychmiast braci Ernesto i Renato Signoracci, którzy balsamowali już dwóch poprzednich papieży. Nie powiadomił zaś o śmierci biskupa Marcinkusa, ale ten, choć nie było to o tej porze jego zwyczajem pojawił się w Watykanie sam.

Wezwany przez Villota dr Buzzonetti, który nigdy wcześniej nie leczył papieża, około godziny 6,00 przeprowadził krótkie, pobieżne badanie zmarłego. Oświadczył, że przyczyną

śmierci był niedowład mięśnia sercowego, a więc atak serca. Godzinę zgonu określił w przybliżeniu na 23,00. Nie trzeba jednak dodawać, że ustalenie przyczyny i godziny zgonu przy tak pobieżnym badaniu nie jest możliwe. Zaraz potem Villot zarządził natychmiastowe balsamowanie zwłok.

Oficjalnie wiadomość o śmierci papieża podało Radio Watykan dopiero o godzinie 7,20. Komunikat głosił, że około godz. 5,30 rano, kiedy Ojciec Święty nie pojawił się, jak zwykł to czynić codziennie, w swej prywatnej kaplicy, sekretarz osobisty papieża, ojciec Magee, udał się na jego poszukiwanie. I gdy wszedł do sypialni papieża, znalazł go martwego, siedzącego przy zapalonym świetle w łóżku, jak ktoś, kto zabiera się do czytania. Lekarz stwierdził zgon wskutek ostrego niedowładu mięśnia sercowego. Miał on nastąpić w wyniku przejścia się papieża informacją, którą jakoby miał mu przekazać wieczorem ojciec Magee. Miał on opowiedzieć papieżowi o zamordowaniu studenta w Rzymie, na co papież odpowiedział: „Czy ci młodzi ludzie znowu strzelają do siebie? To naprawdę straszne”. A potem zmarł od wstrząsu, jakiego doznał po usłyszeniu tej wiadomości. Poinformowano, że papież zmarł przy lekturze książki „De imitatione Christi”, dzieła z XV wieku, przypisywanego zwykle Tomaszowi à Kempis. To był – jak ustalił to później Yallop – błąd Villota, gdyż w apartamentach papieża tej książki nie było. Papież własny egzemplarz miał w Wenecji i kiedy przed kilku dniami potrzebował stosownego cytatu, ojciec Lorenzi pożyczył ją od jego watykańskiego spowiednika. Jeszcze przed śmiercią papieża oddał ją z powrotem.

Tymczasem kardynałowie Felici z Padwy i Benelli z Florencji, którzy znali już podjęte przez Lucianiego decyzje personalne, podnieśli szum. W efekcie wstrzymano balsamowanie ciała i rozpoczęły się dyskusje nad ewentualną autopsją. Gdyby Luciani był jakimś zwykłym obywatelem włoskim, nie byłoby żadnej dyskusji. Prawo włoskie zabrania balsamowania zwłok przed upływem 24 godzin od zgonu, chyba, że wyrazi na to zgodę sędzia. W przypadku zwykłego obywatela włoskiego, który zmarłby w podobnych okolicznościach, jak Luciano, niezwłocznie wykonano by autopsję. Ale to nie dotyczyło papieża.

Villot opowiedział kardynałom jeszcze inną, niż oficjalna, wersję śmierci. Papież miał zażyć przez przeoczenie za dużą dawkę swoich leków. Było to wręcz bzdurą, bo papież, jak potwierdzili to lekarze, był wyjątkowo skrupulatnym pacjentem.

Pierwszego dnia o godzinie 18,00 wyniesiono wszystkie osobiste rzeczy Lucianiego z apartamentów papieskich, które kardynał Villot opieczętował do czasu wyboru następcy. Wieczorem zabalsamowano zwłoki papieża.

Bracia Signoracci już rano obejrzeni ciało. Na podstawie temperatury oraz braku objawów zeszywnienia mięśni doszli do wniosku, że zgon nie nastąpił w czwartek o jedenastej wieczorem, a dopiero w piątek rano, między godziną czwartą a piątą. Na wyraźne polecenie Watykanu z ciała nie pobierali ani krwi ani tkanki. Do systemu naczyniowego organizmu wstrzyknęli formalinę i inne środki konserwujące. Trwało to aż trzy godziny. Główną przyczyną, że cała operacja tak długo trwała, było kategoryczne żądanie przedstawiciela Watykanu, by z ciała nie puszczano krwi – normalnie upuszcza się ją i zastępuje wpompowywanym do naczyń roztworem soli kuchennej. Chodziło znów o zacieranie śladów zbrodni, bo nawet jedna kropla krwi wystarczyłaby patologowi do ustalenia śladów substancji toksycznych.

Dzięki umiejętnościom kosmetyków zwłok, z twarzy Lucianiego znikł wyraz udręczenia. W ręce papieża włożono różaniec.

Ciało Jana Pawła I zostało wystawione w Bazylice św. Piotra. W ciągu czterech dni poprzedzających pogrzeb przed trumną predefilowało milion ludzi. Pogrzeb odbył się 4 października. Konklawe rozpoczęło 14 października. W dwa dni później 16 października, nowym papieżem obrano polskiego kardynała Karola Wojtyłę, który przyjął imię Jana Pawła II.

Nie słyszał on szeptanych na korytarzach Watykanu opowieści, jak to 5 września prawosławny arcybiskup Leningradu, Nikodem, podczas prywatnej audiencji u Jana Pawła I, zupełnie nieoczekiwanie zawisł na krześle i w kilka chwil później zmarł. Teraz przypuszczano, że czterdziestodzieciolatek, schorowany Nikodem pił kawę z filiżanki przeznaczonej dla Albino Lucianiego.

Karol Wojtyła, zdaniem Yallope, od początku swego pontyfikatu dostarczył niezliczonych dowodów, że poza imieniem papieskim Jana Pawła nie ma nic wspólnego ze swoim poprzednikiem. Pod jego kierownictwem wszystko zostało po staremu. Villot pozostał sekretarzem stanu, Cody zachował swoją bezsporna pozycję w Chicago, Marcinkus i jego asystenci – Mennini, de Strobel i de Bonis – nadal kierowali losami Banku Watykańskiego i w dalszym ciągu troszczyli się o to, by kwitły nielegalne transakcje z Banco Ambrosiano. Calvi oraz jego mistrzowie z P2 Gelli i Ortolani, mieli wolną rękę, by pod ochronnym płaszczykiem Banku Watykańskiego mogli kontynuować wielkie defraudacje i oszustwa. W Nowym Jorku Sindona, przynajmniej czasowo, pozostał na wolności, Baggio nie został przeniesiony do Wenecji. Skorumpowany Poletti pozostał kardynałem – wikariuszem Rzymu.

Jan Paweł II nie tylko nie dopuścił do stosowania sztucznych metod regulacji narodzin, ale w swej nauce stał się pod tym względem jeszcze bardziej ortodoksyjny niż Paweł VI.

Zamiast zakończenia

„Ewangelia i chrześcijaństwo, mimo 2000 lat historii wydaje się wciąż sprawą przyszłości!”

Ks. prof. dr hab. Józef Tischner

Spis treści

Haasler Robert A 1

Zbrodnie w imieniu Chrystusa 1

Zamiast wstępu 1

Przedmowa do wydania polskiego 1

Falszywi obrońcy 2

Papieże mordercy 4

Trupi synod 14

Zbrodnie pod sztandarem Chrystusa 17

Tak zwani heretycy 27

Narzędzia zbrodni 34

Tortury pod krucyfiksem 38

Mord mnichów 49

Śmierć za oblicze 58

Zagłada Żydów 64

Męczennik stosu 77

Syn marnotrawny Kościoła 84

Zbrodnia doskonała 92

Zamiast zakończenia 100